tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 21 (1376)
18-24.05.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

ROK IGNACEGO DASZYŃSKIEGO – MARSZAŁKA Z LEWICY

Stanisława Celińska
Życie trudniejsze od sceny

Suplementy
bez gwarancji bezpieczeństwa

JAK TRUMP ZARABIA NA PREZYDENTURZE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115
21 >
9 771509 311607

eprasa.pl 7659

FESTIVAL DE CANNES
NAGRODA ZA NAJLEPSZY SCENARIUSZ

młode matki

REŻYSERIA
JEAN-PIERRE i LUC DARDENNE

NIE MOŻNA ODERWAĆ SIĘ OD EKRANU!
The Guardian

DELIKATNOŚĆ, EMPATIA I MIŁOŚĆ
Indiewire

NAJBARDZIEJ PRZEKONUJĄCY FILM BRACI DARDENNE!
VARIETY

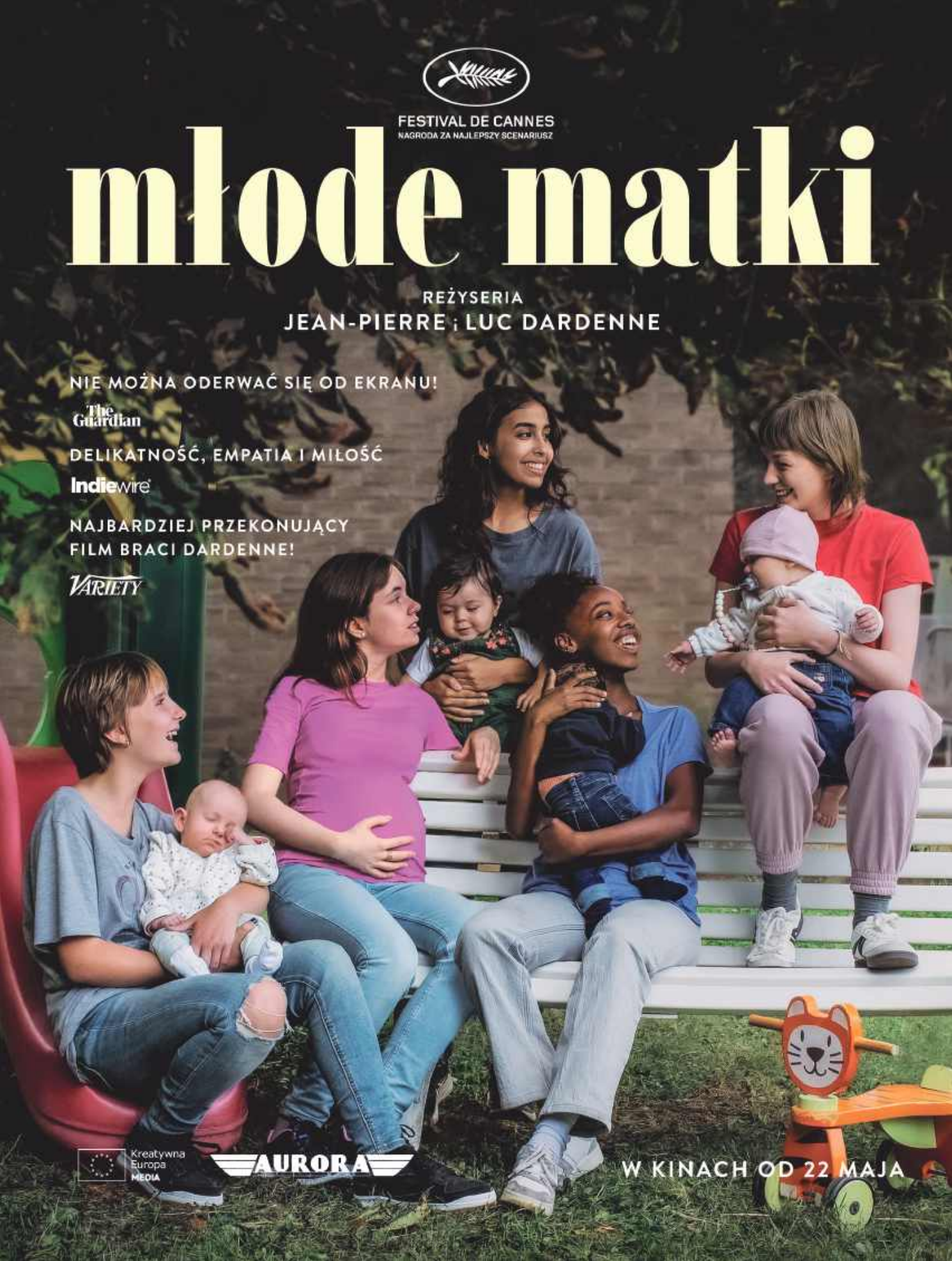

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

W KINACH OD 22 MAJA

Walka Nawrockiego o władzę będzie się zaostrzać

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Im dalej od wyborów prezydenckich, tym więcej informacji o działaniach za kulisami kampanii. Największą wagę mają słowa Donalda Trumpa. Prezydent USA przyznał, że bezpośrednio ingerował w polskie wybory na rzecz Nawrockiego: „Pamiętacie, poparłem go, a on wygrał, mimo że był daleko z tyłu". To nie wszystko. Jeśli amerykański prezydent tak bardzo angażuje się w wybór jednego z kandydatów, podlegli mu urzędnicy robią wszystko, by to stało się faktem. Przyjdzie czas, że dowiemy się, jaka była skala tych ingerencji w nasze wybory. Nie sądzę jednak, by dziś rządzący chcieli coś z tym zrobić. Sporo przecież widzieli i wiedzieli już w czasie kampanii. Nie będą się cieszyli, ale połkną tę kolejną gorzką pigułkę. Podobnie jak opozycja zostawią bez reakcji tak ważną dla państwa sprawę jak suwerenność Polski.

Dla prawicowej opozycji wszystko, co robi Trump, jest akceptowalne. W lizusostwie i poddaństwie wobec Trumpa prezydent Nawrocki i politycy PiS nie mają na świecie konkurencji. Wygląda to tak żenująco, że chyba ktoś im zablokował instynkt patriotyczny. Mocni są w słowach i deklaracjach, a tchórzliwi w czynach. Zobaczymy, i to jeszcze przed wyborami parlamentarnymi, jak wyjdą na tej bezgranicznej miłości do Trumpa. Przecież wszystko, co najgorsze w jego prezydenturze, a jest tego masa, przylepia się do Nawrockiego i PiS. Może już to rozumieją i czują, że czerwone czapeczki przestały być w Polsce atutem. Zaczynają ich parzyć i ośmieszać. I to coraz bardziej.

A że problemy lubią się mnożyć, to PiS łączy z tą gorszą twarzą Ameryki jeszcze świeży migrant, Zbigniew Ziobro. Wiceprezes PiS najpierw uciekł z Polski na Węgry, a teraz do USA.

Nie pamiętam, by w Europie była partia z takim wiceprezesem jak Ziobro. Mimo licznych afer wciąż pełni on tę funkcję. Taka oto jest wizytówka tej partii. Ziobro kompromituje sobą te dwa słowa, które ma ona w nazwie. Partia Kaczyńskiego od dawna jest karykaturą prawa. A postępki Ziobry są paniczną ucieczką od sprawiedliwości.

Cel Nawrockiego i polityków, którzy go otaczają, jest najprostszy z prostych. Skrojony na miarę ich możliwości. Prezydent zapowiedział, że zrobi wszystko, by jak najszybciej odsunąć rząd Tuska od władzy. Niewiele z tego wyszło. Mimo paranoi, z jaką realizuje swój plan. Szkodzi ludziom i paraliżuje kolejne obszary działalności państwa. 33 weta, blokada powołań sędziów, ambasadorów, profesorów itd.

Co dalej? Wygląda na to, że walka Nawrockiego o ponadkonstytucyjną władzę dla siebie będzie się zaostrzać. Ale zwolenników tego stylu będzie ubywać. Oby.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 765918d2e3

W NUMERZE

KRAJ

8 Kolejna ucieczka wiceprezesa PiS
Ziobro jak kukułcze jajo

10 Rady od parady
Doradcy zaciągiem do partii prezydenckiej?

13 Nagroda Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie

14 Suplementowa loteria
Nie wiemy, co łykamy

22 Egzaminoza nasza powszednia
Ósmoklasiści ofiarami wyścigu szczurów

24 Bitwa o Chorzów
Mieszkańcy chcą referendum

27 To praca nie dla wszystkich
– rozmowa z Mateuszem Wawryszukiem

38 Psi zakładnicy prezydenta
Czy Nawrocki zawetuje czipowanie zwierząt?

40 Pomoc społeczna w pułapce przepisów
Dla kogo wsparcie?

ZAGRANICA

17 Jak Trump zarabia na prezydenturze
Jeden wielki biznes

43 Najpierw język, potem armia
Korespondencja z Estonii

46 Wilczym tropem
Korespondencja z Niemiec

HISTORIA

30 Majowy dramat lewicy
Piłsudski odsunął endecję od władzy, ale…

33 Marszałek z lewicy
– rozmowa z prof. Michałem Śliwą

KULTURA

50 Stanisława Celińska: Podobało się?
Ujmowała widzów szczerością

53 Qulturalia

54 Teatr Wielki jeszcze większy, nowocześniejszy i dostępniejszy
Co w nowym sezonie?

66 Miriam Tajcher. The War Next Door

SPORT

56 Polacy fetują zwycięstwa w Europie
Radości pochodzenia zagranicznego

ZWIERZĘTA

58 Zagadkowe owady
Motyle w symbiozie z mrówkami

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Walka Nawrockiego o władzę będzie się zaostrzać

21 Jan Widacki
Brunatniejemy

37 Roman Kurkiewicz
O co wolno zapytać Edelmana?

49 Tomasz Jastrun
Dzik jest dziki

61 Wojciech Kuczok
Fujary i miękiszony

46
ZAGRANICA

WILCZYM TROPEM
Korespondencja z Niemiec

50
KULTURA

STANISŁAWA CELIŃSKA: PODOBAŁO SIĘ?
Ujmowała widzów szczerością

58
ZWIERZĘTA

ZAGADKOWE OWADY
Motyle w symbiozie z mrówkami

Projekt okładki: Krzysztof Kettner

FOT. RICHARD DREW/AP/EAST NEWS, BRENDAN SMIALOWSKI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 765918d2e3

Co zapamiętamy?

Dobre pytanie: jak nie w Unii Europejskiej, to gdzie? Polska na geopolitycznej planszy nie jest graczem, lecz pionkiem. Podobnymi pionkami są inne państwa UE, nawet Niemcy czy Francja. Do tej pory państwa Europy Zachodniej, trzymając się Wielkiego Brata, jakoś funkcjonowały. Ale to się zmienia. Dla Polski też nie ma alternatywy, bo jak nie zjednoczona Europa, to co? Białoruś bis albo zamorska kolonia Stanów Zjednoczonych, Ukraina bis.

Józef Brzozowski

•

Kiedyś antyunijne środowiska były niszowe i skrajne. Teraz ta głupota rozlewa się na ogół społeczeństwa. Dziwne, że ludzie są tacy głupi i nawet przykład Wielkiej Brytanii nie dał im do myślenia.

Michał Łuksa

•

Po ponad czterech dekadach spędzonych w UE mam nadzieję, że dokonam w niej swego żywota. Chętnie w Polsce, ale jeśli „narodowi wybranemu" Unii się odechce, zostanę w Berlinie.

Maciek Skool Skulski

Popieram emigrację złodziei

Legalnie dostać się do USA jest bardzo trudno, a US Citizenship and Immigration Services nie popełnia błędów – chyba że musi. Osobiście popieram emigrację z Polski do USA wszystkich złodziei, zwłaszcza tych, którzy parają się polityką. Im będzie tam dobrze, a my się pozbędziemy szkodników. Przy okazji: nie nadużywajmy terminu demokracja w odniesieniu do USA. Tam tak naprawdę rządy sprawują dolary, a zwłaszcza ich większa ilość.

Witold Gintowt-Dziewałtowski

Nie matura, lecz chęć szczera...

Po lekturze felietonu prof. Widackiego gwoli uzupełnienia dodam, że na YouTubie jest kanał „Matura to bzdura". Materiał jest z jednej strony śmieszny, ale z drugiej przerażający! Polska młodzież nie ma podstawowej, banalnej wręcz wiedzy. Ci ludzie za kilka, kilkanaście lat będą wychowywać swoje potomstwo. I czego je nauczą (nie nauczą)? Jestem już po pięćdziesiątce i chyba cieszy mnie to, że nie dożyję wnuków obecnej młodzieży.

Marek Kania

Dajcie ludziom mieszkać

Ponieważ ochrona praw lokatorów przy długoterminowym prywatnym najmie jest doprowadzona do absurdalnych rozmiarów, właściciele mieszkań, którzy czasowo z nich nie korzystają, albo trzymają je puste, albo wynajmują w najmie krótkoterminowym. W efekcie setki tysięcy mieszkań w Polsce stoją puste, a ceny najmu w związku z tym szybują.

Małgorzata Żuber-Zielicz

Wolność a samowola

Chciałbym, aby w „Przeglądzie" mniej było wojny kulturowej, a więcej publikacji o sprawach społecznych, kwestiach pracowniczych, takich tematów jak w felietonie prof. Szahaja, dla których wciąż warto kupować wasz tygodnik.

Paweł Stawicki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Paweł Pawlikowski powrócił do Cannes z nowym filmem „Ojczyzna". Pokaz wywołał sześciominutową stojącą owację. Na czerwonym dywanie reżyser pojawił się z żoną Małgorzatą Belą. 14 maja 2026 r.

FOT. DAVID NIVIERE/SIPA/EAST NEWS

eprasa.pl 765918d2e3

Sejm wybrał **15 sędziów** na członków Krajowej Rady Sądownictwa. 13 sędziów wskazały kluby koalicji rządzącej, a po jednym PiS i Konfederacja.

•

Pierwsze małżeństwo jednopłciowe zostało uznane w Polsce. Zrobił to Urząd Stanu Cywilnego w Warszawie zgodnie z wyrokami TSUE i polskich sądów, w tym NSA.

•

Tendencyjne i bez sensu jest pytanie referendalne zgłoszone przez prezydenta Nawrockiego w sprawie polityki klimatycznej Unii Europejskiej. Jego autor szybko zmierza do referendum z pytaniem o odwołanie prezydenta.

•

NIK obliczyła wydatki z Funduszu Sprawiedliwości, które za rządów Zbigniewa Ziobry zostały dokonane „niezgodnie z obowiązującym prawem, niegospodarnie i niecelowo". To 268 mln zł.

•

O kondycji prokuratury po wyborach w 2023 r. najlepiej świadczy ocena prokuratora krajowego Dariusza Korneluka, że zaledwie 400 z 6 tys. prokuratorów „wykazało się niezależnością i kręgosłupem moralnym". Dużo więcej ciągle liczy na powrót PiS do władzy.

•

W marcu 2024 r. weszły w życie przepisy o konfiskacie samochodów pijanym kierowcom. W ciągu 11 miesięcy **zlicytowano 6316 samochodów** na kwotę prawie **27 mln zł. 22,5 mln zł** wpłynęło po orzeczeniach sądowych o przepadku **równowartości pojazdu** (w przypadku współwłasności, leasingu lub wypożyczenia). Do marca 2026 r. zabezpieczono kolejne 15 206 samochodów.

•

Przemysław Czarnek jako minister edukacji i nauki w rządzie PiS hojnie wspierał Collegium Humanum, także wtedy, gdy ujawniono przestępstwa byłego rektora. Izba Administracji Skarbowej w Lublinie złożyła w prokuraturze zawiadomienie w sprawie wyłudzenia 3,820 mln zł.

•

Wybrani przez Sejm sędziowie Trybunału Konstytucyjnego **Marcin Dziurda, Agnieszka Korwin-Piotrowska, Krystian Markiewicz i Maciej Taborowski** ciągle nie są dopuszczani do orzekania przez obsadzonego przez PiS na stanowisku prezesa TK Bogdana Święczkowskiego. Nie pomogła nawet decyzja zabezpieczająca, którą wydał Europejski Trybunał Praw Człowieka.

•

W Krakowie rozdano nagrody dziennikarskie **Małopolskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Złotą Gruszkę** otrzymała **Alicja Molenda (tygodnik „Przełom")**, **Honorową – Maria Malatyńska**, a **Zieloną Monika Waluś (Onet.pl)**. Nagroda im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego trafiła do **Małgorzaty Skowrońskiej („Gazeta Wyborcza")**.

•

Prezydent Nawrocki ułaskawił Weronikę K., z której fundacja Kai Godek zrobiła ofiarę lekarza ginekologa. Proces sądowy wykazał, że to ona oskarżała i hejtowała lekarza. Zdaniem tego lekarza Fundacja Życie i Rodzina to bojówka, która z Weroniki K. zrobiła twarz kłamliwej kampanii **(„Rzeczpospolita")**.

•

58% ojców skorzystało w 2025 r. z urlopu ojcowskiego. Średnio ojcowie przebywali na urlopie rodzicielskim 43 dni, a matki 143 dni.

PRZEBŁYSKI

Całuśny oszust

Pomysł na ocieplenie wizerunku znanego oszusta Adama Andruszkiewicza w „Super Expressie" jest równie prostacki jak minister w kancelarii prezydenta Nawrockiego. Ba, żeby tylko minister. Andruszkiewicz to zastępca szefa całej kancelarii. Prokurator Bogucki ma jako prawą rękę osobę z zarzutami udziału w wielkiej operacji fałszowania wyborów samorządowych w 2014 r. Jakże musi cierpieć prokuratorska dusza Boguckiego. Przecież ile razy spojrzy na Andruszkiewicza, musi widzieć kraty. Korzystając z wolności, dygnitarz z ekipy Nawrockiego poszedł sobie na ustawkę do parku z żoną i dziećmi. Nie przewidział chyba, że ta seria zdjęć wygląda jak pożegnanie z rodziną przed odsiadką.

Opolska, czyli żenada

Karolina Opolska po ogłoszeniu przez wydawnictwo Harde, że wycofują jej skompromitowaną książkę – z przypisami „przypadkowo" zmyślonymi przez AI – postanowiła, że zacznie się użalać na złą jakość debaty wokół książki. Wyzwiskom pod adresem autorki mówimy NIE. Ale Opolskiej też mówimy NIE. Po takiej wpadce przyłapani znikają. Chowają się ze wstydu. Wszyscy, ale nie Opolska, ona postąpiła odwrotnie. I to z takim przytupem, że zasługuje na to, co piszą widzowie TVP Info. Mało kto wśród nich cierpi na amnezję. Pamiętają tę aferę. Zadziwia ich tupet dyrektora TVP Tomasza Syguta, tego, co go przywieźli w bagażniku. Grabarza telewizji publicznej. Tylko Sygut mógł wymyślić skierowanie Opolskiej do obsługi Sejmu. Opolska na wizji – takie są w telewizji Syguta wartości i zasady.

To nie AI jest problemem, ale cudowna zdolność zamiany oszustwa w „nieporozumienie", a kompromitacji w promocję. Cyrk jedzie dalej, bilety sprzedane.

Katecheta z wyrokiem

Pociąg ks. Pawła D. z diecezji bielsko-żywieckiej do szemranych biznesów sprawił, że kapłan stracił nie tylko posadę dyrektora Muzeum Domu Rodzinnego Jana Pawła II w Wadowicach, ale też prezesurę spółki Anima Media („Fakty po Mitach"). Tak to jest, gdy nie płaci się pracownikom pensji i składek ZUS.

Gdy jednak Sąd Okręgowy w Bielsku-Białej skazał księdza na karę pozbawienia wolności (w zawieszeniu), zatrudniono go w Zespole Szkół Gastronomiczno-Ekonomicznych w Cieszynie. Złamano tym samym prawo, bo zgodnie z Kartą nauczyciela szkoły nie mogą zatrudniać osób z wyrokami. Wiedziało o tym kuratorium oświaty. Wiedziała dyrekcja szkoły. A ksiądz pracował jako katecheta prawie cztery lata. Zarobił ok. 230 tys. zł. Musi je teraz, choć bardzo nie chce, zwrócić. Może pozostali winni też złożą się na tę kwotę?

FOT. ARCHIWUM, SHUTTERSTOCK, YOUTUBE

eprasa.pl 765918d2e3

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

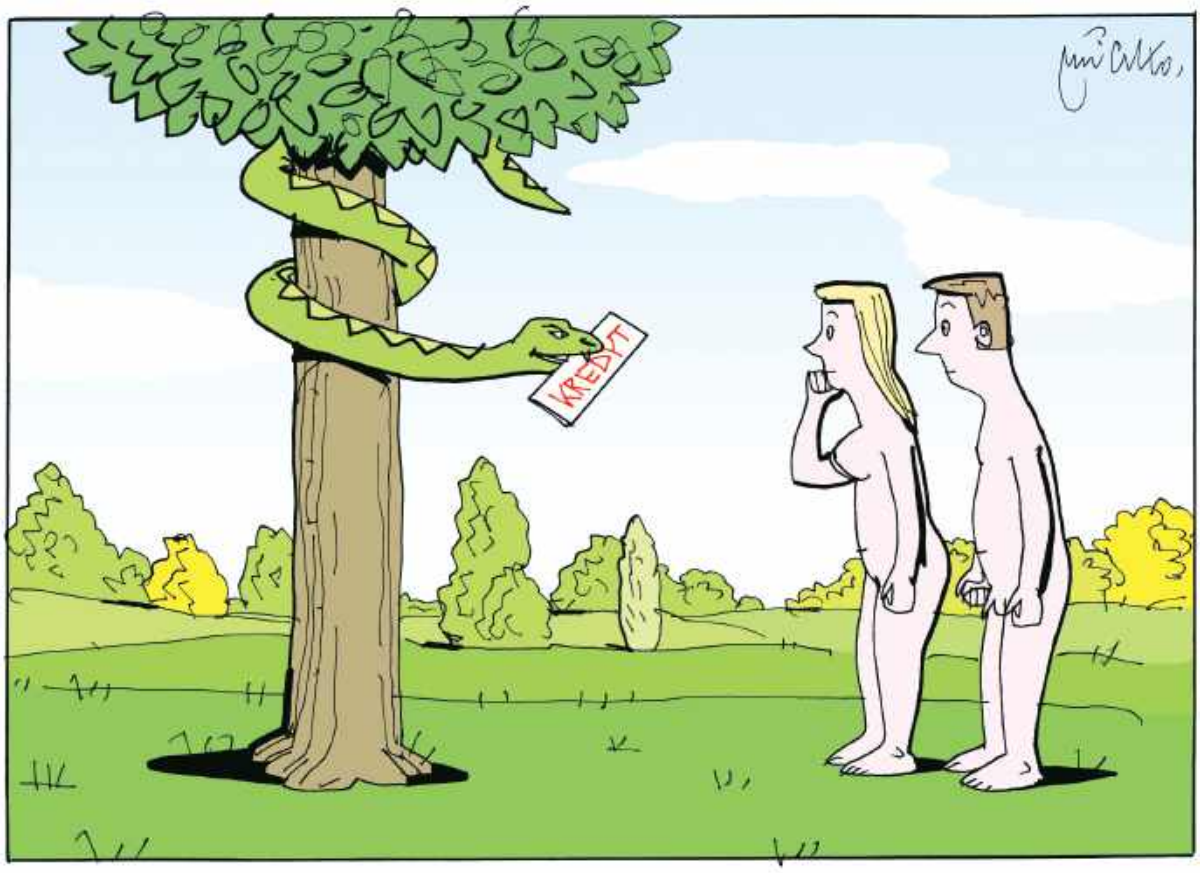

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Gdzie jest więcej intelektualnego fermentu – w koalicji czy w opozycji?

PROF. LECH SZCZEGÓŁA,
socjolog, politolog, Uniwersytet Zielonogórski

Życie umysłowe naszych partii owiane jest mgłą tajemnicy. Jeżeli ono w ogóle istnieje, to w roli intelektualistów występują specjaliści od PR. Obie formacje naszego duopolu pogrążone są w kryzysie, szukają nie idei ani strategii, ale wyłącznie taktyki. Oportunista Tusk koncentruje się na wojnie z Pałacem Prezydenckim i pacyfikowaniu rebeliantów. Kaczyński, rezygnując jakiś czas temu z usług profesorów, zaczyna rozumieć, że brak innej „myśli przewodniej" niż krytyka rządu dezintegruje jego obóz i elektorat. W tym sensie na tle swoistej martwicy panującej po stronie rządowej opozycja wydaje się fermentować zdecydowanie mocniej. Dziś jest to proces bardziej personalny niż ideowy. Aktorzy gry o tożsamość PiS intensywnie testują tematy, które mogą im dać wewnątrzpartyjną przewagę.

PROF. ROBERT ALBERSKI,
politolog, Uniwersytet Wrocławski

Polska polityka nie słynie z intelektualnego fermentu, jednak więcej aktywności widać u władzy – to reguła niezależna od konkretnej formacji będącej u steru. Rządzenie wymusza innowacyjność; sama rutyna nie wystarcza do rozwiązywania pojawiających się problemów. Opozycja jest reaktywna – skupia się na negowaniu działań rządu, rzadko przedstawiając własne, alternatywne koncepcje programowe. To komfort krytyka, nie potrzeba nazbyt wielkiego wysiłku koncepcyjnego. Nowe idee gasną w trybach maszynki parlamentarnej, gdzie indywidualizm przegrywa z partyjnym schematyzmem. Także eksperci służą częściej celom marketingowym oraz PR-owym niż merytorycznym. Prawdziwego ożywienia brakuje po obu stronach, bo liczą się doraźny przekaz i emocje.

JACEK ŻAKOWSKI,
dziennikarz, publicysta

Intelektualnego fermentu nie widzę ani w koalicji, ani w opozycji. Są oczywiście jednostki podejmujące wysiłek namysłu, ale ich starania nie budzą entuzjazmu liderów po żadnej stronie. Zamiast wizji królują proste gierki: temu przyłożyć, tamtemu podstawić nogę. Brakuje elementarnej refleksji nad państwem. Opiece zdrowotnej bezmyślnie dosypujemy pieniędzy, co rujnuje szpitale, debata o oświacie grzęźnie zaś w temacie likwidacji prac domowych. Nawet ugrupowania wyrosłe z ruchów ideowych, takie jak Razem czy Polska 2050, po wejściu do Sejmu tracą swój potencjał. Politycy porzucają narzędzia intelektualne i chwytają za maczugi. To efekt rewolucji antyintelektualnej – odraza do ekspertyzy i merytoryki stała się największym dramatem naszego życia publicznego.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl 765918d2e3

KOLEJNA UCIECZKA WICEPREZESA PiS

Ziobro – kukułcze jajo podrzucone USA

Robert Walenciak

Zbigniew Ziobro wciąż ucieka przed polskim wymiarem sprawiedliwości. Tym razem uciekł do Ameryki. Oto więc jedna ucieczka przypomniała nam o kilku sprawach równocześnie:

– o Zbigniewie Ziobrze, który boi się sądu i konfrontacji z prokuratorem;

– o PiS, dla którego sprawa Ziobry jest narastającym kłopotem;

– o tym, jak traktuje Polskę Ameryka, rzekomo nasz największy sojusznik.

Ziobro ucieka przed polskim wymiarem sprawiedliwości desperacko i można to zrozumieć, bo przecież ciąży na nim 26 zarzutów, w tym kierowania zorganizowaną grupą przestępczą, za co grozi do 25 lat więzienia. Ta ucieczka przykuwa uwagę – Ziobro jest symbolem czasów PiS.

•

Na to pytanie Jarosław Kaczyński już odpowiedział i ogłosił podczas wyjazdowego posiedzenia PiS, że partia ma stać murem za Ziobrą. Tłumaczyć jego ucieczkę tym, że w Polsce nie miałby szans na sprawiedliwy proces. To nie jest zaskoczenie – Jarosław Kaczyński zawsze w trudnych sytuacjach idzie w zaparte, nie przyznaje się do niczego, atakuje tych, którzy coś mu zarzucają. Ale czy to skuteczna taktyka? Przekonamy się. Na razie możemy czuć schadenfreude, obserwując, jak bronią Ziobry ludzie, z którymi był na noże.

Najmocniej skonfliktował się z Mateuszem Morawieckim. Sporów między nimi nie brakowało. Morawiecki zarzucał Ziobrze nieudolność w kierowaniu Ministerstwem Sprawiedliwości i w przeprowadzaniu „reformy sądownictwa". Ziobro Morawieckiemu – nieudolność w polityce wobec

Gdyby amerykańska administracja unieważniła Ziobrze wizę, mogłoby dojść do deportacji. Czy to jest możliwe?

Łamania prawa, szpiegowania za pomocą Pegasusa, wyprowadzania na przedsięwzięcia partyjne dziesiątków milionów publicznych pieniędzy i wykorzystywania prokuratury. Jest byłym ministrem, ale też wciąż urzędującym wiceprzewodniczącym PiS. Można więc opowiadać, że jest już politycznym trupem, ale to nieprawda. Bo zasiada we władzach PiS i wypowiada się publicznie. No i stawia nas wszystkich i swoją partię przed dylematem, czy wszyscy są równi wobec prawa i powinni odpowiadać za swoje czyny, czy też ludzie PiS są równi inaczej.

Unii Europejskiej. Intensywność ich wzajemnej niechęci, sięgającej wiele lat wstecz, pokazywała afera mejlowa, tzw. taśmy Dworczyka, które publikował serwis Poufna Rozmowa. 23 września 2020 r. ówczesny premier Morawiecki tak miał pisać do współpracowników: „Zbigniew Ziobro jest cyniczny i gotowy działać przeciwko nam, ale (...) przekreśliłoby go to na zawsze w prawicowym elektoracie".

Ten spór trwał w kolejnych latach. W 2023 r. Morawiecki mówił: „Część swojego dzieciństwa spędziłem na wsi i tam rolnicy nauczyli mnie takiego starego polskiego przysłowiowa: »krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje« i za każdym razem, kiedy słucham, czy czytam, słów ministra sprawiedliwości, to przypomina mi się trafność tego przysłowia".

Sporo światła na charakter Ziobry i na to, dlaczego jest w PiS tak mało popularny, rzuca niedawna wypowiedź Romana Giertycha w „Gazecie Wyborczej": „Ziobro starał się o pracę w mojej kancelarii pod koniec 2008 r. Mówił, że pokłócił się z Kaczyńskimi, i chciał już zrezygnować z polityki, przejść do pracy w prawie. Odmówiłem z kilku powodów. Po pierwsze, miałem i nadal mam bardzo złą opinię o nim jako prawniku. Po drugie, to świństwo, które zrobił Lepperowi, nie mogłem mu tego zapomnieć. A po trzecie, jak on przychodził i przedstawiał się jako ofiara braci Kaczyńskich, to bardzo opluwał Lecha Kaczyńskiego, ówczesnego prezydenta".

Nic dziwnego, że kłopoty byłego ministra mało kogo w PiS zmartwiły. Gdy głosowano w Sejmie nad uchyleniem immunitetu Ziobrze, politycy z obozu Morawieckiego mówili dziennikarzom, że „nie ma w PiS entuzjazmu i chęci rozdzierania sobie koszuli w obronie Zbigniewa Ziobry". Choć oficjalnie były premier usprawiedliwia ucieczkę swojego ministra: „Nie dziwię się, iż pan Ziobro uważa, że nie będzie miał szans na sprawiedliwy wyrok. Jeśli minister sprawiedliwości mówi, że przywiezie kogoś w bagażniku. Jeśli minister sprawiedliwości rezygnuje z wdrożonej przez nas i forsowanej przeze mnie również zasady losowania sędziów, to znaczy, że chce mieć swoich zaufanych sędziów, co potwierdził w jednym z wywiadów. Państwo uważacie, że w takim stanie

eprasa.pl 765918d2e3

wymiar sprawiedliwości jest w stanie zapewnić sprawiedliwy proces?”.

Podobnie wypowiadał się Jacek Stasin. Jego konflikt z Ziobrą miał inne podłoże. Otóż, gdy Sasin był ministrem aktywów państwowych, ludzie Ziobry i Mariusza Kamińskiego inwigilowali go za pomocą systemu Pegasus. Można rzec – na Sasina zbierano haki. Ale dziś robi on dobrą minę do złej gry i mówi, że był tak ważnym ministrem, że powinien być pod lupą, i wcale go to nie dziwi. A komentując ucieczkę byłego ministra do USA, trzyma się pisowskiego przekazu dnia.

Jeśli mowa o Ziobrze i Sasinie… W pierwszych miesiącach nowego Sejmu Sasin siedział w ławach poselskich obok Ziobry, a przy nich miejsce zajmował Sławomir Mentzen. Dla lidera Konfederacji były to pierwsze dni w roli posła, chętnie zatem dzielił się spostrzeżeniami. „Wydaje mi się, że nie ma między nami wielkiej chemii czy miłości”, spekulował o sąsiadach z ław poselskich w rozmowie z Radiem Zet. Tłumaczył to tym, że w kampanii wyborczej twardo ich krytykował i często mówił, że Ziobro „powinien siedzieć w więzieniu, a nie w rządzie ze mną”.

Zresztą nie wycofał się ze swoich słów. „Jacek Sasin powinien na pewno stanąć przed Trybunałem za 70 mln zł, które wydał na wybory (tzw. kopertowe), które się nie odbyły. Zbigniew Ziobro chociażby za upolitycznienie prokuratury, ręczne sterowanie tą prokuraturą”, wyliczał także w Radiu Zet.

•

PiS ma więc kłopot z Ziobrą. I najchętniej by o nim nie rozmawiało, schowało tę historię gdzieś głęboko. Tak zresztą postępuje, politycy PiS mówią, że jego ucieczka to sprawa trzeciorzędna, po co się nią zajmować?

Identycznie wykręca się prezydent Karol Nawrocki. Pytany przez dziennikarzy, co myśli na temat ucieczki, odpowiadał, że są sprawy ważniejsze, po co zajmować się wizą dla prywatnego człowieka, który wyjechał, wypełniając formularz, i znalazł się w Stanach Zjednoczonych: „Uznaję, że to jest rzecz naprawdę odnosząca się do prywatnego życia i wypełnienia formularza wizowego przez byłego ministra sprawiedliwości”.

Trudno jednak przypuszczać, by to stanowisko zyskało w Polsce szersze zrozumienie. Wyjaśniał to zresztą w mediach Aleksander Kwaśniewski: „Zbigniew Ziobro jest niewygodny dla PiS i prawicy, ponieważ ucieka od odpowiedzialności. W tym nie ma postawy dobrego prawnika i odpowiedzialnego polityka. Ucieczka jest ucieczką”. I dodawał: „Ta ucieczka to mocny argument w kampanii wyborczej pod tytułem: jesteście tymi, którzy kradli, i tymi, którzy nie mają odwagi odpowiedzieć za te czyny. Najdłużej urzędujący minister sprawiedliwości nie wraca do swojego kraju. To śmierdzi z daleka”.

•

W kwestii Ziobry Polakom nie spodobała się też postawa administracji Donalda Trumpa. Wiemy z mediów, że minister Sikorski, jeszcze zanim Ziobro uciekł z Węgier, rozmawiał w jego sprawie z sekretarzem stanu Markiem Rubiem i miał otrzymać zapewnienie, że Stany Zjednoczone go nie przyjmą. Stało się inaczej. Po zabiegach, najprawdopodobniej Adama Bielana, sprawa dotarła do Donalda Trumpa, a on polecił, by Ameryka Ziobrę przyjęła. Czyli aby włączyła się w polskie sprawy wewnętrzne, stając po jednej ze stron.

Te działania zostały w Polsce bardzo źle odebrane. W sondażu „Rzeczpospolitej” na pytanie, jak udzielenie schronienia Zbigniewowi Ziobrze przez USA wpłynęłoby na pański (pani) stosunek do tego kraju, ledwie 12% respondentów stwierdziło, że zaczęliby postrzegać USA lepiej. Natomiast aż 40,2% pytanych odpowiedziało, że zaczęłoby postrzegać Stany Zjednoczone gorzej. 29,7% odparło, że nic w ich stosunku do USA ta sprawa nie zmienia.

Ewidentnie więc obrona Ziobry przez USA źle służy obrazowi Ameryki w polskim społeczeństwie i utrudnia wzajemne stosunki. To w Polsce nie będzie zapomniane. Zwłaszcza że Ziobro – jeśli wierzyć jego zapewnieniom – stale będzie o swojej obecności przypominał. Jeżeli bowiem wyjechał do USA na wizie dziennikarskiej, jako korespondent TV Republika, powinniśmy spodziewać się jego korespondencji.

Ciekawe, ile razy do czasu polskich wyborów w 2027 r. (na nie Ziobro liczy) zobaczymy go z mikrofonem w ręku. To zresztą podsuwa polskiemu rządowi możliwości działania. Doświadczenie uczy, że procedura ekstradycyjna – która odbywa się drogą sądową – jest w USA długa i mało pewna. Ale przecież można sprowadzić go do Polski inaczej. Gdyby amerykańska administracja unieważniła mu wizę, mogłoby dojść do deportacji. Czy to jest możliwe?

Odłóżmy to na bok. Pozwólmy Ameryce cieszyć się Zbigniewem Ziobrą.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. YOUTUBE/TVREPUBLIKA

eprasa.pl 765918d2e3

RADY OD PARADY

Kto doradza prezydentowi RP

Andrzej Sikorski

Jak wiadomo, Karol Nawrocki oprócz armii urzędników i ministrów ma 16 doradców etatowych i 22 doradców społecznych. Okazuje się, że to nie wszystko. Głowie państwa doradza też – uwaga! – 635 doradców skupionych w 17 radach tematycznych: Radzie Młodzieży, Radzie Rodziny i Demografii, Radzie Zdrowia, Radzie Rolnictwa i Obszarów Wiejskich, Radzie do spraw Kombatantów, Osób Represjonowanych i Działaczy Opozycji Antykomunistycznej, Radzie Nowych Technologii i Cyfryzacji, Radzie Energii i Zasobów Naturalnych, Radzie Parlamentarzystów, Radzie Samorządu Terytorialnego, Radzie do spraw Osób z Niepełnosprawnościami, Radzie Gospodarczej, Radzie Bezpieczeństwa i Obronności, Radzie Biznesu, Radzie Nowych Mediów, Radzie Klimatu i Środowiska, Radzie do spraw Polonii i Polaków za Granicą oraz Radzie Nowej Konstytucji.

W skład tej ostatniej, powołanej 3 maja br., wchodzą np. znany z ekscesów w Trybunale Stanu Piotr Andrzejewski, Marek Jurek, Ryszard Legutko czy odkrycie towarzyskie Jarosława Kaczyńskiego – mgr Julia Przyłębska. Okazuje się jednak, że wbrew zapewnieniom Karola Nawrockiego członkowie rady nie będą się zajmować przygotowywaniem nowej konstytucji. Jak stwierdził prof. Ryszard Piotrowski, jedyny konstytucjonalista w tym egzotycznym towarzystwie, „nie jest nam potrzebna żadna nowa konstytucja".

Usłużna młodzież

Jałowymi dyskusjami zajmuje się Rada Młodzieży, która w założeniach miała – jak zapowiadał prezydent RP – przekuwać nowatorskie pomysły „w realne projekty ustaw, które sprawią, że polska młodzież będzie najlepiej zagospodarowaną częścią społeczeństwa w całej Europie, że Polska stanie się miejscem dobrym dla młodzieży pod względem mieszkalnym, infrastrukturalnym, gospodarczym, że będziemy stwarzać warunki do pracy i akademickiej, i uniwersyteckiej".

Karol Nawrocki oprócz armii urzędników i ministrów ma 16 doradców etatowych i 22 doradców społecznych. Pomaga mu też 635 doradców w 17 radach tematycznych.

Rada Młodzieży składa się z 44 osób, a zasiadać w niej mieli zgodnie z zapowiedziami młodzi „reprezentujący różne środowiska polityczne od środowisk konserwatywnych przez liberalne, od prawicy do lewicy". Na „opiekuna" rady Karol Nawrocki wyznaczył swojego ministra Adama Andruszkiewicza, byłego działacza Młodzieży Wszechpolskiej i Ruchu Narodowego, który wkrótce stanie przed sądem za fałszowanie podpisów na listach wyborczych, co akurat nie jest godne naśladowania.

Wbrew temu, co mówił Nawrocki, w Radzie Młodzieży próżno szukać liberałów, demokratów i lewicowców, jej trzon stanowią prawicowcy, w tym skrajni nacjonaliści i fundamentaliści religijni, a nawet działacze prorosyjskiej, antysemickiej i antyzachodniej Korony Młodych Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna.

Radą kierują przewodniczący Mikołaj Sobański-Jóźwiak i jego zastępca Piotr Wasilewski. Pierwszy młodzieniec to zaufany człowiek Nawrockiego. Za rządów PiS zasiadał w Młodzieżowej Radzie Muzeum II Wojny Światowej oraz w Młodzieżowej Radzie Sprawiedliwości powołanej przez Zbigniewa Ziobrę. W czasie prezydenckiej kampanii wyborczej Nawrocki mianował Sobańskiego-Jóźwiaka na koordynatora ds. młodzieży w Obywatelskim Komitecie Wyborczym. „To dla mnie ogromny zaszczyt i jednocześnie wyzwanie. Wspólnie chcemy przedstawić naszemu kandydatowi najważniejsze problemy młodego pokolenia oraz naszą wizję przyszłości Polski", napisał w mediach społecznościowych młody współpracownik Nawrockiego.

Piotr Wasilewski też sroce spod ogona nie wypadł. To działacz organizacji prawicowych, były kandydat PiS w wyborach samorządowych do Sejmiku Województwa Podlaskiego i były dyrektor biura poselskiego Adama Andruszkiewicza. O Wasilewskim zrobiło się głośno, gdy w 2021 r. „Gazeta Wyborcza" napisała, że propisowska Fundacja Służba Niepodległej (założona w 2016 r.) dostała prawie 1 mln zł z Narodowego Instytutu Wolności nadzorowanego przez wicepremiera, ministra kultury i sportu Piotra Glińskiego. Prezesem zarządu fundacji był narodowiec Edgar Kobos, zaufany człowiek wiceministra spraw zagranicznych Piotra Wawrzyka i jedna z głównych postaci afery wizowej. Wasilewski był natomiast pierwszym wiceprezesem zarządu. Problem polegał na tym, że Wasilewski zasiadał także w Radzie Narodowego Instytutu Wolności,

eprasa.pl 765918d2e3

W liczącej 45 członków Radzie Gospodarczej zasiadają głównie byli pisowscy menedżerowie spółek skarbu państwa i członkowie rządu PiS.

co budziło podejrzenia o konflikt interesów.

Od powstania w październiku 2025 r. Rada Młodzieży spotkała się pięciokrotnie. Jej członkowie nie przedstawili żadnych pomysłów na poprawę sytuacji młodych ludzi.

Fachowcy od rozmnażania

W skład prezydenckiej Rady Rodziny i Demografii wchodzi 25 osób. To politycy PiS i działacze środowisk katolickich, którzy przez osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy odpowiadali za politykę prorodzinną, która, jak wiadomo, zakończyła się katastrofą (m.in. była ministra rodziny Elżbieta Rafalska i jej zastępca Bartosz Marczuk). Radzie przewodniczy Barbara Socha, pisowska pełnomocniczka rządu do spraw polityki demograficznej i była wiceministra rodziny.

Choć Socha kreuje się na wybitną specjalistkę od polityki prorodzinnej, to za jej rządów sytuacja demograficzna Polski, zamiast się poprawić, uległa pogorszeniu. Gdy Socha w 2019 r. obejmowała urząd, w Polsce urodziło się 375 tys. dzieci, a w 2023 r., gdy zakończyła swoją prorodzinną misję, już tylko 272 tys. Ale nie ma co się dziwić, skoro jej poglądy na rodzinę i demografię więcej mają wspólnego z katolicką ideologią fundamentalistyczną niż z nauką. Zanim Socha została wiceministrą, działała w skrajnie prawicowej organizacji, Fundacji Mamy i Taty, promującej tzw. tradycyjny model wielodzietnej i wielopokoleniowej rodziny, a sprzeciwiającej się rozwodom, związkom osób tej samej płci, aborcji, antykoncepcji i edukacji seksualnej.

Warto też wspomnieć o innym członku rady – Antonim Szymańskim, byłym senatorze PiS, wiceprezesie Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia, laureacie Nagrody im. Sługi Bożego Jerzego Ciesielskiego – Ojca Rodziny, współorganizatorze kongresów „O godność macierzyństwa", „O godność ojcostwa" i „O godność dziecka". Zdaniem Szymańskiego „w Polsce forsowana jest bezprecedensowa zmiana kulturowa, mająca na celu m.in.: obniżenie rangi małżeństwa i rodziny, zmarginalizowanie wpływu wartości chrześcijańskich na życie narodu, pozbawienie rodziców prawa do decydującej roli w wychowaniu dzieci czy podważenie prawa do ochrony ludzkiego życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Świadczy o tym m.in.: wprowadzanie do szkół przez niektóre samorządy zajęć, mających na celu seksualizację dzieci i młodzieży w oderwaniu od wartości rodzinnych; generalizowanie przypadków skrajnej patologii wśród duchowieństwa w celu osłabienia

Niewykluczone, że na bazie „doradców" powstanie partia prezydencka.

W Radzie Rodziny i Demografii zasiada również Dorota Bojemska, matka ośmiorga dzieci, aktywistka rodzin wielodzietnych i niedoszła posłanka PiS. Pytana, dlaczego zdecydowała się na start w wyborach, Bojemska odpowiedziała: „Przez cztery lata sytuacja rodzin znacząco poprawiła się. Zobaczyłam, że teraz jest czas na wychowanie. Większości rodziców zależy na tym, żeby środowisko, w którym przebywają ich dzieci, było bezpieczne od agresywnej ideologii LGBT. Chcę być rzecznikiem tych rodzin. Szkoły wolne od LGBT to kluczowe wyzwanie dla mnie".

FOT. MAREK BORAWSKI/KPRP

eprasa.pl 765918d2e3

wiary katolickiej Polaków; spektakularne akty publicznego ośmieszania i dezawuowania symboli i wartości religijnych; wzrost prowokacyjnych zachowań części uczestników tzw. parad równości".

Rada Rodziny i Demografii spotkała się sześć razy. Otóż ci wybitni fachowcy odkryli, że aby zapobiec katastrofie demograficznej, trzeba „zacząć od zaspokojenia potrzeb i aspiracji społeczeństwa polskiego poprzez tzw. family mainstreaming, czyli włączenie interesu rodzin do głównego nurtu polityk publicznych oraz budowanie kultury, która aktywnie zachęca do posiadania potomstwa".

Aferzyści

W liczącej 45 członków Radzie Gospodarczej zasiadają głównie byli pisowscy menedżerowie spółek skarbu państwa (tzw. tłuste koty) i członkowie rządu PiS. Wymienić należy Marcina Chludzińskiego – byłego prezesa KGHM, Pawła Borysa – byłego prezesa Polskiego Funduszu Rozwoju, Tomasza Hinca – byłego wojewodę zachodniopomorskiego i wiceprezesa Grupy Azoty, byłą minister rozwoju Jadwigę Emilewicz, byłą minister finansów Magdalenę Rzeczkowską i jej zastępcę Piotra Patkowskiego czy Piotra Dardzińskiego – byłego wiceministra nauki i szkolnictwa wyższego.

Ciekawą postacią jest Beata Daszyńska-Muzyczka. Współpracownica Mateusza Morawieckiego z okresu, gdy ten kierował bankiem BZ WBK, została ulokowana w 2016 r. na stołku prezeski państwowego Banku Gospodarstwa Krajowego. Wiele wskazuje na to, że Daszyńska-Muzyczka wkrótce będzie się tłumaczyć przed prokuratorem za nadużycia, których się dopuściła w BGK. Otóż nowe władze BGK przeprowadziły audyt, który ujawnił gigantyczne nieprawidłowości. Za pośrednictwem czterech fundacji z BGK wyprowadzono ponad 100 mln zł, z czego część trafiła do organizacji związanych z politykami PiS, w tym z premierem Morawieckim. Według audytorów w BGK pod skrzydłami Daszyńskiej-Muzyczki działała „zorganizowana grupa przestępcza", w skład której oprócz członków zarządu BGK wchodzili prezesi fundacji oraz członkowie rad fundacji. W jednej z takich rad zasiadała Gertruda Uścińska, pisowska prezeska Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Żeby było ciekawiej, Uścińska jest członkinią prezydenckiej Rady Rodziny i Demografii.

W Radzie Gospodarczej zasiada też Krzysztof Tenerowicz, były działacz Młodzieży Wszechpolskiej i Ruchu Narodowego, były radny Solidarnej Polski i zaufany człowiek Adama Andruszkiewicza; za rządów PiS pracował w Orlenie, był poza tym członkiem rad nadzorczych spółek Trakcja i Dalmor. Z posiadanych przeze mnie dokumentów wynika, że 250 tys. zł z BGK trafiło do Fundacji Edukacji i Mediów, którą założył Tenerowicz i której prezeską jest jego żona, Marta Tenerowicz. Ale to nie wszystko! Tenerowiczowie stoją też za Fundacją Centrum im. Władysława Grabskiego, która dostała z BGK 150 tys. zł. Mąż jest fundatorem i prezesem fundacji, a żona wiceprezeską oraz członkiem rady fundatorów.

W Radzie Młodzieży trzon stanowią prawicowcy, w tym skrajni nacjonaliści i fundamentaliści religijni, tacy jak działacze Korony Młodych Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna.

Propagandziści i hejterzy

„Rada Nowych Mediów to gremium stanowiące zaplecze eksperckie Prezydenta RP w obszarze transformacji cyfrowej, funkcjonowania rynku medialnego oraz wyzwań związanych z rozwojem nowych technologii. Do głównych zadań Rady będzie należało diagnozowanie kondycji współczesnych mediów, ocena ich wpływu na społeczeństwo oraz formułowanie postulatów, dobrych praktyk i propozycji rozwiązań, w tym również o charakterze systemowym. Rada ma stanowić forum wymiany poglądów pomiędzy różnymi środowiskami oraz platformę wypracowywania synergicznych rozwiązań dla wyzwań ery cyfrowej. Istotnym obszarem działań Rady będzie także rozwój edukacji medialnej, informacyjnej i cyfrowej", napisano na stronie Kancelarii Prezydenta. Wydawać by się mogło, że w takim gremium zasiądą wybitni specjaliści. Tymczasem Karol Nawrocki zaprosił do współpracy pisowskich propagandzistów, m.in. Marcina Kędrynę, Rafała Ziemkiewicza oraz Karola Gaca – hejterów i dyletantów.

Paweł Swinarski to influencer szerzący fake newsy. Kreuje się na komentatora politycznego i fachowca od geopolityki, a tak naprawdę jest sprytnym manipulatorem. Na swoim kanale w serwisie YouTube publikował materiały sugerujące, że atak rosyjskich dronów na Polskę był „ukraińską prowokacją", mającą wciągnąć Polskę do wojny, a jego film był przywoływany jako przykład rosyjskiej dezinformacji w materiale przygotowanym przez Sztab Generalny Wojska Polskiego.

Angelika Badan to fachowiec, że hej! Jeszcze w 2018 r. uczęszczała do klasy maturalnej katolickiego liceum ogólnokształcącego w Chorzowie, będącego częścią Zespołu Szkół Stowarzyszenia Rodzin Katolickich Archidiecezji Katowickiej im. Kardynała Prymasa Augusta Hlonda. Wtedy jeszcze nie przypuszczała, że będzie doradzać prezydentowi Rzeczypospolitej. „Chciałam zostać stewardessą, dlatego wzięłam geografię, angielski i niemiecki. Teraz jednak moje plany się zmieniły. Pedagogika była moim planem B i z jej powodu wybrałam rozszerzoną matematykę, której chciałam nauczać. Cały czas zastanawiam się, co robić, więc jeszcze nie wiem, co z tego wszystkiego wyjdzie. Myślałam też nad filologią angielską", mówiła w rozmowie ze szkolną gazetką. W 2025 r. Badan obroniła na piątkę magisterkę z filologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach.

eprasa.pl 765918d2e3

Z takimi kompetencjami młoda dama ma szansę zostać prezydenckim ministrem.

Doświadczeniem, a być może nawet urodą Angelikę Badan przewyższa Anna Pawelec nazwana przez „Super Express" „piękną dziennikarką". Pawelec za czasów PiS pracowała w TVP, gdzie robiła siermiężną partyjną propagandę. Jej największym sukcesem zawodowym jest przygotowanie reportażu „o szokujących kulisach powstania stacji TVN". Teraz Pawelec robi to samo co w TVP, ale w propisowskiej telewizji wPolsce24.

W Radzie Nowych Mediów zasiada poza tym niejaki Łukasz Korus, zaufany człowiek Anny Krupki, byłego „aniołka" i makijażystki Jarosława Kaczyńskiego, a teraz szefowej świętokrzyskiego PiS. Korus w 2020 r. został zatrudniony w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Świętokrzyskiego jako pomoc administracyjna, ale szybko awansował na kierownika. W 2022 r. był już doradcą zarządu w Enea Elektrowni Połaniec, a po przegranych przez PiS wyborach wrócił do urzędu marszałkowskiego jako zastępca dyrektora działu IT. W rozmowie z kielecką „Gazetą Wyborczą" Korus twierdził, że zna się na mediach. „Zasiadałem w komisji mediów i marketingu Polskiego Związku Piłki Nożnej, w radzie programowej Radia Kielce, a teraz zasiadam w radzie TVP 3 Kielce. Jestem absolwentem studiów podyplomowych o sztucznej inteligencji i redaktorem naczelnym największego portalu o kołach gospodyń wiejskich", mówił o swoich kwalifikacjach.

Prezydent zaprosił do współpracy pisowskich propagandzistów, m.in. Marcina Kędrynę, Rafała Ziemkiewicza oraz Karola Gaca.

•

W innych radach powołanych przez Karola Nawrockiego jest podobnie. Zasiadają w nich ludzie często bez kompetencji i jednoznacznie kojarzeni z PiS lub Konfederacją. W Radzie Klimatu i Środowiska znajdziemy myśliwych i przeciwników „ekoterroryzmu", w Radzie Samorządu Terytorialnego prawie 100 prawicowych samorządowców, w Radzie Bezpieczeństwa i Obronności byłych upolitycznionych funkcjonariuszy służb lojalnych wobec partii Jarosława Kaczyńskiego, a nie wobec państwa polskiego. Najciekawsze jest to, że tych ponad 600 doradców nie wnosi niczego konstruktywnego do pracy Kancelarii Prezydenta RP. Nie przygotowują oni projektów ustaw, nie zgłaszają pomysłów, które miałyby wpływ na zmianę prawa, czy pomysłów modernizacyjnych. Wszystko wskazuje na to, że Karol Nawrocki buduje sobie po cichu zaplecze polityczne. Niewykluczone, że na bazie „doradców" powstanie partia prezydencka.

Andrzej Sikorski

NAGRODA TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ ŚLĄSKA W WARSZAWIE

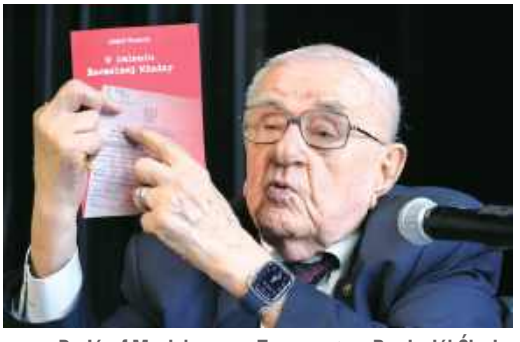

Dr Józef Musioł, prezes Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie.

Od lewej: Olgierd Łukaszewicz, dr Ryszard Musioł, sekretarz Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, i dr Łukasz Galusek, dyrektor Muzeum Śląskiego.

Doroczną nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie otrzymało Muzeum Śląskie w Katowicach. Odebrał ją dyrektor Muzeum dr Łukasz Galusek.

Gospodarzem uroczystości w Akademii Sztuk Pięknych był prezes Towarzystwa dr Józef Musioł. Olgierd Łukaszewicz odczytał „Odezwę do Ludu Śląskiego w dniu wybuchu III Powstania Śląskiego". Spotkanie zwieńczył występ Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk im. Stanisława Hadyny z programem pieśni śląskich i patriotycznych. Wspaniały śląski kołocz ufundował wójt gminy Godów Mariusz Adamczyk.

Ryszard Musioł, sekretarz Towarzystwa

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl 765918d2e3

Suplementowa loteria

Viagra w tabletkach „na energię”, w błonniku salmonella – o suplementach diety słów kilka

Marek Czarkowski

W kwietniu w mediach pojawiła się informacja o odkryciu przez krakowskich policjantów z wydziału do walki z przestępczością gospodarczą fabryczki, w której podrabiano suplementy diety. Mieściła się w skromnym domku jednorodzinnym w dzielnicy Podgórze. Co najmniej od końca 2024 r. 43-letni mężczyzna i jego 38-letnia partnerka w polowych warunkach podrabiali witaminy, odżywki i suplementy znanych polskich i zagranicznych marek, by sprzedawać je w internecie.

Widok fabryczki zaskoczył funkcjonariuszy. Kręciły się po niej koty i pies, wszędzie była sierść. Na stołach walały się puste kapsułki, które napełniano „substancjami czynnymi”. W szafach znaleziono pojemniki z kurkumą, glukozą i mąką ryżową. Odkryto także paczki profesjonalnie wydrukowanych etykiet. Modus operandi „przedsiębiorców” był prosty. Kupowali oryginalne suplementy, mierzyli opakowania, ważyli kapsułki i fotografowali etykiety. Takie same kapsułki i pojemniki kupowali następnie u chińskich i krajowych producentów, a w lokalnych drukarniach drukowali fałszywe etykiety. Kapsułki napełniali mieszanką sporządzoną przy użyciu domowych urządzeń AGD. Jak szacowano, proceder ten przyniósł parze kilkaset tysięcy złotych zysku.

To jeden z licznych przypadków patologii panoszącej się na polskim rynku suplementów diety, wartym ponad 7 mld zł rocznie. Z opublikowanych w grudniu 2025 r. danych PMR Market Experts oraz Polskiego Instytutu Ekonomicznego wynika, że w roku 2027 osiągnie on wartość 9 mld zł.

W domowej fabryczce „suplementów” na krakowskim Podgórzu w fatalnych warunkach higienicznych kapsułki napełniano mieszanką sporządzoną przy użyciu prostych urządzeń AGD.

Raport Cheers Polska „Nawyki żywieniowe Polaków 2018” wskazywał, że 86% Polaków uważało stosowanie suplementów diety za korzystne dla zdrowia, 72% sięgało po nie sporadycznie, a 51% zażywało je codziennie. Ocenia się, że w latach 2017-2020 do Głównego Inspektora Sanitarnego wpłynęło łącznie 62 808 powiadomień o wprowadzeniu lub zamiarze wprowadzenia do obrotu suplementów diety. Dziś może to być łącznie ponad 100 tys.

Na początku 2022 r. Najwyższa Izba Kontroli opublikowała dokument „(Nie)kontrolowane suplementy diety”, dowodzący, że rynek ten faktycznie znajduje się poza kontrolą.

Zrób sobie suplement

By wprowadzić suplement diety na rynek, wystarczy powiadomić o tym GIS. Nie jest wymagana klasyczna rejestracja, tak jak to wygląda w przypadku leków. Za bezpieczeństwo produktu odpowiada producent, a GIS – w przypadku wątpliwości – może prowadzić postępowanie wyjaśniające.

Według informacji NIK za weryfikację dziesiątków tysięcy zgłoszeń odpowiadało maksymalnie siedmiu pracowników GIS! W szczytowym 2020 r., gdy liczba zgłoszeń wzrosła aż o 70% w porównaniu z rokiem poprzednim, na jednego pracownika inspektoratu przypadało miesięcznie prawie 300 wniosków – to niemal 10 dziennie, przy założeniu pracy bez weekendów i urlopów. Rzetelna analiza w takich warunkach była niemożliwa.

Przy czym nie mogło być mowy o lenistwie urzędników. Była to i, jak sądzę, nadal jest kwestia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 765918d2e3

wieloletniego niedofinansowania i ignorowania problemu przez kolejnych ministrów zdrowia. NIK we wspomnianym raporcie skrytykowała ministerstwo za bierność i przyjmowanie wygodnego założenia, że rynek suplementów obarczony jest niskim ryzykiem. Tymczasem było wręcz odwrotnie.

W przeanalizowanych przez NIK 14 wybranych losowo przypadkach (z ponad 60 tys. suplementów zgłoszonych do GIS) urząd nie wyegzekwował od producentów nawet podstawowego obowiązku przedstawienia opinii naukowych dotyczących składu i działania wyrobów. Bezkarnie ignorowali oni wezwania GIS w tej sprawie, a ich suplementy o niepotwierdzonych właściwościach i potencjalnie niebezpiecznym składzie spokojnie leżały na półkach, czekając na naiwnych klientów. Niektóre produkty ostatecznie uznane za nienadające się do sprzedaży były dostępne na rynku przez ponad trzy lata, zanim podjęto jakiekolwiek ostateczne decyzje! Państwo polskie potrzebowało trzech lat, by wycofać z rynku specyfiki, które nigdy nie powinny się na nim znaleźć!

Choć potem i na to producenci znaleźli sposób. Wystarczyło nieco zmienić nazwę i skład pigułek, by ponownie zgłosić je do GIS i wprowadzić na rynek. Jakby tego było mało – sprowadzać i sprzedawać suplementy diety oraz uruchomić ich produkcję, nie obawiając się kontroli, mógł i może każdy.

Doda, „Hardkorowy Koksu" i inni

W ubiegłym roku media doniosły, że Prokuratura Rejonowa Warszawa Śródmieście-Północ prowadzi dochodzenie w sprawie reklamowania przez Dorotę Rabczewską suplementów Doda D'eau, pod kątem przypisywania im właściwości leczniczych wbrew przepisom prawa farmaceutycznego. W nagraniach publikowanych w mediach społecznościowych piosenkarka twierdziła, że zdiagnozowano u niej chorobę Hashimoto, którą „wyleczyła" wyłącznie dietą i suplementami, bez przyjmowania leków. Doda wskazywała przy tym konkretny produkt – żelki linii Doda D'eau marki Activlab. Ich produkcją zajmowała się spółka Unipro. Z dostępnych źródeł wynika, że producent żelków nie przedstawił wyników niezależnych badań klinicznych. Co było i jest zgodne z prawem, gdyż taki obowiązek nie spoczywa na producentach tego typu towaru. Na dziś brakuje informacji o jakichkolwiek ostatecznych decyzjach prokuratury w sprawie suplementów Dody.

By wprowadzić suplement diety na rynek, wystarczy powiadomić o tym GIS. Nie jest wymagana klasyczna rejestracja, tak jak to wygląda w przypadku leków.

W 2022 r. Robert Burneika, znany jako „Hardkorowy Koksu", w programach „Hejt Park" i cyklu „Hardkorowy Koksu FM" prowadzonych na Kanale Sportowym dostępnym w serwisie YouTube wielokrotnie zachwalał produkty sprzedawane w sklepie internetowym Burneika Sports. Opowiadał o ich zaletach, nie informując o ryzyku zdrowotnym wynikającym z ich stosowania. A znajdowały się wśród nich preparaty dla kulturystów, w tym środki z grupy SARM (selektywne modulatory receptora androgenowego), które są przez Światową Agencję Antydopingową zakazane i uważane za doping. Gdy sprawa stała się głośna, działalnością „Hardkorowego Koksu" zainteresowały się kompetentne organy. Kanał Sportowy zakończył współpracę z Burneiką i usunął wszystkie odcinki programów z jego udziałem, tłumacząc, że nie miał wiedzy o charakterze jego działalności dotyczącej suplementów.

Na początku lutego 2023 r. pojawiła się przykra dla Burneiki informacja. Z zawiadomienia GIS w tej sprawie prowadzone jest postępowanie. Chodzi o wprowadzenie do obrotu szkodliwych dla zdrowia lub życia człowieka suplementów diety i środków spożywczych specjalnego przeznaczenia żywieniowego, oferowanych pod znakami towarowymi Burneika Sports, z czego sprzedawca uczynił stałe źródło dochodu. Obecnie jednak nie ma publicznych informacji o wyroku czy oficjalnym zakończeniu postępowania karnego.

W latach 2024-2025 Małgorzata Rozenek-Majdan reklamowała własną linię suplementów diety

eprasa.pl 765918d2e3

o nazwie YOU. Miały wzmacniać skórę, włosy, paznokcie, dodawać energii i „zatrzymywać młodość", ale w internecie wywołały dużo negatywnych komentarzy. 27 lutego 2025 r. wydana została natomiast decyzja prezesa UOKiK na temat ogólnej reklamowej działalności celebrytki – uznał on, że Rozenek-Majdan w latach 2016-2024 stosowała nieuczciwe praktyki rynkowe polegające na wprowadzaniu odbiorców w błąd co do komercyjnego charakteru jej postów w mediach społecznościowych, gdyż nie były jasno, czytelnie i zrozumiale oznaczane jako reklama. Na Małgorzatę Rozenek-Majdan nałożono ponad 200 tys. zł kary. Odwołała się do Sądu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, ale przegrała.

Blanka Lipińska, autorka bestselleru „365 dni", polecała na Instagramie produkt o nazwie Good Mood, na stany depresyjne, lęki i smutek, przekonując: „Postawi Was psychicznie na nogi, (…) da wam moim zdaniem taką siłę do tego, żebyście ruszyły dalej i robiły te kroczki". Swoim obserwatorom przypominała, że dzięki specjalnemu kodowi zniżkowemu „365dni" mogą zakupić suplement odmieniający życie aż o 20% taniej. Regularna cena wynosiła 119 zł. Produkowany przez firmę Bio Medical Pharma suplement Good Mood składał się z oleju rybiego (zawierającego kwasy omega-3 EPA/DHA) oraz ekstraktu z czerwonych znamion kwiatów szafranu. A także z żelatyny rybiej, skrobi, glicerolu, wosku pszczelego, dwutlenku krzemu i ryboflawiny. Oczywiście wolno wierzyć, że taki zestaw substancji czynnych pomaga w terapii depresji. Gdy na Blankę Lipińską spadła lawina krytyki, celebrytka wycofała się, przepraszając osoby, które uraziła jej wypowiedź. Dodała, że nie bagatelizuje depresji i nie pozwoliłaby sobie rekomendować suplementów zamiast terapii i farmakologii w sytuacjach tego wymagających.

Pod koniec sierpnia 2023 r. decyzją prezesa UOKiK ukarani zostali spółka Olimp Laboratories i trzej influencerzy, wśród których znalazł się znany tyczkarz Piotr Lisek. Urząd uznał, że współpracujący z Olimp Laboratories Lisek publikował w mediach społecznościowych treści o charakterze reklamowym (m.in. dotyczące suplementów diety) bez wyraźnego i jednoznacznego oznaczenia, że są to reklamy, co mogło wprowadzać obserwujących w błąd. Kara wyniosła ok. 23 tys. zł, lecz brakuje informacji, czy tyczkarz ją zapłacił.

Sama spółka Olimp Laboratories została obciążona kwotą przekraczającą 5 mln zł za nakłanianie do stosowania nieprawidłowych oznaczeń reklam. Oczywiście od decyzji się odwołała do Sądu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. I przegrała.

Groźne incydenty

Najgłośniejsza kara ostatnich lat dotyczyła suplementów RenoPuren Zatoki Hot i RenoPuren Zatoki Junior spółki Aflofarm Farmacja Polska – jednego z największych producentów tych specyfików w Polsce. UOKiK nałożył na nią grzywnę w wysokości prawie 26 mln zł, uzasadniając, że przekaz reklamy wprowadzał konsumentów w błąd, gdyż sprawiał wrażenie, że mają oni do czynienia z produktem leczniczym, a nie ze zwykłym suplementem diety. Aflofarm się odwołał i ostatecznie zapłacił znacznie mniej.

Innym głośnym przypadkiem było wycofanie w listopadzie 2025 r. suplementu diety Błonnik 350 g wyprodukowanego przez Oleofarm. Powodem była obecność w jednej z próbek Salmonelli. Poważny incydent dotyczył też suplementów zawierających ashwagandhę. W kwietniu 2026 r. GIS nakazał wycofanie licznych partii produktów marek Nanga (producent: NANGA Przemysław Figura) oraz Mother's Protect (producent: Flower One Sp. z o.o.). W badaniach laboratoryjnych stwierdzono w nich przekroczenie najwyższego dopuszczalnego poziomu pestycydu – chlorpiryfosu.

Wydaje się jednak, że wszystko przebił suplement o nazwie BOSS Energy Extra (partia 0238, data trwałości do 18.10.2026) dystrybuowany przez spółkę Boss of Toys. W próbce tego produktu, reklamowanego jako środek „na energię", stwierdzono obecność sildenafilu oraz tadalafilu – substancji czynnych stosowanych głównie w leczeniu zaburzeń erekcji. Sprawa jest w toku.

W ostatnich latach kontrolerzy zajmujący się suplementami znajdowali w ich składzie ibutamoren, johimbinę, ostarynę i DMHA. Do tego wykryli wiele zanieczyszczeń metalami ciężkimi: ołowiem, rtęcią, kadmem, które kumulują się w organizmie, a po latach mogą skutkować uszkodzeniem nerek, wątroby oraz układu nerwowego. Znajdowano też silne stymulanty zbliżone do amfetaminy.

Okazuje się, że każdego dnia miliony Polaków przekonanych, że robią coś dobrego dla swojego zdrowia, biorą udział w największej loterii zdrowotnej w Europie, w której nagrodą jest w najlepszym razie placebo, a w najgorszym – trucizna.

Brzmi to szczególnie przerażająco, gdy uświadomimy sobie, że suplementy łyka dwie trzecie rodaków. Jedno jest pewne: dopóki ten rynek nie zostanie poddany takiemu samemu rygorowi jak rynek farmaceutyczny – z obowiązkową certyfikacją składu, niezależnymi badaniami i surowymi sankcjami za fałszowanie produktów – będziemy świadkami kolejnych afer i skandali.

Marek Czarkowski

Kontrolerzy wykryli wiele zanieczyszczeń ołowiem, rtęcią i kadmem, które po latach mogą skutkować uszkodzeniem nerek, wątroby oraz układu nerwowego.

Miliony Polaków biorą udział w największej loterii zdrowotnej w Europie.

eprasa.pl 765918d2e3

JAK TRUMP ZARABIA NA PREZYDENTURZE

Prezydent USA, jego rodzina i przyjaciele mają wielkie sukcesy w pomnażaniu swojego majątku

Robert Walenciak

62% Amerykanów jest niezadowolonych z tego, w jaki sposób Donald Trump wywiązuje się z obowiązków prezydenta USA. To wiemy z kwietniowego sondażu Reuters/Ipsos. W tym samym badaniu 71% uznało go za nadpobudliwego, a 51% zauważa, że w ostatnim roku jego stan intelektualny się pogorszył.

Można rzec – dominuje opinia, że Trump z kierowaniem Ameryką sobie nie radzi i ma coraz większe problemy psychiczne. Trudno z tym polemizować. Jednocześnie radzi sobie znakomicie na innych polach. On, jego rodzina oraz grono współpracowników i przyjaciół w ostatnim roku osiągnęli wielkie sukcesy w pomnażaniu swojego majątku. Tu Trump jest bystry ponad miarę.

Amerykańska prasa regularnie ujawnia nowe informacje dotyczące biznesowych przedsięwzięć Donalda Trumpa i jego otoczenia – jest o tym głośno. Popularność w amerykańskich mediach zyskały słowa Juliana Zelizera, profesora historii najnowszej USA z Uniwersytetu Princeton, współpracującego z CNN i „The Atlantic": „Nie sądzę, aby obecnie istniała granica między decyzjami politycznymi i kalkulacjami politycznymi a interesem rodziny Trumpów".

•

„Forbes" już we wrześniu 2025 r. pisał: „Donald Trump właśnie zaliczył najbardziej lukratywny rok w swoim życiu. Majątek prezydenta wynosi obecnie rekordowe 7,3 mld dol. w porównaniu z 4,3 mld dol. w 2024 r., kiedy wciąż ubiegał się o urząd. Zysk w wysokości 3 mld dol. pozwolił mu awansować o 118 pozycji na liście Forbes 400, gdzie w tym roku znalazł się na 201. miejscu. Żaden prezydent w historii USA nie wykorzystał swojej pozycji do osiągnięcia tak ogromnych zysków jak Trump".

Żaden prezydent w historii USA nie wykorzystał swojej pozycji do osiągnięcia tak ogromnych zysków jak Trump.

Na czym Trump się dorobił? Na kryptowalutach. Wszedł w ten biznes i zarobił górę pieniędzy. „Forbes" wyliczył, które części majątku Trumpa najbardziej się powiększyły:

- Memecoin: **+710 mln dol.**
- Aktywa płynne: **+660 mln dol.**
- Wygrana prawna: **+470 mln dol.**
- Działalność związana z licencjami i zarządzaniem: **+410 mln dol.**
- Tokeny World Liberty Financial: **+340 mln dol.**
- Działalność związana ze stablecoinami: **+240 mln dol.**

Liczby, choć imponujące, nie oddają biznesowych emocji. Warto przypomnieć, że za pierwszej kadencji Trump był przeciwny kryptowalutom, mówił, że to pieniądz z niczego. Ale zmienił zdanie. W wyborach w 2024 r. branża kryptowalut stała się największym darczyńcą korporacyjnym, przekazując 238 mln dol. – więcej niż lobby naftowe, gazowe i farmaceutyczne. Trump wyciągnął z tego wnioski. We wrześniu 2024 r. on i jego synowie oraz Zachary Folkman, Chase Herro i Alex Witkoff z bratem Zachem założyli „przedsięwzięcie" kryptowalutowe o nazwie World Liberty Financial. Trumpowie zapewnili sobie w nim 75% zysków.

WLF rozkwitło po wygranych przez Trumpa wyborach. Wtedy to do firmy zaczęli napływać inwestorzy, w większości anonimowi, kupując emitowane przez nią tokeny o nazwie $WLFI. Wśród tych, których nazwiska poznaliśmy, był Justin Sun, przedsiębiorca z branży kryptowalut, którego Komisja Papierów Wartościowych i Giełd oskarżała o oszustwo. Sun zainwestował w WLF 75 mln dol., z czego 40 mln przekazał Trumpowi. Ta inwestycja poprawiła los Suna. W lutym 2025 r. federalny pozew z oskarżeniem o oszukiwanie inwestorów został wstrzymany, a ostatecznie sprawę zakończono ugodą w wysokości 10 mln dol.

Wielkim inwestorem w World Liberty Financial okazał się emiracki szejk Tahnun bin Zajed. Jak ujawnił „Wall Street Journal", szejk kupił 49% udziałów za 500 mln dol. Część pierwszej transzy pieniędzy – 187 mln – miała trafić do spółek Trumpa, a 31 mln do członków rodziny Steve'a Witkoffa. Umowę podpisał Eric Trump, syn prezydenta, który wraz z bratem Donaldem juniorem zasiada w zarządzie firmy.

Do tego emiracki fundusz inwestycyjny MGX, w którym szefem rady nadzorczej jest szejk Tahnun bin Zajed, zakupił od World Liberty

eprasa.pl 765918d2e3

stablecoiny o nazwie USD1, warte 2 mld dol. Pieniądze wyrzucone w błoto? Niekoniecznie. Szejk od dłuższego czasu zabiegał o pozwolenie na import zaawansowanych technologicznie czipów do jego firmy G42. Zabiegi okazały się skuteczne, Biały Dom zgodził się na eksport 500 tys. procesorów do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, w tym do G42.

W styczniu 2025 r. Trump wprowadził też na rynek memecoin o nazwie $TRUMP (Official Trump Meme Coin). Jego podaż wynosiła 1 mld tokenów. W ciągu kilku dni waluta osiągnęła kapitalizację rynkową przekraczającą 12 mld dol., a jej wartość doszła do 75,8 dol. za token.

Już jako prezydent Trump okazał się wyjątkowo łaskawy dla branży. Sam ogłosił się prezydentem kryptowalut. Oczywiście wycofał się z dotychczasowych regulacji dotyczących rynku kryptowalut i podpisał nową, korzystną dla niego ustawę.

•

Te działania nie pozostawały bez odpowiedzi. Felietonistka „Washington Post" Catherine Rampell zasugerowała, że prezydent może wykorzystać nową kryptowalutę, $TRUMP coin, do przyjmowania łapówek od zagranicznych rządów. „Wyzwaniem dla każdego, kto kupił te monety, jest to, że jeśli chce je wypłacić, musi znaleźć większego głupca, który będzie gotów zapłacić więcej". Kto więc, poza naiwnymi, będzie je kupował? Rampell ma odpowiedź na to pytanie: „Przez następne cztery lata może istnieć jedno wiarygodne źródło stałych nabywców: osoby prywatne, firmy i rządy zagraniczne, które chcą zyskać przychylność prezydenta".

Catherine Rampell tłumaczy też, jak może działać ten mechanizm: „Saudyjczycy nie muszą już zatrzymywać się w hotelach Trumpa, żeby nabijać kieszeń prezydentowi, mogą pokazywać swój portfel cyfrowy. W końcu każdy dolar, który włożą w podtrzymywanie wartości memecoina Trumpa, w efekcie doda gotówki do konta bankowego Trumpa".

•

Prezydent USA zarabia nie tylko na kryptowalutach. Właściwie zarabia, wręcz kompulsywnie, na czym się da. Promuje swoim nazwiskiem buty sportowe za 399 dol., z napisem „Never Surrender", gitary elektryczne w cenie do 11,5 tys. dol. oraz linię perfum i wody kolońskiej o nazwie Trump Victory 45-47 za 249 dol., przekonując: „Te perfumy to zwycięstwo, siła i sukces". Promował też telefony Trump Mobile w kolorze złotym, które mają działać w sieci T1Mobile. I biblię z napisem „God Bless the USA" za 59,99 dol. Biblia była drukowana w Chinach i sprowadzana do USA w cenie 3 dol. za egzemplarz. Trump przyznał, że zarobił na jej sprzedaży 400 tys. dol.

Prezydent USA łasy jest również na prezenty. Od rządu Kataru dostał specjalnie przerobionego Boeinga 747 wartego 400 mln dol. I nie przejął się, że łamie konstytucję, która zabrania przedstawicielom rządu przyjmowania podarunków od rządów zagranicznych bez zatwierdzenia przez Kongres. „Tylko głupek nie przyjąłby takiego prezentu", powiedział.

Brytyjski „The Guardian" opisywał z kolei listopadową wizytę w Białym Domu przedstawicieli szwajcarskiego biznesu. Prezes Rolexa Jean-Frédéric Dufour wręczył prezydentowi (oficjalnie w bibliotece prezydenckiej) złotego Rolexa serii Datejust, który określił jako „skromny, wyrafinowany wyraz tradycyjnego szwajcarskiego zegarmistrzostwa". Złoty, ale skromny. „Żłobkowany, złoty bezel, zielona tarcza i cyklop powiększający komplikację daty – opisywał dar portal Hodinkee, poświęcony zegarkom. – To nie jest produkt dostępny w sprzedaży".

„Bibliotece prezydenckiej" ofiarowano też sztabkę złota ozdobioną cyframi 45 i 47 – dla uczczenia pierwszej i drugiej prezydentury Trumpa – z napisem „Prezydent", o wartości 130 tys. dol. Kilka tygodni później prezydent obniżył cła na wyroby szwajcarskie z 39% do 15%.

Donald Trump patronuje ponadto inwestycjom w różnych miejscach świata. Bernard Condon, dziennikarz śledczy agencji AP, podaje trzy przykłady: „W Katarze projekt klubu golfowego i willi Trump jest częściowo realizowany przez firmę należącą do rządu Kataru. W Wietnamie rząd, jak doniósł »New York Times«, zmusił rolników do opuszczenia ich ziemi, aby zrobić miejsce pod ośrodek Trumpa, a wicepremier tego kraju podpisał umowę podczas specjalnej ceremonii. W Arabii Saudyjskiej planowany ośrodek Trump Plaza nad Morzem Czerwonym jest budowany przez saudyjskiego dewelopera bliskiego rodzinie rządzącej. Niemal niemożliwe jest ustalenie, czy umowy te odegrały rolę w zmianie polityki USA w sposób, o jaki zabiegały te kraje, ale kraje te uzyskały to, czego chciały – dostęp do zaawansowanej technologii amerykańskiej dla Kataru, ulgi celne dla Wietnamu i myśliwce dla Arabii Saudyjskiej".

•

Biznes powinien być oddzielony od polityki. W Stanach Zjednoczonych mechanizmy temu służące działają od dawna. Ale w czasach Trumpa zostały zdemontowane lub nie mają znaczenia. Teoretycznie aktywa biznesowe prezydenta znajdują się w specjalnym funduszu powierniczym. Ale kontrolę nad nim ma jego syn Donald Trump junior. Czy to wystarczająca bariera?

Trump zarabia nie tylko na kryptowalutach. Właściwie zarabia, na czym się da.

Trójka dzieci prowadzi też rodzinną firmę Trump Organization, molocha skupiającego ok. 500 podmiotów. Po objęciu prezydentury Donald Trump przekazał im ją w zarządzanie.

•

Jak wyliczają dziennikarze, członkowie rodziny Trumpa zarabiają na kryptowalucie, podpisują warte miliardy dolarów umowy na budowę pól golfowych, hoteli i innych nieruchomości w Katarze, Dubaju, Arabii Saudyjskiej, Indiach i Wietnamie. Donald Trump junior stał także za inicjatywą otwarcia nowego prywatnego klubu w Waszyngtonie, nazwanego Executive Branch (Władza Wykonawcza), w którym wpisowe wnosi 500 tys. dol. A już istnieje lista oczekujących.

eprasa.pl 765918d2e3

Donald Trump oraz jego synowie (od lewej) Donald junior i Eric, żona Melania, a także córki Tiffany i Ivanka na otwarciu nowego hotelu Trump International w Waszyngtonie, 26 października 2016 r.

W imprezie inauguracyjnej uczestniczyło co najmniej kilku członków administracji Donalda Trumpa, poza tym zamożni prezesi firm, założyciele spółek technologicznych i eksperci ds. polityki. W gronie współzałożycieli klubu znaleźli się m.in. Alex i Zach Witkoffowie. CNBC podała, że członkami założycielami klubu są również pełnomocnik Białego Domu ds. kryptowalut David Sacks, inwestorzy kryptowalutowi Tyler i Cameron Winklevossowie oraz inwestor technologiczny Chamath Palihapitiya.

W ostatnich tygodniach głośno było o nowym przedsięwzięciu synów Trumpa – zostali udziałowcami firmy Powerus z siedzibą na Florydzie. Według „Wall Street Journal" Powerus prowadzi rozmowy w sprawie przejęcia ukraińskich producentów dronów lub licencji na ich technologię, żeby produkować je w USA, a później zaoferować armii amerykańskiej.

To już się dzieje. Pentagon ogłosił, że do 2027 r. przeznaczy ok. 1,1 mld dol. na zakup setek tysięcy dronów. Inna firma, której udziałowcem jest Donald Trump junior, Unusual Machines, produkuje silniki do dronów. I już ma zamówienie Pentagonu na 3,6 tys. silników, z obietnicą rozszerzenia na dziesiątki tysięcy kolejnych.

Synowie prezydenta mają udziały także w innych firmach związanych kontraktami z Pentagonem. Wśród nich jest producent silników rakietowych, dostawca układów scalonych AI oraz firma zajmująca się analizą danych.

Na pytanie o potencjalny konflikt interesów rzecznik Donalda juniora odpowiedział, że nie „interweniuje" on w sprawach spółek ze swojego portfela, dodając: „Pomysł, że miałby przestać żyć i zarabiać na utrzymanie pięciorga dzieci tylko dlatego, że jego ojciec jest prezydentem, to, szczerze mówiąc, śmieszny i absurdalny standard". W oświadczeniu Trump Organization możemy zaś przeczytać, że „sugestia, iż polityka wzbogaciła rodzinę Trumpów, jest bezpodstawna".

•

Oczywiście swój kawałek tortu ma Melania Trump. Za film „Melania" otrzymała od Amazon MGM Studios ok. 40 mln dol. W rekordowej jak na tytuł dokumentalny umowie zagwarantowała sobie pozycję producenta wykonawczego. „Była zaangażowana w produkcję, postprodukcję, całą kampanię reklamową, zwiastun…", mówił jej agent i starszy doradca Marc Beckman w wywiadzie dla One America News.

Pieniądze lubią też zięcia Donalda Trumpa, Jareda Kushnera. „Forbes" szacuje jego majątek na nieco ponad 1 mld dol. (900 mln dol. rok temu). Jego firma private equity Affinity zarządza aktywami o wartości 4,8 mld dol. Ma ok. 25 inwestycji – w tym 22 spółki portfelowe – w co najmniej ośmiu krajach, w różnych branżach, od technologii fitness po leasing samochodów. To m.in. udziały w platformie Revolut czy izraelskiej firmie ubezpieczeniowej Phoenix.

Ale kłopot polega na czym innym – jak napisał „New York Times", Kushner zabiega o 5 mld dol. dla swojej firmy od rządów Arabii Saudyjskiej, Zjednoczonych Emiratów i Kataru, pełniąc jednocześnie funkcję czołowego negocjatora rządu USA ds. Bliskiego Wschodu. Spotyka się więc m.in. z przedstawicielami saudyjskiego Funduszu Inwestycji Publicznych (Public Investment Fund, PIF), który jest już znaczącym inwestorem w jego firmie. Fundusz ten, z aktywami ocenianymi na 925-941 mld dol., to jeden z największych na świecie państwowych funduszy majątkowych. Jego przewodniczącym jest książę koronny i następca tronu Muhammad ibn Salman.

Na dobrą sprawę rola Kushnera w kontaktach z Arabią Saudyjską, ZEA czy Katarem była zatarta. Bo nie dało się określić, czy na Bliskim Wschodzie występuje jako ten, kto zabiega o fundusze, czyli osoba zainteresowana osobistym zyskiem, czy

FOT. GARY CAMERON/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 765918d2e3

jako przedstawiciel interesów Stanów Zjednoczonych.

•

Podobnie rzecz się ma ze Steve'em Witkoffem, wysłannikiem prezydenta Trumpa na Bliski Wschód, no i negocjatorem w sprawie wojny rosyjsko-ukraińskiej. Witkoff to prawnik, właściciel Witkoff Group, firmy z branży deweloperskiej i inwestycyjnej, mającej w portfelu nieruchomości w Nowym Jorku, Miami, ale i poza USA. Przede wszystkim jednak to przyjaciel Trumpa od roku 1986. W jednym z wywiadów opowiadał, że „uczył się biznesu nieruchomościowego od Trumpa". „Przychodził do biura na 101 Park Avenue, gdzie pracowałem jako prawnik. Miał taki zawadiacki styl. Widziałem go i myślałem: »Boże, chciałbym nim być«", mówił w rozmowie z Tuckerem Carlsonem. Ich przyjaźń przetrwała więc 40 lat. Cementują ją wspólne interesy.

To on, jak pisał „New York Times", przygotował jeszcze w 2023 r. projekt World Liberty Financial, wspomnianą inicjatywę kryptowalutową, która zasila rodzinę Trumpa setkami milionów dolarów. W zarządzie WLF zasiada syn Witkoffa Zach. Są również synowie prezydenta USA, w biznes wciągany jest też najmłodszy z nich, Barron. Zach nie ukrywa atencji wobec Trumpa. To na jego cześć synowi imię Don. „Gratulacje dla Zacha i Sophii Witkoff z okazji narodzin ich syna, Dona Jamesa Witkoffa (DJW), nazwanego moim imieniem (dziękuję!)", pisał Trump na portalu społecznościowym Truth Social. Zach Witkoff zrewanżował się: „To zaszczyt nadać synowi imię po najwspanialszym prezydencie wszech czasów".

•

To, że Trump i jego najbliżsi mieszają sprawy biznesu i polityki, widać wyraźnie, gdy obserwujemy ich aktywność międzynarodową. Pomysł uczynienia z Gazy luksusowego wybrzeża dla najbogatszych mógł się zrodzić tylko w ich głowach. Podobnie jest w sprawie wojny rosyjsko-ukraińskiej. Jeśli chodzi o Ukrainę, Trumpa najbardziej interesowała umowa o przejęciu jej zasobów naturalnych. Co do uzbrojenia, amunicji – dziś kupuje je w USA Unia Europejska i to ona przekazuje broń Ukraińcom.

W kwestii Rosji z największym zrozumieniem spotykają się w Waszyngtonie słowa Kiryła Dmitriewa, specjalnego wysłannika Władimira Putina, że USA powinny znieść sankcje, bo amerykańskie firmy straciły na nich 300 mld dol. Poza tym Dmitriew obiecuje ludziom Trumpa wspólne umowy o wartości 14 bln dol. „The Economist" wylicza, że proponowane projekty obejmują wydobycie metali ziem rzadkich, przedsięwzięcia w Arktyce dotyczące ropy naftowej i gazu, a nawet budowę łączącego Alaskę z Rosją tunelu, który nazywałby się Putin-Trump.

Nie dziwmy się więc niecierpliwości amerykańskich negocjatorów, gdy widzą, jakie okazje przechodzą im koło nosa. Nie dziwmy się też niechęci do Unii Europejskiej, gdzie sprawy biznesowe załatwia się długo, obowiązują procedury, nikt nie podejmuje decyzji w stylu arabskiego szejka czy rosyjskiego prezydenta. Trump głośno zatem narzeka na Brukselę, która „utrudnia działanie amerykańskich firm".

•

„The Guardian" opisywał niedawno historię planów budowy gazociągu w Bośni i Hercegowinie, który łączyłby Bośnię z terminalem skroplonego gazu ziemnego u wybrzeży Chorwacji. Gazociągiem ma być transportowany amerykański gaz.

Po kilkumiesięcznych naciskach ze strony urzędników USA przywódcy Bośni i Hercegowiny podjęli działania w celu przyznania kontraktu amerykańskiej firmie AAFS Infrastructure and Energy. Firma została zarejestrowana w listopadzie 2025 r. w stanie Wyoming i nie ujawniła swoich właścicieli. A na jej czele stoją dwaj prawnicy Donalda Trumpa: Jesse Binnall, który bronił go przed zarzutami o podżeganie do zamieszek na Kapitolu, oraz Joe Flynn, brat byłego doradcy prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego.

Naciski amerykańskich urzędników w sprawie dopiero co powstałej prywatnej firmy okazały się skuteczne. Argumenty, że „prezydent Trump traktuje inwestycję priorytetowo", zdecydowały, że rząd w Sarajewie przyznał kontrakt firmie krzak bez przetargu. W tym celu zmieniono prawo. Zaowocowało to interwencją Brukseli. Ambasador Unii w Sarajewie przekazał przywódcom Bośni i Hercegowiny „prywatne ostrzeżenie", że narażają na szwank nadzieje kraju na przystąpienie do UE.

•

Działalność anonimowych „inwestorów" odnotowała również amerykańska giełda. Pod koniec marca głośno było o dziwnych transakcjach – kiedy niezidentyfikowany inwestor lub grupa inwestorów postawiła ok. 500 mln dol. na kontrakty futures na ropę Brent i WTI, obstawiając spadek cen ropy. Było to tuż przed tym, jak Trump ogłosił, że odkłada w czasie ataki na irańską infrastrukturę energetyczną. Po tej informacji ceny ropy gwałtownie spadły o 15%. Ktoś na tym zarobił. W kwietniu 2025 r. anonimowi traderzy zarobili dziesiątki milionów dolarów na opcjach giełdowych tuż przed ogłoszeniem przez Trumpa wstrzymania ceł.

Pieniądze zarabiano także na zakładach bukmacherskich. Tuż przed 28 lutego 2026 r. ktoś postawił na scenariusze związane z atakami USA i Izraela na Iran i na usunięcie Alego Chameneiego z urzędu. Firma analityczna Bubblemaps wskazała sześć kont, które zarobiły łącznie 1,2 mln dol., finansując swoje zakłady zaledwie kilka godzin przed atakiem. Z kolei w styczniu 2025 r., krótko przed operacją zatrzymania prezydenta Wenezueli Nicolása Madura jeden z anonimowych graczy zarobił ok. 410 tys. dol., obstawiając jego usunięcie.

„Drill, baby, drill!" (wierć, kochanie, wierć), wołał Trump, mając na myśli firmy naftowe. Każdy więc wierci, jak może. Jak zwrócił uwagę „New Yorker", od początku drugiej kadencji prezydent i jego rodzina zyskali 4 mld dol. dzięki umowom, w których wykorzystano jego pozycję jako głowy państwa. Ci niżej stojący zarobili relatywnie mniej. Każdy na skalę swoich możliwości.

Nie dziwmy się więc, że Michael Johnston, autor książek na temat korupcji, mówi: „Obserwuję i opisuję korupcję od 50 lat, ale [czasom Trumpa] wciąż nie mogę się nadziwić".

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 765918d2e3

Z Galicji

Jan Widacki

Brunatniejemy

Sądząc po tytułach gazet oraz internetowych serwisów informacyjnych, a także po ilości czasu antenowego w wiadomościach radia i telewizji, najważniejszym wydarzeniem w Polsce w ostatnich dniach jest kolejny etap dobrowolnej banicji Zbigniewa Ziobry. Jak wiadomo, bojąc się, że zostanie wydany przez Węgry władzom polskim, czmychnął stamtąd do USA.

Owszem, jest to problem dla ministra sprawiedliwości i jego kolegi od spraw zagranicznych, jest to również problem dla policji i służb specjalnych. Nie chodzi tu oczywiście o samego Ziobrę. Niech, uciekając przed polskim kryminałem, siedzi sobie za granicą. To nawet może i dobrze. W polskiej polityce jest osobiście nieobecny. Nie toczy się jego proces, którego każdy etap byłby dla PiS okazją do robienia z Ziobry męczennika reżimu, a z Tuska tyrana. Za jakiś czas wszyscy by o Ziobrze zapomnieli. Sprawa kolejnego etapu ucieczki Ziobry obnaża jednak wartość naszego sojuszu z USA. Trump i jego administracja stają jawnie po stronie polskiej opozycji, przeciw polskiemu rządowi, nie uznając przy tym polskiego wymiaru sprawiedliwości. Lekceważą nas jako państwo. To poważny problem. Ale zarazem jeszcze jeden argument za tym, że sojuszników musimy szukać w Europie, a nie za oceanem.

Czynienie przez media z kolejnego etapu ucieczki Ziobry wydarzenia przykrywającego wszystkie inne jest niestety dowodem ich niedojrzałości. Tymczasem w kraju dzieją się rzeczy stokroć ważniejsze i zapowiadające na przyszłość rzeczy najgorsze. Rośnie poparcie dla partii Brauna, co oznacza, że już ponad 10% Polaków jawnie podziela poglądy tego rasisty, antysemity i ksenofoba. Podziela jego antyukraińskie, a tym samym proputinowskie zapatrywania. Pozbawione sensu, ale nośne hasło „Polska dla Polaków" jest zaś akceptowane przez znacznie szersze kręgi społeczeństwa niż sam elektorat Brauna. Jest to hasło tyleż głupie, co niebezpieczne.

Niedawno na Moście Świętokrzyskim w Warszawie banda młodych Polaków właśnie w imię hasła „Polska dla Polaków" zaatakowała grupę młodych Ukraińców. Zostali napadnięci dlatego, że rozmawiali po ukraińsku. Jeden z ukraińskich chłopców, potraktowany gazem, powalony na ziemię i kopany po całym ciele, ma pękniętą czaszkę i zmasakrowaną twarz. Trafił do szpitala. Innego ukraińskiego chłopca próbowano zrzucić z mostu do Wisły, złamano mu nos. Biciu towarzyszyły krzyki: „Wypierdalać na Ukrainę!". Logiczne. Wszak „Polska jest dla Polaków". Najbardziej poszkodowany chłopiec, Artem, mieszka w Polsce już kilka lat, mówi dobrze po polsku, jest uczniem technikum. Do niedawna uważał Polskę za swoją drugą ojczyznę.

Policja szukała sprawców, wydała nawet komunikat. Wynikało z niego, że wprawdzie ich nie ustalono, za to policja już wie, czym się kierowali: „Obecne ustalenia i zebrany materiał dowodowy nie wskazują, aby zdarzenie to miało podłoże na tle narodowościowym". Jak widać, towarzyszące katowaniu chłopaka okrzyki „Wypierdalaj na Ukrainę!" uznano za slangową, bardziej przystępną formę hasła „Polska dla Polaków", tło było zatem patriotyczno-dydaktyczne. Na szczęście w końcu agresorów złapano.

Przywykliśmy, że „Polska ma być dla Polaków". Na razie. W następnym etapie dowiemy się, że nie dla wszystkich Polaków.

Gdy zdarzenie opisała „Gazeta Wyborcza", nie słyszałem, by ten bandycki napad został potępiony przez autorytety moralne i liderów głównych sił politycznych, poza prezydentem Warszawy Trzaskowskim. A zwłaszcza, by słowa potępienia i nawoływanie do opamiętania rozległy się z ambon kościołów. No cóż, przywykliśmy, że „Polska ma być dla Polaków". Tylko dla Polaków. Na razie. W następnym etapie dowiemy się, że nie dla wszystkich Polaków. Tylko tych brunatnych, bo tylko oni są prawdziwymi Polakami. Reszta to drugi sort. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

PRENUMERATA POCZTOWA PRZEGLĄDU

Przegląd

Jeden egzemplarz w prenumeracie 9,00 zł

117,00 ZŁ – III KWARTAŁ
243,00 ZŁ – II PÓŁROCZE

Zamówienia można składać do 25 maja 2026 r.

we wszystkich placówkach pocztowych lub drogą elektroniczną pod adresem: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl 765918d2e3

Egzamin ósmoklasisty w Szkole Podstawowej nr 4 w Legnicy, 23 maja 2023 r.

Egzaminoza nasza powszednia

Maj to nie tylko matury, ale też czas egzaminów klas ósmych. To wyścig napędzający rynek korepetycji

Kornel Wawrzyniak

Egzaminy ósmoklasisty 2026 trwały trzy dni – między 11 a 13 maja. Pierwszego dnia uczniowie mieli 150 minut na rozwiązanie zadań z języka polskiego. Drugiego – 125 minut na egzamin z matematyki. W dniu trzecim 110 na język obcy. Na wyniki poczekamy do 3 lipca – wtedy w systemie ZIU ogłosi je Centralna Komisja Egzaminacyjna.

Koszmar rekrutacji

W tym roku do egzaminu zostało zgłoszonych 393 338 uczniów z ponad 12 953 szkół. Media rozpisują się, że to taki pierwszy poważny sprawdzian dla uczniów szkół podstawowych. Jednocześnie jest to egzamin, którego nie można nie zdać, ponieważ nie obowiązuje tutaj próg zdawalności. Ministerstwo Edukacji Narodowej, by wykazać się nowoczesnością (w stylu skandynawskim), wyjaśnia, że egzamin pozwala ocenić poziom zdobytej wiedzy na tym etapie nauki. I być może tak właśnie – zupełnie bezstresowo – według ministry Nowackiej jest. W lipcu, przy porannej kawie, przejrzy wyniki ósmoklasistów i cmoknie – z dezaprobatą lub zadowoleniem.

Zupełnie czym innym wynik egzaminu jest dla samych uczniów. Zdobyte punkty zadecydują o ich losie – o tym, do jak dobrej szkoły średniej się dostaną. A konkurencja jest bardzo duża, szczególnie jeśli chodzi o najlepsze licea w danym mieście. Liczą się procenty zdobyte z każdego z trzech egzaminów i oceny na świadectwie. Dodatkowe punkty zdobywa się za uczestnictwo w wolontariacie, świadectwo z wyróżnieniem oraz konkursy. Teoretycznie licznik powinien zatrzymywać się na 200 pkt. Są jednak szkoły, a w nich klasy, do których dostać się można, mając znacznie więcej niż 300 pkt.

Podkreślmy: napisanie wszystkich trzech egzaminów na 100% daje łącznie zaledwie 100 pkt. Wyniki egzaminów z języka polskiego i matematyki przelicza się za pomocą specjalnego kalkulatora rekrutacyjnego. Policzy on również punkty za wszystkie dodatkowe osiągnięcia, dzięki czemu każdy ósmoklasista dowie się, czy ich liczba wystarczy do rekrutacji w danej szkole średniej.

Przyjrzyjmy się kilku wybranym placówkom. W XIV LO im. Stanisława Staszica w Warszawie rozpiętość progów rekrutacji w roku 2024/2025 według strony internetowej samego liceum wahała się od 172,50 pkt aż do 324,45 pkt – zależnie od wybranej klasy. Mieszczące się w pierwszej dziesiątce

eprasa.pl 765918d2e3

warszawskie Liceum im. Stefana Batorego również daje do wiwatu. Przykładowe minimalne progi wynosiły od 172,97 pkt do 195,86 pkt (rekrutacja 2025/2026). Dodatkowo dla klas dwujęzycznych i IB (z maturą międzynarodową) wymagane jest zaliczenie sprawdzianu kompetencji językowych.

Udajmy się teraz na drugi biegun, do jednego z najszybciej wyludniających się miast w Polsce – do Grudziądza. Przyjrzyjmy się dwóm najlepszym szkołom średnim. Strona WaszaEdukacja.pl podaje, że minimalna liczba punktów w rekrutacji do I Liceum im. Bolesława Chrobrego na rok szkolny 2025/2026 wynosiła 133,6 pkt, a do II Liceum im. Króla Jana III Sobieskiego 129,75 pkt. Przy czym średni próg punktowy wynosić miał ok. 170 pkt. Czy to oznacza, że uczniów z najlepszych warszawskich szkół czeka bardziej świetlana przyszłość niż tych z Grudziądza? Odpowiedź może być tylko jedna – to zależy.

Dorośli udają, że coś mierzą

O miejsca w najlepszych rankingowo szkołach toczy się walka. To oznacza, że uczniowie muszą uczestniczyć w masie zajęć dodatkowych, wolontariatach, olimpiadach i konkursach (oczywiście najlepiej być finalistą, i to konkursu międzynarodowego). Najlepsze wyniki gwarantują zaś korepetycje i zajęcia przygotowawcze. Według badania CBOS w tym roku szkolnym rodzice wydawali średnio 944 zł miesięcznie na zajęcia dodatkowe. Kurs przygotowujący do olimpiady przedmiotowej kosztuje nawet 3 tys. zł. Tak samo jak w przypadku matur podejście do państwowego egzaminu generuje dodatkowe koszty pokrywane z prywatnej kieszeni.

Z drugiej strony dydaktycy od lat biją na alarm, jeśli chodzi o ogólny poziom wiedzy uczniów. Portal Samorządowy pisał w kontekście zeszłorocznych wyników egzaminów, że uczniowie mają problemy z przecinkami i logicznym myśleniem. Część uczniów nie rozumie, że przecinek może zmienić nie tylko rytm zdania, ale i jego sens. Dużo większe problemy mamy jednak z królową nauk. „Matematyka to nie tyle dział wiedzy, co sposób postrzegania świata. Uczy myślenia systemowego, konsekwencji i szacunku do procesu. A my jako społeczeństwo coraz częściej pozwalamy młodym ten sposób myślenia porzucać", mówiła w zeszłym roku Dorota Żuchowicz, doradczyni edukacyjna i współzałożycielka Forum Wiedzy i Edukacji.

Według CKE w 2025 r. ósmoklasiści podczas każdego z trzech egzaminów mieli największe problemy z zadaniami wymagającymi samodzielnego i logicznego myślenia: „Z języka polskiego trudność sprawiło uczniom zadanie z zakresu kształcenia językowego, które sprawdzało umiejętność poprawnego używania znaków interpunkcyjnych. Z matematyki najtrudniejsze okazało się zadanie otwarte z geometrii płaskiej, którego rozwiązanie wymagało umiejętności obliczania pola wielokąta metodą podziału na mniejsze wielokąty lub uzupełniania do większych wielokątów. W przypadku języka angielskiego najtrudniejsze dla ósmoklasistów było zadanie otwarte sprawdzające znajomość środków językowych".

Zdaniem Doroty Żuchowicz coroczne pogarszanie się wyników z matematyki może świadczyć o tym, że uczniowie nie uważają, aby ten przedmiot był im potrzebny w codziennym życiu. Nie jest to jednak wina dzieci, lecz systemu edukacji, który nie umie im pokazać kontekstu. Ale nie ma co rwać włosów z głowy, zdaje się, że wyniki będą na średnim, stabilnym poziomie – jak rok temu, rok wcześniej itd.

W poprzednim numerze „Przeglądu" opisywałem, jak egzamin maturalny jest szyty na miarę kolejnych roczników. Nie inaczej zdaje się być, kiedy prześledzi się średnie wyniki z egzaminów ósmoklasisty. Język polski: 2025 – 64%, 2024 – 61%, 2023 – 66%, 2022 – 60%, 2021 – 60%, 2020 – 59%, 2019 – 63%. Matematyka: 2025 – 50%, 2024 – 52%, 2023 – 53%, 2022 – 57%, 2021 – 47%, 2020 – 46%, 2019 – 45%. Język angielski (najpopularniejszy język na egzaminie): 2025 – 70%, 2024 – 66%, 2023 – 66%, 2022 – 67%, 2021 – 66%, 2020 – 54%, 2019 – 59%. Jak widać, wyniki oscylują wokół tych samych wartości. Można więc podejrzewać, że zachodzi tutaj analogiczne zjawisko. Zwłaszcza że egzaminy klas ósmych również są przygotowywane przez CKE. Słowem, dobrzy uczniowie dostaną się do dobrych szkół, a średni do średnich. Na słabych uczniów jak zwykle spuszcza się zasłonę milczenia.

System zmarnowanych szans

Egzamin klas ósmych ujawnia jeszcze jedną wadę polskiego systemu oświaty. Trzy dni egzaminów to czas, gdy szkoła nie działa. A od kiedy mamy ośmioletnie podstawówki przywrócone w miejsce gimnazjów, często pojawia się problem z organizacją lekcji pozostałych siedmiu roczników. A to przecież bardzo ważny moment dla młodszych uczniów – ostatnia chwila na poprawienie ocen i zaliczenie zaległości. W ten absurd wpędził nas były minister edukacji PiS Przemysław Czarnek.

Egzamin klas ósmych jest wygodny dla systemu: w trzy dni robi porządek w roczniku, rozdziela dzieci po półkach: dobry, średni, reszta, a przy okazji jeszcze unieruchamia szkołę dla pozostałych klas – jakby to edukacja była dodatkiem do logistyki, a nie odwrotnie. Potem zostaje już tylko przeliczyć procenty na punkty i udawać, że to obiektywna diagnoza, choć w praktyce część wyniku jest zasługą prywatnego korepetytora opłacanego z własnej kieszeni.

Te trzy dni to też dość czasu, aby wbić 14-latkom do głowy, że edukacja to nie rozumienie świata, lecz rachunek punktów. A skoro średnie wyniki z egzaminów i tak od lat są podobne, to może nie w uczniach jest ta nerwowość, tylko w dorosłych, którzy z państwowego „sprawdzianu umiejętności" zrobili pierwszy prawdziwy system selekcji, kalibrowania życiowych szans. Tyle że bez odwagi, by nazwać go po imieniu, bo wtedy musielibyśmy zmierzyć się z odpowiedzialnością za to, że wielu zaledwie 14-letnim ludziom odbieramy widoki na lepsze jutro.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI/POLSKA PRES GRUPA/EAST NEWS

eprasa.pl 765918d2e3

Bitwa o Chorzów

Czy problemem miasta jest brak nowego stadionu? Kibic, który został prezydentem, poznaje trudy rządzenia

Mateusz Cieślak

W lutym 2024 r. „Gazeta Wyborcza" opublikowała zdjęcie mężczyzny z nagim torsem, wykonane – jak twierdził autor artykułu – „na weselu skazanego członka gangu Psycho Fans". Wielu mieszkańców Górnego Śląska z łatwością rozpozna człowieka ze zdjęcia. Dzisiaj jednak nie chwali się on torsem. Na fotografiach i nagraniach filmowych prezentuje się w garniturach i krawatach. To Szymon Michałek, obecny prezydent Chorzowa.

Wbrew pozorom artykuł nie należał do gatunku plotkarskich. Był ważnym głosem w debacie o tym, kto ma rządzić Chorzowem. Psycho Fans to grupa skrajnie fanatycznych szalikowców miejscowego Ruchu. Niektórzy zasiadają dziś na ławie oskarżonych. Zarzuca się im nawet najcięższe przestępstwa.

Artykuł ukazał się już w trakcie kampanii wyborczej. Można w nim było przeczytać, że zdjęcie to zrzut z nagrania opublikowanego na YouTubie: „Szymon Michałek (z prawej) w czerwcu zeszłego roku bawił się na weselu nieprawomocnie skazanego członka kibolskiego gangu Psycho Fans Roberta P. ps. Pepek (z lewej). Impreza odbyła się osiem dni po ogłoszeniu wyroku, w którym sąd potwierdził, że kibole z Chorzowa założyli zorganizowaną grupę przestępczą".

Zanim Szymon Michałek (z prawej) został prezydentem Chorzowa, świetnie się bawił „na weselu skazanego członka gangu Psycho Fans".

Michałek! Michałek! Michałek!

Publikacja nie zaszkodziła Michałkowi. Wygrał w pierwszej turze, zdobywając 54,67% głosów. Różnica pomiędzy poparciem dla niego i dla Andrzeja Kotali, który Chorzowem rządził od 14 lat, wyniosła aż 7 tys. głosów. To była również wielka klęska Platformy Obywatelskiej, którą Kotala reprezentował. Michałek miał własny komitet wyborczy – popierała go Polska 2050 Szymona Hołowni i jedno ze śląskich ugrupowań.

Dziś sytuacja Michałka niewiele przypomina tamto miażdżące zwycięstwo. W mieście trwa zażarta walka o władzę. Komitet referendalny zebrał wymaganą liczbę podpisów i złożył je u komisarza wyborczego. W chwili pisania artykułu trwało ich sprawdzanie.

Warto przy okazji odnotować, że próby odwołania prezydentów podjęto w kilku miastach na południu Polski, mniej więcej w tym samym czasie. W Bytomiu ta inicjatywa zakończyła się niepowodzeniem. W Będzinie wciąż nie wiadomo, czy referendum się odbędzie – trwa sprawdzanie podpisów na listach poparcia. Wiadomo za to, że referendum odbędzie się w nieodległym od aglomeracji śląsko-zagłębiowskiej Krakowie. Jego mieszkańcy pójdą do urn 24 maja.

Jarosław Rejek, pełnomocnik komitetu referendalnego w Chorzowie, nie ukrywa, że inspiracją dla niego i reszty zwolenników odwołania prezydenta Michałka było to, co stało się w innym śląskim mieście. Rok temu, 11 maja, odbyło się referendum w Zabrzu. W efekcie stanowisko prezydenta straciła tam Agnieszka Rupniewska, która rządziła miastem zaledwie rok.

W Chorzowie czarę goryczy przelała decyzja Szymona Michałka o zamknięciu estakady przebiegającej nad rynkiem (więcej w artykule „Chorzowska estakada zamknięta", „Przegląd"

eprasa.pl 765918d2e3

W Chorzowie czarę goryczy przelała decyzja o zamknięciu estakady przebiegającej nad rynkiem.

nr 35/2025). To jedna z najważniejszych arterii komunikacyjnych aglomeracji śląsko-zagłębiowskiej. Podpierając się ekspertyzą, że estakada jest w bardzo złym stanie, Michałek zakazał nie tylko przejeżdżania po niej, lecz również przechodzenia pod nią. Powoływał się na bezpieczeństwo ludzi. Ta decyzja przecięła śródmieście Chorzowa na pół. Co więcej, niektórymi szlakami nie mogły już jeździć tramwaje. Jarosław Rejek mówi, że mniej więcej we wrześniu zaczęły się rozmowy o tym, że Michałka należy odwołać.

Jak spełnić obietnicę?

Nie chodzi wyłącznie o estakadę. Pretensji do obecnego prezydenta jest więcej. Najważniejszy zarzut: dąży on do realizacji nierealnej obietnicy wyborczej – budowy nowego stadionu piłkarskiego. Na starym stadionie grać już się nie da i piłkarze Ruchu rozgrywają swoje mecze na Stadionie Śląskim. Jednak zdaniem moich rozmówców przy obecnym stanie finansów miasta nie ma szans na budowę nowego stadionu.

Budżet Chorzowa to nieco ponad 1 mld zł. Tymczasem koszt stadionu według dokumentacji prezentowanej przez prezydenta był szacowany na ok. 400 mln zł. To mniej więcej 40% rocznego budżetu miasta. Jarosław Rejek zauważa jednak, że ten koszt odnosił się do stadionu na 16 tys. miejsc. Obecnie mowa jest o większym obiekcie, na ok. 22 tys. widzów.

Ceny usług i materiałów też nie stoją w miejscu, a pewnie jeszcze się zmienią na skutek obecnego kryzysu w Zatoce Perskiej. Szymon Michałek podkreśla, że koszt budowy stadionu byłby rozłożony na lata, ale nikt przecież nie wie, ile ostatecznie może on wynieść. Czy w skrajnym wypadku Chorzów musiałby za nowy stadion zapłacić tyle, ile wynoszą jego roczne dochody? Prezydent miasta powinien odpowiedzieć i na takie pytanie.

Tymczasem już dziś Chorzów ma problem ze sfinansowaniem inwestycji nieporównanie mniejszych niż stadion, ale niezbędnych. Aleksandra Zimnik, radna Koalicji Obywatelskiej, mówi o kamienicach komunalnych z toaletami na półpiętrach. Według niej sam prezydent podczas spotkania z mieszkańcami miał wskazywać, że na przebudowę potrzeba ok. 800 tys. zł.

Jak wszędzie w Polsce wielu mieszkańców Chorzowa czeka na własne mieszkanie. Radna Aleksandra Zimnik podaje, że kiedyś miasto remontowało rocznie ok. 200 mieszkań. Ta liczba miała spaść o połowę, przy czym tylko w przypadku 30 mieszkań można mówić o generalnym remoncie.

Podobno w niektórych szkołach brakuje tak podstawowych rzeczy jak papier toaletowy czy środki czystości. Pytana o to Aleksandra Zimnik zaznacza, że sama nie spotkała się z taką sytuacją w placówkach, w których pracuje. Przyznaje jednak, że skargi pojawiały się na chorzowskich forach rodzicielskich i mogą być prawdziwe.

Po prośbie do sąsiada

Jeszcze bardziej wymowna jest sprawa samochodu dla straży pożarnej. Chorzów poprosił Katowice o 100 tys. zł na zakup lekkiego samochodu operacyjnego dla chorzowskiej komendy Państwowej Straży Pożarnej. Tłumaczono to trudną sytuacją finansową miasta i koniecznością wymiany wyeksploatowanego pojazdu. Katowice pomogły. We wrześniu ub.r. radni podjęli stosowną uchwałę „w imię międzysąsiedzkiej solidarności". Auto kosztowało

FOT. ADRIAN ŚLĄZOK/REPORTER, YOUTUBE.PL

eprasa.pl 765918d2e3

ok. 300 tys. zł. 100 tys. dał Chorzów, drugie 100 tys. Katowice, a trzecie Komenda Wojewódzka PSP.

Co gorsza, finanse miasta mogą znacząco ucierpieć na skutek ucieczki przedsiębiorców z Chorzowa. Wszyscy moi rozmówcy zauważają to zjawisko, chociaż niekoniecznie określają je w ten sposób. Wywołać je miała właśnie decyzja Michałka, który rok temu, 2 czerwca, zwołał briefing na chorzowskim rynku. Znienacka ogłosił, że zamyka estakadę. Od tej chwili nie będą nią przejeżdżać samochody. Nie będą po niej ani pod nią jeździć tramwaje i pociągi. Nawet pieszym nie wolno pod nią przechodzić.

W dramatycznej sytuacji znaleźli się zatem najemcy pawilonów wybudowanych przez miasto i wynajętych przedsiębiorcom. Kazano im je zamknąć. Początkowo nawet nie pozwolono zabrać znajdującego się w nich mienia. Działalność musiały zakończyć albo zawiesić m.in. Kaskada Bistro Cafe, księgarnia Dopełniacz należąca do wydawnictwa Sonia Draga czy biuro podróży EdyGo Travel. Marcin Strzyżewski, właściciel Kaskady, opowiadał dziennikarzom o braku jakiejkolwiek pomocy ze strony miasta i nagłym odcięciu od dochodów. Wspominał o 13 pracownikach, których nie jest w stanie utrzymać przy zerowym ruchu pod zamkniętym obiektem. Pani Jadwiga z Charity Shopu mówiła prasie o „tragedii małych firm", które nie mogą nawet przyjąć towaru. Z kolei pani Jolanta, kierowniczka Piekarni Kłos, skarżyła się na drastyczny, 30-procentowy spadek liczby paragonów.

Nadzieja na zmiany zgasła

W czasie ostatnich wyborów samorządowych Filip Hornik był przewodniczącym Młodzieżowej Rady Miasta Chorzowa. Bezpośrednio po wyborach popierał Szymona Michałka. Podobało mu się to, co Michałek mówił do młodych Chorzowian. Widział, że nowy prezydent ich rozumie i obiecuje działania, które zatrzymywałyby ich odpływ z miasta. Jako lider młodzieży Hornik dostrzegł w nowym prezydencie szansę na przełamanie wieloletniego marazmu „starej ekipy" Kotali.

Kampania Michałka opierała się na hasłach „nowej jakości" i zatrzymania negatywnych trendów demograficznych. Filip Hornik, podobnie jak wielu innych młodych mieszkańców Chorzowa, uwierzył w wizję miasta, które stanie się atrakcyjne dla młodzieży i przestanie być jedynie sypialnią lub miejscem, z którego się ucieka.

Dzisiaj Hornik zachęca do odwołania prezydenta. Przestał wierzyć w zapewnienia, że ten coś zmieni, i w deklarowaną przez niego apolityczność. Podczas wyborów do europarlamentu zauważył, że popierany przecież przez Polskę 2050 prezydent nie pojawił się na spotkaniu z Hołownią, który przyjechał do Chorzowa. – Parę dni później zobaczyliśmy go biegnącego po spotkaniu ze Sławomirem Mentzenem, ówczesnym kandydatem na prezydenta – wspomina Filip Hornik.

Szymon Michałek wygrał wybory na prezydenta Chorzowa w pierwszej turze. Dostał aż 7 tys. głosów więcej niż Andrzej Kotala, który rządził 14 lat.

Konkrety w sprawie budowy stadionu Michałek ujawnił w lutym. Hornik ocenia je niezwykle krytycznie. Nie zgadza się z tym, aby całe miasto budowało stadion dla jednej grupy, podczas gdy inne sprawy są zaniedbywane. Podaje przykład ul. Wolności – kiedyś najbardziej reprezentacyjnej w mieście, głównego deptaku handlowego Chorzowa. Dziś straszą tam puste lokale. Nawet ci, którym kazano opuścić pawilony przy estakadzie, nie zdecydowali się tam przeprowadzić. Zrobił to tylko sklep Gryfnie. Pozostali albo zamknęli działalność, albo wynieśli się z miasta.

Groźby, hejt, oskarżenia

Filip Hornik zmaga się z falą hejtu i gróźb, nawet tak poważnych, że w kilku przypadkach zdecydował się złożyć zawiadomienia na policję. Niektórzy grożą mu, nie kryjąc swojej tożsamości. O atmosferze zastraszania mówią inne osoby. Aleksandrze Zimnik też grożono, o czym zawiadomiła policję. Jarosław Rejek z kolei wspomina, że na początku zbiórki podpisów ludzie się bali, że jeśli poprą wniosek o referendum, mogą mieć problemy w pracy.

Tłem dla tych obaw stała się sprawa Joanny Pietrek, nauczycielki z jednego z chorzowskich przedszkoli, która na terenie placówki zbierała podpisy pod wnioskiem o referendum. Wszystko nagłośnił sam prezydent Michałek. Mówił o złamaniu standardów etycznych oraz prawnych, jakie obowiązują nauczyciela i pracownika samorządowego. Poinformował, że składa zawiadomienie do komisji dyscyplinarnej dla nauczycieli przy wojewodzie. Joanna Pietrek wydała oświadczenie. Ujawniła, że zaproponowano jej dwie formy ukarania: zwolnienie dyscyplinarne bez wcześniejszego wyjaśnienia lub zwolnienie za porozumieniem stron.

Dla Michałka sprawa jest prosta: stary układ chce wrócić. Za pomysłem referendum mają stać dwaj byli prezydenci Chorzowa związani z Koalicją Obywatelską: Andrzej Kotala, z którym Michałek wygrał, oraz Marek Kopel, który rządził Chorzowem przez wiele lat, a dziś jest radnym sejmiku i prezesem Chorzowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Ludzie ze środowiska Michałka w maju usiłowali doprowadzić do zmian we władzach spółdzielni i odsunąć Kopla. Ponieśli klęskę.

Od ostatnich wyborów samorządowych to była pierwsza wielka bitwa o miasto, gdyż chodzi o ogromną spółdzielnię. W jej budynkach mieszka niemal 40% Chorzowian. Kto nią rządzi, ten jest prawie prezydentem miasta. Jeśli komisarz wyborczy uzna, że pod wnioskiem o referendum złożono wystarczającą liczbę podpisów, nastąpi kolejne starcie o władzę w Chorzowie. Decydujące.

Mateusz Cieślak

eprasa.pl 765918d2e3

To praca nie dla wszystkich

Ratownik medyczny: czasem jedziemy po to, żeby podać paracetamol

Rozmawia Beata Igielska

MATEUSZ WAWRYSZUK
– ratownik medyczny, szkolący również z udzielania pierwszej pomocy (eskulapa.pl)

O włos wyprzedziliście strażaków w rankingu zaufania do zawodów. Jak wasza grupa się z tym czuje? Zawód prestiżowy, a płaca i warunki pracy chyba już mniej.

– Jest nam bardzo miło, bardzo pozytywnie postrzegani zaczęliśmy być w pandemii. Nadal co prawda pracujemy głównie na B2B (samozatrudnienie), ale ogólnie nasz zawód idzie w dobrym kierunku. W zeszłym roku powstały pierwsze studia magisterskie z ratownictwa medycznego. Wynagrodzenia też poszły w górę. Poprawiły się warunki pracy i wyposażenie karetek. Po prostu przestraszono się, że zmalała liczba ratowników medycznych. Dziesięć lat temu w zawodzie były bardzo niskie zarobki i przestał być atrakcyjny dla młodych. To nie tylko praca na SOR-ach czy w pogotowiu, mamy też możliwość pracy w szkoleniach z pierwszej pomocy dla zawodów medycznych. Jesteśmy doceniani w wojsku, w branży farmaceutycznej.

„Ratownik pobity do nieprzytomności. Sąd chciał umorzyć postępowanie", „Fala agresji. Pijany nastolatek pobił ratownika medycznego" – cytuję tytuły artykułów z internetu. W styczniu 2025 r. w Siedlcach w czasie interwencji domowej 57-letni pacjent zaatakował nożem ratownika medycznego. 64-letni mężczyzna, mimo udzielonej pomocy i przewiezienia do szpitala, zmarł w wyniku odniesionych ran. Mówiło się, że dostaniecie kamizelki kuloodporne.

– Środowisko jest podzielone, w moim otoczeniu zazwyczaj ratownikom nie podoba się ten pomysł. Bo czy kamizelka nas ochroni? Ciosy nożem mogą być przecież zadane w szyję, pachwiny, pachy. Ponadto czy po jednej sytuacji z użyciem noża powinno się nas ubierać w kamizelki? Takie decyzje trzeba podejmować nie emocjonalnie po zdarzeniu, tylko na podstawie badań, statystyk, analiz. W ubiegłym roku w Krakowie został zamordowany lekarz ortopeda. Temat kamizelek wśród lekarzy w ogóle nie był poruszany. Najczęstsze kontuzje wśród ratowników to skręcone stawy skokowe i uszkodzone kręgosłupy. Do tego dochodzą otyłość i wypalenie zawodowe.

Bo wasza praca to stres, presja, a podobno też czasami rozwiązywanie ludzkich problemów.

– Jak poszedłem na ratownictwo medyczne, wyobrażałem sobie, że będę jeździł do wypadków, urwanych rąk czy nagłego zatrzymania krążenia. A sytuacji ratunkowych na wszystkie wyjazdy karetki jest ok. 5-10%. Nie ma dyżuru dobowego, żebyśmy nie jechali do osoby w kryzysie psychicznym. Bardzo często są to próby samobójcze, myśli samobójcze. Transportujemy taką osobę do szpitala psychiatrycznego. Jeździmy do wielu ludzi samotnych, opuszczonych, zaniedbanych, więc to nie są stany nagłe. Aczkolwiek wskutek wielomiesięcznych zaniedbań tacy pacjenci wymagają leczenia w szpitalu. Faktycznie więc wchodzimy w trudne sytuacje życiowe.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 765918d2e3

Co jest dla pana w tej pracy najtrudniejsze? Widzicie głodne i brudne dzieci, głodnych i brudnych staruszków, robactwo...

– Trudnością jest przyglądanie się cierpieniu ludzi – przeżywających śmierć bliskich czy cierpiących na przewlekłe bóle. Bardzo trudne jest patrzenie na cierpienie matki, która płacze nad zmarłym dzieckiem. Bezradnością reagujemy na zaniedbanie dzieci. Wchodzimy do różnych domów, często jesteśmy wzywani przez MOPS-y, GOPS-y jako wsparcie w działaniach przy dziecku maltretowanym, zaniedbanym – to jest ciężkie, zwłaszcza z perspektywy nas jako rodziców. Te dzieci nic nikomu nie zawiniły.

Nie dziwię się, że tak łatwo w waszym fachu o wypalenie.

– Żeby nie wypalić się zawodowo, trzeba sobie ułożyć w głowie... poczucie bezsensu pracy. Jesteśmy szkoleni do działania w stanie zagrożenia życia i zdrowia, a przez zachowanie ludzi, często cwaniactwo, ale też przez obawy, jeździmy do sytuacji niewymagających zespołów ratownictwa medycznego. Ostatnio pojechaliśmy, by podać 15-latce paracetamol, który rodzina miała w domu – dziewczyna zagorączkowała… Musimy przyjmować takie wezwania ze stoickim spokojem. To trudne, bo mam świadomość, że w powiecie, gdzie pracuję, są dwie karetki. Jeśli jedziemy do pacjenta, który nie wymaga naszej pomocy, a w tym czasie wydarzy się coś poważnego, musi tam jechać karetka z innego powiatu.

Olbrzymi dyskomfort to też zapach. W karetce jesteśmy na małej powierzchni, trudno więc wytrzymać, jeżeli ktoś nie myje się od miesięcy, jest osobą w kryzysie bezdomności albo pod wpływem alkoholu, brudny, w odchodach.

W waszym zawodzie zmagacie się często z presją rodziny pacjenta. Słyszałam, że zdarza się wam reanimować osobę już nieżyjącą, żeby rodzina nie złożyła skargi.

– To nie do końca tak. Dostaliśmy wezwanie do stukilkuletniej pani, wnuczka bardzo fachowo prowadziła resuscytację krążeniowo-oddechową. My zazwyczaj przejmujemy resuscytację, bo może jeszcze pacjenta odratujemy, chociaż szanse na pełny powrót do zdrowia ze względu na choroby i wiek są marne. Jeżeli widzimy stężenie pośmiertne, plamy opadowe, nie podejmujemy resuscytacji. A ponieważ w wielu sytuacjach nie jesteśmy w stanie ocenić późnych oznak pośmiertnych, podejmujemy działania ratujące życie. To temat bardzo trudny etycznie. Czasem nasze wysiłki i tak za kilka dni kończą się śmiercią pacjenta w szpitalu na oddziale intensywnej terapii.

Czy panu ktoś zmarł na rękach?

– Wielokrotnie, zwłaszcza w pandemii, gdy pracowałem na oddziale intensywnej terapii w szpitalu jednoimiennym, covidowym. Mieliśmy bardzo dużo pacjentów, którzy przychodzili do szpitala z lekką infekcją, potem ich stan się pogarszał, dostawali wąsy tlenowe, maskę oddechową, potem techniki high flow, intubacja, a później niestety zgon. Na jednym dyżurze zmarło pięć osób.

Czy macie szkolenia, jak sobie radzić ze stresem? Jak siebie chronić? Kilka lat temu nic takiego nie było.

– I nadal nie ma. Nigdy nie byłem na takim szkoleniu, nikt mnie nie zapraszał na taki kurs, musimy sobie radzić sami.

W jaki sposób?

– Na przykład ja w pogotowiu ratunkowym pracuję tylko na pół etatu, a potem zajmuję się szkoleniami z udzielania pierwszej pomocy. Jeżeli pracuje się tylko jako ratownik, to faktycznie przebywa się na okrągło wśród ludzi cierpiących, nieradzących sobie, a to dobija. Pokazuje, że świat jest brutalny, zły, a świat wcale tak nie wygląda. Trudne wezwania to tylko fragment rzeczywistości. Mimo stresów uwielbiam chodzić na dyżury i na razie nie czuję wypalenia.

Badania pokazują, że jako grupa zawodowa sięgacie po wspomagacze typu alkohol, rzadziej po antydepresanty. A co ze wsparciem psychologicznym? Korzystacie?

– W czasie rozmów z kolegami nie słyszę, żeby któryś chodził na terapię z powodu ciężkiego zdarzenia, z którym nie może sobie poradzić. Statystycznie w branży medycznej duży problem jest z tym, że ludzie próbują sobie radzić sami. Najłatwiejsze rozwiązania to używki, alkohol i narkotyki. Sam widziałem kilka przypadków medyków, pielęgniarek, lekarzy, ratowników uzależnionych od narkotyków. Trudno sobie poradzić ze snem. W pracy jesteśmy na adrenalinie, ale często nie odnajdujemy się w rzeczywistości domowej. Wtedy szuka się różnych uspokajaczy. Bardzo powszechny w branży medycznej jest pracoholizm, dużo ludzi pracuje ponad wymiar.

Skoro nie korzystacie z porad psychologów, to rozmawiacie z rodziną?

– Bardzo często medycy nie chcą przynosić pewnych rzeczy do domu, do rodzin, żeby ich nie obciążać. Nie chcę opowiadać żonie o facecie, którego przed chwilą reanimowałem, albo o tym, jak ktoś zmarł. Dobrze jest nauczyć się zamykać pracę w pracy. Przeżywanie trudnych sytuacji według definicji PTSD przez tydzień jest normalne. Powyżej tygodnia powinniśmy się udać do specjalisty. Ja radzę sobie ze stresem za pomocą sportu, aktywności na powietrzu, odsypiam dyżury. Dobry sen, dobre jedzenie, aktywność sportowa sprawiają, że gorsze emocje łatwiej odchodzą.

Wchodzimy do różnych domów, często jesteśmy wzywani przez MOPS-y, jako wsparcie w działaniach przy dziecku maltretowanym, zaniedbanym.

Najczęstsze przypadłości ratowników to skręcone stawy skokowe, uszkodzone kręgosłupy, otyłość i wypalenie zawodowe.

eprasa.pl 765918d2e3

Wśród młodszych ratowników częściej rozmawiamy o emocjach, analizujemy zdarzenia, w których braliśmy udział. Na studiach dużo się mówi o tym, żeby w zespole porozmawiać o ciężkiej akcji. A niestety zdarza się, że po poważnym zdarzeniu jest cisza, jedzie się na posiłek, każdy w sobie to trzyma. A wystarczyłaby rozmowa: czy było ciężko, co poszło dobrze, co źle. Mam szczęście, bo pracuję w zespole, w którym dużo gadamy: co widzieliśmy, co czujemy – wyrzucamy to z siebie.

Jako szkoleniowiec z udzielania pierwszej pomocy widzi pan, że ludzie mają o niej pojęcie, czy nie?

– Zauważam dużą rozbieżność. Kiedy ponad dziesięć lat temu zaczynałem studia, rzadko zdarzało się, żeby ktoś podejmował resuscytację, teraz niemal zawsze ktoś podejmuje. Statystycznie więc idziemy w dobrym kierunku, szkolenia z udzielania pierwszej pomocy procentują. Ale też rośnie drugi biegun – u ludzi zanikają umiejętności nawet zmierzenia temperatury. Kiedyś do takich spraw jak obecnie nie wzywało się karetki, każdy miał termometr w domu i jeżeli ktoś się gorzej czuł, mierzono temperaturę. Ktoś z rodziny podał leki zbijające temperaturę, zrobił zimne okłady...

Pan żartuje, że jedziecie po to, żeby termometru użyć!

– Dostajemy wezwanie do złego samopoczucia, do zawrotów głowy, a okazuje się, że pacjent ma 41 st. gorączki, więc trudno, żeby czuł się dobrze.

Jak pracuje się w karetce, gdy ma się tak ograniczone zasoby sprzętowe, a was jest dwóch, trzech, a nie dziesięciu?

– Lubię pracować w trudnych warunkach, improwizować, kombinować. Karetka to nie szpital, gdzie można wezwać na konsultację kardiologa czy ginekologa. Dodatkowo nie mogą nam się skończyć wenflony czy leki, musimy pilnować zasobów. Zazwyczaj pracujemy w zespołach dwuosobowych, czasem trzyosobowych, więc trzeba poprosić rodzinę o pomoc w przeniesieniu pacjenta. Czasem wzywamy strażaków, żeby dostać się do domu pacjenta albo dlatego, że waży 200 kg i nie jesteśmy w stanie go znieść. Zdarzyło mi się wchodzić przez okno albo strażacy wywalali drzwi. Na pewno nie jest to praca dla wszystkich. Z jednej strony, daje dużą samodzielność, można uratować człowieka, z drugiej – jeżeli pacjent umiera, jest ryzyko wyrzutów sumienia, że coś można było zrobić lepiej. No i jest ryzyko poniesienia odpowiedzialności prawnej.

Odnośnie do waszych stresów, ratownicy z SOR-ów wypominają wam, że coś powinniście zrobić. A wy siedzicie w karetce czasami kilka godzin i czekacie bezradni.

– Dużym problemem jest komunikacja między personelem medycznym. Powstaje łańcuch złoszczenia się: dyspozytorzy złoszczą się na ludzi, którzy wzywają karetkę z powodu drobiazgów. My denerwujemy się, że dyspozytorzy wysyłają nas do kogoś, kto tej pomocy nie wymaga. Przyjmujemy takich pacjentów, a potem możemy ich zostawić w domu lub musimy przekazać dalej – na SOR, na izbę przyjęć. Tam złoszczą się na nas, że przywozimy pacjenta, który mógłby zostać w domu. Ratownicy medyczni z SOR-ów bardzo często toczą konflikty z oddziałami szpitalnymi, gdzie muszą przekazać pacjenta. My często pacjenta nie możemy zostawić, bo nie posiadamy odpowiedniej diagnostyki. Dyspozytor, nie wysyłając karetki, naraża się na odpowiedzialność prawną.

Jesteście z wielu stron bombardowani, więc dbacie o procedury, papiery?

– Problem wynika właśnie z tego, że nie ma odgórnych procedur regulujących wiele spraw. Gdyby dyspozytor miał procedurę, w jakich sytuacjach może wysłać karetkę i taki kalkulator zadający pytania, który mu wyliczy, że jeżeli jest to, to i to, ma w skali między 7 a 8 pkt, to nie wysyła zespołu ratowniczego, bo ma podstawę prawną. Szkoda, że w Polsce tak rzadko korzysta się z różnych skal. W Stanach Zjednoczonych opierają się na skalach i statystykach, na twardych danych. Są np. skale oceny pacjenta po urazie głowy, czy wymaga tomografii komputerowej. Jeżeli ma konkretne objawy, musi mieć zrobiony tomograf. U nas nie ma odgórnych standardów, więc lekarze z SOR-u, bojąc się odpowiedzialności prawnej, robią tomograf każdemu pijaczkowi po urazie głowy. Brak skal i procedur powoduje zapychanie systemu, wykonywanie zbyt dużej liczby procedur w szpitalach. Medycy boją się poniesienia odpowiedzialności – żeby ktoś im nie zarzucił, że nie zbadali wszystkiego, co mogli, więc robią mnóstwo zbędnych badań.

W pracy jesteśmy na adrenalinie, ale często nie odnajdujemy się w rzeczywistości domowej.

Beata Igielska

eprasa.pl 765918d2e3

Wincenty Witos (w pierwszym rzędzie pośrodku) ze swoim gabinetem, 11 maja 1926 r.

MAJOWY DRAMAT LEWICY

Wincenty Witos: Mówią, że Piłsudski ma za sobą wojsko. Jeśli tak, to niech bierze władzę siłą

Paweł Siergiejczyk

Sto lat temu Polska była krajem nie mniej podzielonym i skłóconym pod względem politycznym niż Polska dzisiejsza. Apogeum wrogości czy wręcz nienawiści nastąpiło w grudniu 1922 r., gdy nowo wybrany parlament obierał pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej.

Zabójstwo prezydenta Gabriela Narutowicza, poprzedzone wielodniową nagonką na niego jako „żydowskiego prezydenta", który nie ma prawa stać na czele narodowego państwa Polaków, ostatecznie podzieliło elity II RP, ale też całe społeczeństwo.

Maria Dąbrowska 20 lat później pisała: „Wówczas to i pod wpływem tych faktów zrodziły się we mnie dwa poczucia, z którymi w sobie walczyłam, ale które, niestety, aż po dziś dzień wzmacniam i potwierdzam. Jednym z nich było wstrząsające odkrycie, że naród nasz składa się z dwu narodów, które język ust mają wspólny, ale nie język ducha. Drugim była tajemna trwoga, która się wówczas we mnie posiała, że ta zbrodnia u progu niepodległości na majestacie Rzeczypospolitej popełniona, będzie się okrutnie mścić w przyszłości. Nie będąc wolna od magicznego myślenia drżałam zabobonnie, że za tę rozlaną krew najniewinniejszego wówczas Polaka lać się może kiedyś krew mnóstwa niewinnych Polaków".

Przeczucia wybitnej pisarki, przez całe życie wiernej ideałom postępowo-demokratycznym, niestety okazały się trafne. Zaledwie dwa i pół roku po zabójstwie pierwszego prezydenta na ulicach Warszawy polała się krew prawie 400 niewinnych Polaków. Tyle ofiar przyniosły trzydniowe zaledwie, rozpoczęte 12 maja 1926 r., walki pomiędzy wkraczającymi do stolicy oddziałami wiernymi Piłsudskiemu a wojskami broniącymi legalnych władz Rzeczypospolitej. W walkach tych ginęli zarówno żołnierze z obu stron, jak i liczni cywile – mimowolni świadkowie tej krótkiej wojny domowej.

I choć pierwsze strzały w owej walce oddali żołnierze ze strony rządowej, to nie ulega wątpliwości, że polityczna i moralna odpowiedzialność za tę tragiczną sytuację i jej konsekwencje w największym stopniu spada na Józefa Piłsudskiego. To on był najważniejszą postacią polskiej polityki po 1918 r. i to na niego lub przeciw niemu orientowali się wszyscy pozostali aktorzy sceny politycznej. Nie zmieniło się to po wyborze

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

eprasa.pl 765918d2e3

Narutowicza, a potem jego następcy, Stanisława Wojciechowskiego, za którego prezydentury aż pięciokrotnie zmieniały się rządy. W maju 1923 r. doszło do zawiązania koalicji endecji z PSL „Piast", w rezultacie czego na czele gabinetu stanął Witos, a ważne teki ministerialne objęli czołowi politycy prawicy, m.in. Wojciech Korfanty i Roman Dmowski.

Z takim rządem nie chciał współpracować Piłsudski, który złożył wówczas wszystkie funkcje wojskowe i usunął się w zacisze swojego domu w Sulejówku. Podczas pożegnalnego przyjęcia w warszawskim Hotelu Bristol 3 lipca 1923 r. wygłosił pamiętne przemówienie, w którym, wyjaśniając powody swojej decyzji, wskazywał „zaplutego, potwornego karła na krzywych nóżkach": „Ten potworny karzeł pełzał za mną, jak nieodłączny druh, ubrany w chorągiewki różnych typów i kolorów – to obcego, to swojego państwa – krzyczący frazesy, wykrzywiający potworną gębę, wymyślający jakieś niesłychane historie, ten karzeł był moim nieodstępnym druhem, nieodstępnym towarzyszem doli i niedoli, szczęścia i nieszczęścia, zwycięstwa i klęski".

Ta metafora – skutecznie przejęta przez PPR-owską propagandę w 1945 r. – dla nikogo wówczas nie stanowiła zagadki, tym bardziej że sam Piłsudski dodawał, że nie może już dłużej służyć w armii w sytuacji, gdy jako żołnierz miałby bronić „tych panów". Jak zauważył Stanisław Cat-Mackiewicz, „ta mowa silna, obrazowa, poniżała i obrażała najsilniejsze w Polsce stronnictwo, które właśnie doszło do władzy. Ton tej mowy był niepohamowany, rzucał rękawicę na śmierć i życie. Lecz trzeba przyznać, że dopiero w tej mowie brał Piłsudski odwet za wszystkie upokorzenia i afronty, które ze strony Narodowej Demokracji, jej prasy i jej przedstawicieli spotykały go wtedy, gdy był Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem. Trzeba zaznaczyć, że Piłsudski, dopóki był Naczelnikiem Państwa, nie próbował walczyć z obrażającą go prasą cenzurą lub środkami policyjnymi".

Nie tylko prasa, ale i przeciwnicy polityczni ignorowali autorytet, jakim niemała część społeczeństwa obdarzała Marszałka. On sam nie pozostawał bierny wobec wydarzeń politycznych, choć formalnie upominał się tylko o sprawy wojskowe, podkreślając zwłaszcza konieczność obrony armii przed ingerencją stronnictw sejmowych. Nie wydaje się jednak, by ówczesne elity polityczne traktowały Piłsudskiego poważnie, skoro nawet Wincenty Witos w wywiadzie prasowym z 9 maja 1926 r. mówił: „Niechże wreszcie Marszałek Piłsudski wyjdzie z ukrycia, niechże stworzy rząd, niech weźmie do współpracy wszystkie czynniki twórcze, którym dobro państwa leży na sercu. Jeśli tego nie zrobi, będzie się miało wrażenie, że nie zależy mu naprawdę na uporządkowaniu stosunków w państwie. (…) Mówią, że Piłsudski ma za sobą wojsko. Jeśli tak, to niech bierze władzę siłą. (…) Ja bym się nie wahał tego zrobić. Jeśli Piłsudski nie zrobi tego, to, zdaje się, nie ma jednak tych sił za sobą".

Cat-Mackiewicz: Dopóki Piłsudski był naczelnikiem państwa, nie próbował walczyć z obrażającą go prasą cenzurą lub środkami policyjnymi.

Następnego dnia Witos został ponownie premierem, tworząc koalicję rządową PSL „Piast" z endecką prawicą. W tej sytuacji Marszałek postanowił wywrzeć presję na prezydenta Wojciechowskiego, dokonując demonstracji politycznej za pomocą oddziałów wojska dowodzonych przez wiernych mu oficerów. Tych zaś – jego byłych podwładnych zwłaszcza z I Brygady Legionów – w korpusie oficerskim nie brakowało i uznawali oni swojego Komendanta za autorytet nieporównanie wyższy niż kolejnych ministrów spraw wojskowych i stojących za nimi cywilnych polityków.

12 maja oddziały te wkroczyły z prawego brzegu Wisły do centrum stolicy, gdzie rozpoczęły się walki z wojskami rządowymi. „Walki były zacięte. Niektóre gmachy po trzy razy przechodziły z rąk wojsk rządowych do wojsk Piłsudskiego. Polacy ginęli bądź za swoje przekonania, bądź za lojalność wobec złożonej przysięgi", podsumował te wydarzenia Cat-Mackiewicz.

Zanim doszło do rozlewu krwi, nastąpiło jeszcze sławne spotkanie Wojciechowskiego z Piłsudskim na Moście Poniatowskiego. Ta rozmowa miała się odbyć już 12 maja rano, kiedy Marszałek przyjechał do Belwederu, jednak nie zastał tam prezydenta, który wyjechał do swojej rezydencji w Spale. Wrócił dopiero po kilku godzinach, gdy zbrojna demonstracja Piłsudskiego już trwała. Rozmowa dwóch starych towarzyszy z konspiracyjnej PPS – których niegdyś łączyła przyjaźń, a teraz podzieliła polityka – nie przyniosła żadnego efektu. Prezydent zażądał od Piłsudskiego, by dochodził swoich racji na drodze legalnej, ten zaś odparł, że droga legalna jest już dla niego zamknięta.

W tym momencie planowana przez Marszałka demonstracja polityczna straciła sens. Prezydent okazał się jego zdecydowanym przeciwnikiem, czego Piłsudski się nie spodziewał. Bardziej elastyczny wydawał się paradoksalnie premier Witos, jednak i on trwał na swoim stanowisku. Zbrojnego stłumienia wojskowego buntu Piłsudskiego chcieli „wszyscy wybitniejsi generałowie obozu przeciwnego Marszałkowi, jak Stanisław Haller, Rozwadowski i inni, cała Kriegsschule wiedeńska siedziała w tym Belwederze", złośliwie zauważył Cat-Mackiewicz.

Gdy oddziały Piłsudskiego zaczęły atakować Belweder, prezydent i rząd przenieśli się do Wilanowa. Tam w nocy z 14 na 15 maja Wojciechowski złożył urząd głowy państwa, a Witos podał swój rząd do dymisji. Umożliwiło to zakończenie walk i niewątpliwie uchroniło Polskę przed stoczeniem się w otchłań wojny domowej. Obowiązki prezydenta przejął marszałek Sejmu Maciej Rataj z PSL „Piast", który już 15 maja powołał nowy gabinet ze wskazanym przez Piłsudskiego premierem. Został nim Kazimierz Bartel, profesor matematyki

eprasa.pl 765918d2e3

z Politechniki Lwowskiej, a równocześnie poseł z kilkuosobowego Klubu Pracy, który wyłamał się z PSL „Wyzwolenie" i skupiał ideowych piłsudczyków. Sam Marszałek objął tekę ministra spraw wojskowych.

31 maja odbyły się wybory nowego prezydenta. Na Piłsudskiego zagłosowało 293 parlamentarzystów, na kandydata endecji, hrabiego Adolfa Bnińskiego – 193. Marszałek jednak nie przyjął tego wyboru, aczkolwiek bez wątpienia osiągnął swój cel polityczny, gdyż parlament de facto zalegalizował jego zamach stanu. Następnego dnia na prezydenta wybrano wskazanego przez Piłsudskiego prof. Ignacego Mościckiego, wybitnego chemika z Politechniki Lwowskiej, w młodości działacza PPS. Dostał on 281 głosów, Bniński – 200. Etap faktycznego przejmowania władzy zakończyła nowelizacja konstytucji, którą Sejm uchwalił większością głosów 2 sierpnia 1926 r. Wzmacniała ona władzę prezydenta, który uzyskał prawo wydawania dekretów z mocą ustawy oraz przedterminowego rozwiązywania parlamentu.

Wszystkie te głosowania wygrała dla Piłsudskiego większość złożona z ugrupowań, które w 1922 r. wybrały prezydentów Narutowicza i Wojciechowskiego. Kluczowe okazało się tu stanowisko PSL „Piast" – formacja ta zerwała sojusz z endecją i, jak zauważył Cat-Mackiewicz, wyciągnęła „konsekwencje polityczne z udanego zamachu".

W dramatycznych dniach majowych zapleczem politycznym Marszałka była jednak tylko lewica. Poparli go działacze PPS i PSL „Wyzwolenie", a nawet nielegalna Komunistyczna Partia Polski, której Komitet Centralny już 12 czerwca uznał swoje stanowisko za „błąd majowy". Socjaliści potrzebowali na to trochę więcej czasu: 10 listopada 1926 r. Centralny Komitet Wykonawczy PPS podjął decyzję o przejściu partii do opozycji, a w grudniu stanowisko to potwierdziła Rada Naczelna PPS.

Lider młodego pokolenia socjalistów, 25-letni wówczas Stanisław Dubois, określił tę decyzję jako „podmuch świeżego wiatru w zatęchłej atmosferze życia politycznego w Polsce". „Z majowym przewrotem klasa robotnicza związała wiele tęsknot, pragnień i nadziei, których urzeczywistnienia się spodziewała i spodziewać się mogła. Odpowiedzialność za losy kraju wziął człowiek, który bezgraniczną niemal ufność miał wśród proletariatu polskiego. (...) Minęło sześć miesięcy, a wypadki, zgodnie z wolą twórcy przewrotu, wbrew wszelkiej logice, potoczyły się w przeciwnym kierunku. Powiedzmy otwarcie: marszałek Piłsudski nie chciał walczyć o Polskę ludową, nie stanął po stronie obozu pracy. Przeciwnie, od »legalizacji« przewrotu począwszy, w całokształcie posunięć rządów pomajowych jaskrawo odczuć się dała grawitacja ku sferom kapitalistyczno-obszarniczym i podporządkowanie polityki ich interesom", pisał Dubois pod koniec 1926 r.

Jego rówieśniczka i towarzyszka partyjna Lidia Ciołkoszowa po latach wspominała zaś, że po zamachu zdjęła wiszący nad jej łóżkiem portret Piłsudskiego i zawiesiła na jego miejsce portret Stefana Żeromskiego, nieżyjącego już wtedy ulubionego pisarza polskiej lewicy.

Powodów rozczarowania socjalistów rządami Piłsudskiego (który 2 października 1926 r. objął funkcję premiera, choć faktycznie gabinetem nadal kierował Bartel jako wicepremier) było coraz więcej. Nie byli zwolennikami zbytniego umacniania władzy prezydenta, liczyli natomiast na szybkie rozwiązanie skompromitowanego Sejmu i na nowe wybory, w których lewica zdobyłaby przewagę. Marszałek wolał jednak taki słaby, zastraszony parlament, w dodatku 4 listopada 1926 r. prezydent Mościcki wydał dekret ograniczający zakres krytyki rządu na łamach prasy, zwłaszcza lewicowej.

Symbolicznym momentem rozwiania się złudzeń większości lewicy stała się wizyta Piłsudskiego w rezydencji książąt Radziwiłłów w Nieświeżu 25 października 1926 r. Nie była to przypadkowa wizyta litewskiego szlachcica u najważniejszego z rodów litewskiej arystokracji.

Dyktatorskie rządy Piłsudskiego trwały dokładnie dziewięć lat. Zmarł 12 maja 1935 r., w rocznicę swojego przewrotu. Dziś chyba nikt nie broni metod rządzenia w tamtym okresie – jak również po śmierci Marszałka, gdy ster władzy przejęli jego podwładni – tak samo jak nikt nie twierdzi, że władza obozu piłsudczykowskiego przyniosła Polsce moralną sanację, czyli uzdrowienie. Najbardziej rozczarowani byli jednak ludzie lewicy, dla których Piłsudski do 1926 r. był niekwestionowanym autorytetem. Z ich punktu widzenia najważniejszą zasługą Marszałka było skuteczne odsunięcie od władzy znienawidzonej endecji, jednak cena za ten sukces okazała się ogromna. Wszak już w 1934 r. Stanisław Dubois pisał na łamach PPS-owskiego „Robotnika", że „między sanacją a endecją żadnych istotnych społecznych różnic nie ma", gdyż „sanacja realizuje w praktyce program endecki".

Paweł Siergiejczyk

ZAPROSZENIE

na konferencję „Ignacy Daszyński – socjalistyczny ojciec polskiej niepodległości"
w ramach Roku Ignacego Daszyńskiego
pod patronatem marszałka Sejmu RP
Włodzimierza Czarzastego

Muzeum Krakowa, Pałac Krzysztofory, Rynek Główny 35 (Sala Miedziana)
25 maja 2026 r. (poniedziałek), godz. 11-15

Organizatorzy: Stowarzyszenie „Kuźnica", prezes dr Paweł Sękowski, wydawca „Przeglądu" Fundacja Oratio Recta, I zastępca redaktora naczelnego Paweł Dybicz

W programie:

- **Wystąpienie marszałka Sejmu RP Włodzimierza Czarzastego**
- **Wprowadzenie do problematyki i panel historyków:** „Ignacy Daszyński – socjalista i ojciec niepodległości na tle swoich czasów"
  Prowadzenie: dr Paweł Sękowski („Kuźnica", UJ)
  Wprowadzenie: dr Kamil Piskała (UŁ), **paneliści:** dr hab. Joanna Dufrat (UWr), dr hab. prof. Janusz Mierzwa (UJ), prof. dr hab. Michał Śliwa (emeritus, UKEN)
- **Dyskusja publicystów:** „Ignacy Daszyński – socjalista na współczesne czasy?". **Prowadzenie:** Paweł Dybicz

eprasa.pl 765918d2e3

2026 ROK IGNACEGO DASZYŃSKIEGO

W tym roku przypada 160. rocznica urodzin i 90. rocznica śmierci Ignacego Daszyńskiego. W dowód uznania życiowego dorobku największego z polskich socjalistów, jednego z najważniejszych ojców Odrodzonej Polski, posłowie wybrali Daszyńskiego na patrona roku 2026. Dla upamiętnienia premiera i marszałka Sejmu II RP, wicepremiera Rządu Obrony Narodowej w czasach wojny bolszewickiej, człowieka, który wniósł ogromny wkład w rozwój parlamentaryzmu, czemu dał wyraz w słowach: „Polska bez Sejmu silnego i zdrowego żyć nie może".

W przypomnieniu i promocji postaci Ignacego Daszyńskiego ma pomóc Komitet Honorowy pod przewodnictwem marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego. W ramach obchodów Roku Ignacego Daszyńskiego komitet postawił sobie za zadanie przypomnienie (starszym) i przybliżenie (młodszym) sylwetki lidera PPS, dla którego dbałość o robotników i chłopów była, obok niepodległości Polski, naczelnym nakazem i sensem działania. Podobnie jak troska o demokratyczne formy zarządzania państwem, wyrażane podmiotową rolą parlamentu. Daszyński dobitnie dał temu wyraz, odmawiając otwarcia obrad Sejmu, gdy do jego gmachu wtargnęli podlegli Piłsudskiemu oficerowie. Słowa: „Pod bagnetami, karabinami i szablami Izby Ustawodawczej nie otworzę!" przeszły do historii. Postawa życiowa i koncyliacyjne działania Ignacego Daszyńskiego nie tylko w roli marszałka Sejmu nie straciły nic z aktualności. Są nakazem. Nie tylko dla Lewicy.

Paweł Dybicz

(O postaci Daszyńskiego i działaniach komitetu więcej na stronie internetowej: www.ignacydaszynski2026.pl).

MARSZAŁEK Z LEWICY

Ignacy Daszyński wnosił do polskiego życia politycznego najlepsze wartości i tradycje demokratyczne

Rozmawia Paweł Dybicz

Prof. MICHAŁ ŚLIWA

Dlaczego określenie: „Daszyński – ojciec niepodległości Polski" jest w pełni uprawnione?

– Należał do pokolenia twórców odrodzonej Polski, któremu było dane „wybić się" na niepodległość i zrealizować marzenia kilku generacji poprzedników, bezskutecznie walczących o przywrócenie wolności narodowej. Na to miano zasłużył sobie w największym stopniu. Wyróżniał się bowiem wśród swojego pokolenia, wyrosłego w cieniu klęski powstania styczniowego, przedsięwzięciami i działaniami niepodległościowymi, prowadzonymi konsekwentnie przez niemal 40 lat przed 1918 r. W pracy publicznej kierował się zawsze myślą, wypowiedzianą w 1898 r.: „Polacy mają tylko jedną wielką politykę, a tą jest niepodległość Polski".

Michał Śliwa – politolog i historyk, były rektor Akademii Pedagogicznej i Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, badacz dziejów polskiego ruchu socjalistycznego i II RP. Członek Komitetu Honorowego obchodów Roku Ignacego Daszyńskiego.

To musiało skutkować bliską współpracą z Piłsudskim.

– Oczywiście. Daszyński był kluczową postacią w procesie odrodzenia Rzeczypospolitej, w działaniach bezpośrednio związanych z odnowieniem dążeń niepodległościowych – irredenty narodowej pod przywództwem współtowarzysza z ruchu socjalistycznego i przyjaciela, Józefa Piłsudskiego. Wspierał jego akcje militarne i polityczne, uprawomocniając je i torując im drogę w galicyjskim życiu politycznym i w polityce austro-węgierskiej, a więc początkowo m.in. działalność Związku Strzeleckiego i Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, a następnie, w końcu sierpnia 1914 r., utworzenie Legionów Polskich. Odegrał także wybitną rolę w tworzeniu pierwszych lokalnych polskich struktur państwowo-administracyjnych na terenie zaboru austriackiego: Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego oraz Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie, z zadaniem – jak oznajmiał – „uprzątnięcia gruzów panowania austriackiego".

Owo uprzątnięcie musiało objąć trzy zabory. I tu przechodzimy do utworzenia rządu w Lublinie.

eprasa.pl 765918d2e3

– Pierwszego ogólnopolskiego rządu koalicji ludowo-socjalistycznej – utworzonego w Lublinie Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej (7-14 listopada 1918 r.), na czele którego stanął.

Użycie w nazwie słowa Ludowy musiało wiele znaczyć.

– Było znakiem urzeczywistnienia programu socjalistów. Ogromnego ich zaangażowania i wkładu w proces uobywatelnienia i unarodowienia warstw plebejskich – robotników i chłopów. Słowo Ludowy podkreślało też znaczenie kształtowania postaw demokratycznych i obywatelskich robotników i innych warstw ludności pracującej oraz konieczność dochodzenia swoich praw i racji na drodze parlamentarnej i pokojowej, a nie wystąpień radykalnych czy wręcz rewolucyjnych.

Czy niepodległościowa myśl Daszyńskiego i socjalistów uwzględniała doświadczenia historyczne sprzed dziesięcioleci i losy powstań?

– W działalności ideowo-politycznej polskich socjalistów dużo miejsca zajmowały kwestie stosunku do przeszłości oraz sprawy edukacji i pamięci historycznej itp. Daszyński nie miał przygotowania uniwersyteckiego (nie ukończył rozpoczynanych studiów przyrodoznawczych w Krakowie i Zurychu) ani akademickiej wiedzy historycznej, ekonomicznej czy socjologicznej. Pozyskując jednak tę wiedzę w drodze samokształcenia, szeroko do niej sięgał, uzasadniając swoje racje polityczne, krytykując oponentów politycznych oraz tocząc debaty i batalie polityczne. Nie uznawał się za teoretyka, myśliciela społecznego, zajmowała go przede wszystkim bieżąca polityka i jej poświęcał najwięcej uwagi.

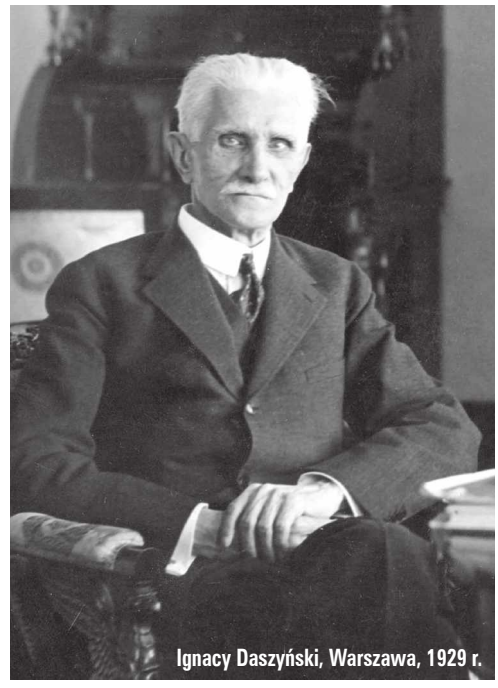
Ignacy Daszyński, Warszawa, 1929 r.

Daszyński przejawiał niezwykły talent krasomówczy, miał dar przekonywania i docierania do słuchaczy.

Czyli bardziej pragmatyk niż teoretyk.

– Z usposobienia był pragmatykiem i działając przez większość swojego życia w Galicji – kraju o osobliwych stosunkach społecznych i narodowościowych, niedorozwoju przemysłu, licznej rzeszy spauperyzowanego włościaństwa, dominacji konserwatywno-klerykalnych – uznawał, że agitację socjalistyczną i politykę partyjną należy dostosować do panujących warunków, świadomości rodaków.

Skąd brało się takie przeświadczenie?

– Z obserwacji rodzimych stosunków społecznych, których doświadczał niemal codziennie w rozlicznych kontaktach z ludźmi, np. podczas zgromadzenia przedwyborczego w 1897 r., w jednej ze wsi dzisiejszego powiatu bielsko-bialskiego. Zakończyło się ono w typowy wówczas sposób: „Chłopskie zgromadzenie – jak sam odnotował w „Pamiętnikach" – ma się ku końcowi. Miejscowy mówca, chłop, wznosi okrzyk: – Niech żyje Ojciec Święty! – Niech żyje! – huczą setki głosów chłopskich. – Niech żyje Najjaśniejszy Pan! – Niech żyje! – Niech żyje ksiądz Stojałowski! – Niech żyje! – Niech żyje Ignac Daszyński! – Niech żyje! Wszystko to spotkało się na jednym zgromadzeniu chłopskim". Widząc takie scenki, Daszyński za pierwszorzędną przesłankę powodzenia programu niepodległościowego uznawał „walkę z nędzą i ciemnotą ludu". Podążając wzorem rozważań historiozoficznych Bolesława Limanowskiego, przekonywał, że ruch narodowy (niepodległościowy) tylko wówczas potęguje swoje siły, gdy jest zespolony z dążeniami socjalnymi ludu polskiego, stanowiącego większość narodu.

Czyli nie ma wolności bez edukacji.

– I dlatego Daszyński wskazywał pierwszorzędne znaczenie świadomości historycznej, poczucia wspólnoty losów historycznych oraz wspólnej kultury i języka w konstytuowaniu i rozwoju narodu. Przywiązywał więc wielką wagę, zarówno w okresie galicyjskim, jak i w wolnej Polsce, do podniesienia poziomu umysłowego i kulturalnego niższych warstw społecznych – chłopstwa i robotników – poprzez upowszechnienie nowoczesnego szkolnictwa i prowadzenie szerokich akcji samokształceniowych.

Daszyński miał ogromny wpływ na program i działania socjalistów. Co udało się im zrealizować?

– Działacze trójzaborowej Polskiej Partii Socjalistycznej uznawali, że warunkiem powodzenia akcji wyzwoleńczej proletariatu o charakterze socjalistycznym jest odbudowa państwa o ustroju demokratyczno-parlamentarnym – Niepodległej Polskiej Republiki Demokratycznej. W dziele odzyskiwania wolności narodowej socjaliści wykazali największą ze wszystkich ugrupowań aktywność państwowotwórczą. W ostatnich tygodniach Wielkiej Wojny współtworzyli pierwsze ośrodki władzy państwowej. Ich dwaj politycy: Ignacy Daszyński i Jędrzej Moraczewski stanęli na czele dwóch pierwszych ogólnopolskich rządów Rzeczypospolitej. A ich niedawny współtowarzysz Józef Piłsudski został naczelnikiem państwa i stał się faktycznym współtwórcą wolnej Polski.

Warunek niepodległości został spełniony, a czy także społeczne postulaty socjalistów?

eprasa.pl 765918d2e3

– Polskim socjalistom przyszło działać w kraju o silnych przeżytkach postfeudalnych, ogólnym zacofaniu kulturowym i opóźnieniu cywilizacyjnym. Nic też dziwnego, że skupiali się głównie na rozwiązywaniu bieżących problemów niższych warstw społecznych, wprowadzeniu uregulowań, które zrównywały w prawach i upodmiotowiły obywateli II RP.

Już pierwsze decyzje polityczne rządu Daszyńskiego i Moraczewskiego nadały państwu polskiemu nowoczesny i demokratyczny charakter, bo wprowadziły system demokracji parlamentarnej: pięcioprzymiotnikowe prawo wyborcze, jednoizbową konstytuantę oraz wolność i równość wszystkich obywateli. Obudowali ją szeroko instytucjami demokracji społecznej, m.in. ośmiogodzinnym dniem pracy, opieką nad młodocianymi pracownikami, ochroną pracy kobiet, przymusowymi urlopami (z wyjątkiem rolnictwa), rozbudowanymi świadczeniami socjalnymi, reprezentacją w zakładach pracy i rozwiniętym ustawodawstwem pracy, siedmioklasową, powszechną, bezpłatną i obowiązkową szkołą itp. Decyzje obu tych rządów spowodowały, że nie było możliwe w przyszłości całkowite zejście z drogi demokratycznego rozwoju kraju.

Jak Daszyński wyobrażał sobie życie polityczne w przyszłej Polsce? Musiał wiedzieć, że obok socjalistów silną pozycję mają endecy i ludowcy, a na Śląsku ludzie Korfantego. Czy to wyobrażenie zderzyło się z rzeczywistością?

– Dopiero w odrodzonym państwie mogły się ujawnić faktyczne wpływy socjalistów w społeczeństwie i pozycja polityczna ich głównej partii – PPS. Okazało się, że mimo bezsprzecznych zasług w dziele odzyskania niepodległości i urządzenia państwa według najlepszych demokratycznych wzorców zachodnioeuropejskich pozostają oni w mniejszości i nie są w stanie realizować samodzielnie swoich projektów społecznych. Nie do nich należy rząd dusz Polaków, lecz nadal do sił konserwatywno-klerykalnych i nacjonalistycznych. Rodziło to u Daszyńskiego i jego zwolenników rozczarowanie i zwątpienie w skuteczność oddziaływania ideowo-politycznego w społeczeństwie. Wpływy socjalistów mierzone wynikami wyborów parlamentarnych nie przekraczały kilkunastu procent. Najwyższy wynik uzyskali w wyborach do Sejmu Ustawodawczego – 13,3%, ale w części dawnego zaboru austriackiego, Galicji Zachodniej, głównym terenie działalności Daszyńskiego – niemal 20%, a w miastach tego regionu ponad 30%. Potwierdzało to skuteczność wyboru przez Daszyńskiego formy aktywności politycznej i rozwijanej agitacji w różnych środowiskach społecznych.

A w układzie politycznym, parlamentarnym – jak to wyglądało?

Kalendarium życia Ignacego Daszyńskiego

1866 (26 października) – urodził się w Zbarażu, w patriotycznej, średniozamożnej rodzinie szlacheckiej.

1882 – zostaje wydalony z gimnazjum za wygłoszenie mowy o Wiośnie Ludów.

1883 – w Drohobyczu zaczyna pisać do „Gazety Naddniestrzańskiej" o robotnikach pracujących w zakładach naftowych w Stanisławowie i Drohobyczu.

1890 – rozpoczyna studia przyrodnicze na uniwersytecie w Zurychu. Jest jednym z założycieli Stowarzyszenia Robotników Polskich „Zgoda", współpracuje m.in. z Julianem Marchlewskim i Gabrielem Narutowiczem.

1890-1919 – współzałożyciel i lider Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej.

1891 – na II Międzynarodowym Kongresie Robotniczym i Socjalistycznym II Międzynarodówki w Brukseli przewodniczy delegacji socjalistów polskich z trzech zaborów.

1897 – zostaje najmłodszym posłem w Izbie Posłów Rady Państwa Przedlitawii – cesarskiej części Austro-Węgier ze stolicą w Wiedniu. W 1900 zostaje wybrany ponownie.

1910 – bierze udział w uroczystościach odsłonięcia pomnika grunwaldzkiego w Krakowie, podczas przemówienia namawia do walki o niepodległą Polskę.

1914 – PPSD zawiązała porozumienie z PPS – Frakcją Rewolucyjną Józefa Piłsudskiego. Daszyński wstępuje do Legionów Polskich jako strzelec.

1917 – głosuje w parlamencie austriackim za wnioskiem PSL „Piast", w którym Koło Polskie Sejmowe stwierdza, że jedynym dążeniem narodu polskiego jest odzyskanie niepodległej i zjednoczonej Polski z dostępem do morza.

1918 – wraz z innymi Polakami w parlamencie austriackim uchwala dokument, w którym członkowie izby składają deklarację, że uważają się od tej pory za obywateli polskich.

1918 (z 6 na 7 listopada) – powstaje Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, w którym Daszyński zostaje premierem oraz ministrem spraw zagranicznych.

1919 – w wyniku zjednoczenia PPSD, PPS i PPS Zaboru Pruskiego utworzono jednolitą PPS, w której Daszyński zostaje jednym z przewodniczących Rady Naczelnej.

1920 – (24 lipca) wchodzi w skład Rządu Obrony Narodowej, obejmuje stanowisko wicepremiera (szefem rządu był Wincenty Witos).

1926 – na wniosek Daszyńskiego CKW PPS zajmuje „rzeczowo opozycyjne" stanowisko wobec rządu Józefa Piłsudskiego.

1928-1930 – posłowie wybierają Daszyńskiego na marszałka Sejmu.

1929 – jest jednym z założycieli Centrolewu – antysanacyjnego bloku stronnictw partyjnych.

1930 – po rozwiązaniu Sejmu przez prezydenta Mościckiego ponownie zostaje posłem z listy państwowej.

1930-1935 – po fali represji wobec opozycji (sprawa brzeska) jako krytyk sanacji i lider Centrolewu staje się celem ataków piłsudczyków.

1931 – postępująca choroba serca zmusza go do ograniczenia działalności. Udaje się do Domu Zdrowia w Bystrej Śląskiej, spotykając się z kolegami partyjnymi, kontynuuje prace nad wspomnieniami.

1934 – otrzymuje tytuł honorowego przewodniczącego PPS.

1936 (31 października) – po długiej chorobie umiera w Bystrej Śląskiej. Zostaje pochowany z wielkimi honorami w Krakowie na Cmentarzu Rakowickim.

eprasa.pl 765918d2e3

– Daszyński jako pragmatyk i realista, mając na uwadze ograniczone możliwości realizacji samodzielnie projektowanych przedsięwzięć i zadań, był zwolennikiem prowadzenia aktywnej polityki koalicyjnej. Na tym tle nieraz dochodziło do sporów, gdyż część socjalistów stała na stanowisku pewnego dogmatyzmu socjaldemokratycznego, według którego z partiami spoza obozu robotniczego, jako burżuazyjnymi, nie paktuje się ani nie tworzy żadnych porozumień międzypartyjnych, tym bardziej rządowych. Wbrew temu Daszyński nie wahał się poszukiwać sojuszników poza własną formacją klasową, jeśli to miało przynieść ruchowi socjalistycznemu

Marszałek Sejmu Ignacy Daszyński z żoną Zofią Golińską. Bystra w województwie śląskim, lipiec 1936 r.

określone korzyści. Dlatego z dużym wyczuciem politycznym zawierał sojusze, np. z demokratami galicyjskimi do walki ze „szlachetczyzną". Współtworzył porozumienia w celu realizacji programu niepodległościowego i szedł na współpracę z konserwatystami krakowskimi, by ratować po sierpniu 1914 r. irredentę narodową Piłsudskiego. Wstąpił także do Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim, by również lepiej realizować cele polskie, a w końcu wojny współtworzył wspomniane struktury lokalnej polskiej władzy państwowej itp.

W II RP, gdzie w parlamencie było duże rozdrobnienie, taka polityka koalicyjna musiała być konieczna.

– To Daszyński zrozumiał. I dlatego konstytuował model polityki koalicyjnej, choćby w swoim rządzie z 1918 r., Rządzie Obrony Narodowej z 1920 r. czy wspierając później antysanacyjne porozumienie międzypartyjne – Centrolew. W dłuższej perspektywie prognozował, że wskutek industrializacji i urbanizacji kraju radykalnie będą się zmieniać stosunki społeczne i ruch socjalistyczny stopniowo uzyska przewagę na scenie politycznej.

W II RP lider socjalistów wchodził, mając renomę świetnego mówcy, oratora w austriackim parlamencie. Czy w międzywojniu utwierdzał tę opinię o sobie?

– Przejawiał niezwykły talent krasomówczy, miał dar przekonywania i docierania do słuchaczy, wspierając słowo odpowiednią mimiką i zachowaniem na trybunie parlamentarnej, wiecu i manifestacji politycznej, podczas spotkań, debat partyjnych i prywatnych. Mowy i polemiki były jego żywiołem. Z czasem jednak jego wystąpienia i przekazy krasomówcze wyraźnie słabły. Postępująca choroba praktycznie wyłączyła go już od schyłku lat 20. z aktywnego życia publicznego. Oratorskie wystąpienia zastępowało bardziej refleksyjne postrzeganie mijającego czasu i rozgrywających się wydarzeń na polskiej scenie politycznej i arenie międzynarodowej.

Czy Daszyński czuł się zawiedziony kształtem II RP, szczególnie po 1926 r. i zamachu majowym?

– Daszyńskiemu, podobnie jak wielu z pokolenia postyczniowego wychowanemu na micie wymarzonej Polski, „Chrystusa narodów", niełatwo było odnaleźć się w nowej rzeczywistości Polski Odrodzonej, ze wszystkimi problemami i konfliktami socjalnymi, religijnymi, narodowościowymi, gospodarczymi itd. Rozczarowała go już wspomniana skromna pozycja polityczna jego ruchu

Gdyby nie jego niepodległościowa i państwowotwórcza aktywność, odrodzenie Polski mogło się dokonać zupełnie inaczej.

społecznego. Tym bardziej to wszystko osobiście odczuwał i przeżywał, że dziełu odbudowy nowej RP poświęcił swoje życie. I można bez żadnej przesady stwierdzić, że gdyby nie jego niepodległościowa i państwowotwórcza aktywność, odrodzenie Polski mogło się dokonać zupełnie inaczej, bardziej niekorzystnie.

A co można określić jako dziedzictwo Daszyńskiego?

– Wytworzył wręcz „szkołę" nowoczesnego życia państwowego i obywatelskiego, przygotowując na potrzeby odrodzonej państwowości liczne kadry polityków i organizatorów życia publicznego. Wnosił do świadomości polskiej i polskiego życia politycznego najlepsze wartości oraz tradycje humanistyczne i demokratyczne. Jednocześnie wyrażał wątpliwości i rozczarowania, najpełniej w opracowanym jeszcze przed przewrotem majowym, a wydanym nazajutrz po nim, studium ustrojowo-politycznym „Sejm, rząd, król, dyktator. Uwagi na czasie".

Ciekawe, co napisał w przeddzień zamachu majowego.

– W studium zawarł pochwałę ustroju demokracji parlamentarnej i wykazał pozytywne skutki jej funkcjonowania w Polsce. Przeciwstawiał się różnym innym systemom ustrojowym, zwłaszcza o charakterze autorytarnym. Przyczyny trudności w życiu politycznym i rządowym widział w specyficznych cechach polskiego charakteru narodowego, dziedzictwie poszlacheckim i pozaborczym, braku doświadczeń demokratycznych i parlamentarnych.

Paweł Dybicz

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2), UNIWERSYTET PEDAGOGICZNY W KRAKOWIE

eprasa.pl 765918d2e3

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

O co wolno zapytać Edelmana?

Pojechałem na spotkanie zorganizowane przez Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w ramach rozpoczynającego się właśnie kroczącego Festiwalu Łódź Wielu Kultur. Debata odbyła się pod tytułem „Marek Edelman a kwestia palestyńska". W spotkaniu, którego festiwalową kuratorką była Agata Siwiak i nad którym czuwała aktywna także podczas samego wydarzenia szefowa centrum Kamila Majchrzycka-Szymańska, wzięły udział (pod moderacją prof. Moniki Bobako z UAM w Poznaniu) panelistki: Anna Dzierzgowska – nauczycielka historii, tłumaczka z języka angielskiego, feministka; Hanka Grupińska – pisarka, dziennikarka, reportażystka, autorka książek m.in. o pamięci Zagłady i doświadczeniu żydowskim; Martyna Rusiniak-Karwat – politolożka i historyczka, adiunkt oraz kierowniczka Działu Wydawnictw i Dokumentacji w Instytucie Studiów Politycznych PAN.

Centrum Dialogu, łódzka instytucja miejska, zaproponowało taką debatę, wychodząc od biografii swojego patrona, którego „sposób myślenia ukształtowały idee Bundu: socjalistyczne, świeckie, głoszące, że godność człowieka nie potrzebuje wielkich haseł, tylko codziennej solidarności. Bund uczył, że nie trzeba uciekać gdzie indziej, żeby walczyć o lepszy świat – trzeba robić to tu i teraz. Edelman wziął tę lekcję na serio, nigdy nie marzył o osobnym państwie dla Żydów. Jego kompasem życiowym pozostało przekonanie, że najważniejsze jest to, czy potrafimy stanąć po stronie słabszych".

Marek Edelman, wicekomendant Żydowskiej Organizacji Bojowej podczas powstania w getcie warszawskim w kwietniu i maju 1943 r. (miał wówczas 19 lat), od najmłodszych lat był wychowankiem socjalistycznej partii robotników żydowskich Bund, należał do jej młodzieżówki Cukunft, był przesiąknięty jej ideami. Do najważniejszych zaś należały: radykalna świeckość i antysyjonizm czy antykomunizm (w samym powstaniu walczył jednak ramię w ramię z bojowniczkami i bojowcami z PPR czy z Gwardii Ludowej). Od zawsze był krytykiem politycznej wizji syjonizmu i tworzenia państwa Izrael oraz masowej do niego emigracji. Bundowcy uważali, że ich miejsce życia i walki jest tam, gdzie się rodzili i żyli.

W wymiarze prywatnym ta polityczna polaryzacja nie rozbijała jednak przyjaźni i relacji. Najbliższymi przyjaciółmi Edelmana do końca życia byli Icchak „Antek" Cukierman i Cywia Lubetkin, działacze syjonistyczni, którzy po wojnie wyemigrowali do Izraela, gdzie w 1949 r. założyli kibuc Bojowników Gett w Galilei oraz Muzeum Bojowników Gett im. Icchaka Kacenelsona. Edelman, sam „źle widziany" w Izraelu i jako antysyjonista, i jako krytyk polityki izraelskiej, bywał u nich wielokrotnie.

Jako kardiolog pracujący w Łodzi pozostawał na uboczu życia politycznego, do którego przywróciła go w pewnym sensie publikacja książki Hanny Krall „Zdążyć przed panem Bogiem" w połowie lat 70. Później zaangażował się w działania opozycji korowskiej i w ruch Solidarności. Władze po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 r. na chwilę nieopatrznie go internowały, ale po protestach płynących z całego świata – szybko zwolniły. Po transformacji 1989 r. wspierał nowy pookrągłostołowy projekt. W 2002 r. wystosował (w obliczu palestyńskich powstań, tzw. intifad) „Apel do wszystkich dowódców palestyńskich organizacji militarnych, paramilitarnych i partyzanckich; do wszystkich żołnierzy palestyńskich organizacji bojowych", w którym przestrzegał przed skutkami prowadzenia działań partyzanckich wobec ludności cywilnej.

Próba analizy owego apelu miała miejsce podczas debaty w Łodzi, ale spotkała się z bojówkarską reakcją grupy osób częściowo związanych z gminą wyznaniową w Łodzi, częściowo utożsamiających się z syjonizmem i ludobójczą polityką państwa izraelskiego.

Jestem pod wielkim wrażeniem wysiłków organizatorek, które dokładały wszelkich starań, by dyskusja przebiegła w cywilizowany sposób – został nawet przygotowany rodzaj kontraktu określającego reguły uczestnictwa. Niestety, grupa propagandystów proizraelskich nie dostosowała się do niego. Padały sformułowania niegodne, hańbiące i rasistowskie. Wszystko to działo się w obecności niewielkiej reprezentacji palestyńskiej, w tym osób z Gazy, które w wyniku działań izraelskich straciły kilkudziesięciu członków swoich rodzin. Na szczęście dzięki kulturze i opanowaniu organizatorek oraz odpowiedzialnej postawie panelistek udało się zapanować nad nienawistną dynamiką debaty, a sprawcy i sprawczynie tak prowadzonego dyskursu sami ją opuścili. Potem uprawiali już tylko jadowity i pełen przekłamań trolling internetowy.

Chylę czoła przed osobami, które zgodnie z misją instytucji doprowadziły do spotkania i ostatecznie pokazały wielowymiarowość problemu. Wolność wypowiedzi wolnością wypowiedzi, ale czy ludzie pochwalający expressis verbis ludobójstwo nie są po prostu przestępcami udającymi dyskutantów? Dla mnie są. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 765918d2e3

Psi zakładnicy prezydenta

Ustawa o obowiązkowym czipowaniu psów i kotów przeszła przez Sejm i Senat. Czy podzieli losy „ustawy łańcuchowej”?

Kornel Wawrzyniak

Sejm uchwalił ustawę wprowadzającą ogólnopolski system identyfikacji zwierząt domowych. Senat zaś dokument poparł. Nowe przepisy zakładają utworzenie Krajowego Rejestru Oznakowanych Psów i Kotów (KROPiK) oraz obowiązek czipowania wszystkich psów i kotów – zarówno tych posiadających właścicieli, jak i przebywających w schroniskach.

Za przyjęciem ustawy wraz z poprawkami zagłosowało 245 posłów, przeciw było 22, a 171 wstrzymało się od głosu. W Senacie za przyjęciem, wraz z poprawkami, opowiedziało się 56 senatorów, przeciw było 6 osób, a 17 wstrzymało się od głosu. Izba wyższa poparła przede wszystkim zmiany o charakterze porządkującym i doprecyzowującym. Wśród nich znalazła się m.in. poprawka umożliwiająca nieodpłatną rejestrację kotów przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa (ARiMR) – na zasadach jak najbardziej zbliżonych do tych obowiązujących w przypadku psów.

Nie zyskała natomiast poparcia propozycja zwolnienia z opłat za oznakowanie i rejestrację zwierząt organizacji prowadzących domy tymczasowe. Teraz wszystko w rękach prezydenta Karola Nawrockiego.

Centralna baza i nowe obowiązki

– Polska pozostaje jednym z nielicznych krajów UE bez obowiązkowego systemu znakowania zwierząt domowych. Wprowadzenie powszechnego czipowania to nie tylko dostosowanie do europejskich standardów, ale przede wszystkim realna poprawa sytuacji zwierząt. To zmiana, która porządkuje odpowiedzialność właścicieli i wprowadza element kontroli tam, gdzie dotychczas panowała pełna dowolność – ocenia Magdalena Kordas, szefowa fundacji Mikropsy.

Zgodnie z przyjętymi regulacjami powstanie centralna baza danych, za której prowadzenie odpowiadać będzie ARiMR. Ustawa wprowadza obowiązek czipowania wszystkich psów i kotów, które mają właściciela. Obowiązkowe będzie również oznakowanie zwierząt przebywających w schroniskach oraz w domach tymczasowych prowadzonych przez organizacje prozwierzęce. W przypadku kotów żyjących na wolności decyzja o ich czipowaniu pozostanie dla gmin dobrowolna. Rejestr ma powstać w ciągu dwóch lat od wejścia przepisów w życie, a kolejne trzy lata przewidziano na identyfikację i wpisanie do bazy wszystkich objętych ustawą zwierząt.

Koszt oznakowania zwierzęcia i jego rejestracji został określony na maksymalnie 50 zł za każdą z usług. Opłaty będą pobierane przez lekarzy weterynarii. Właściciele, którzy nie dopełnią obowiązku czipowania i rejestracji muszą się liczyć z karą grzywny – od 20 zł do nawet 5 tys. zł. Przewidziano okres przejściowy: przez pierwsze trzy lata od wejścia ustawy w życie rejestracja zwierząt już posiadających mikroczip będzie bezpłatna. Argument finansowy może być wodą na młyn prezydenta Nawrockiego. Już przy wetowaniu „ustawy łańcuchowej” próbował rozbudowywać swój niewielki kapitał polityczny, antagonizując wieś z miastem i podnosząc takie argumenty jak to, że budowa psich kojców wykończy polską wieś.

W tekście „Psy zamarzają na łańcuchach” („Przegląd” nr 5/2026) wskazałem, że argumentacja Nawrockiego zawiera wyraźne nieścisłości. Przywoływany przykład 20-metrowego kojca, który miałby zrujnować rolników, trudno było uznać za przekonujący. Przy średniej powierzchni polskiego gospodarstwa wynoszącej ok. 12 ha (120 tys. m kw.) taki kojec zajmowałby ledwie 0,017% areału. Nawet w najmniejszych gospodarstwach, np. na Podkarpaciu, których przeciętna powierzchnia wynosi ok. 50 tys. m kw., to zaledwie 0,04%.

Dlatego warto pokazać, jak sprawy się mają w rzeczywistości. – Koszty wprowadzenia systemu są umiarkowane i przewidywalne. Ustawodawca zakłada, że czipowanie wraz z rejestracją w państwowej bazie danych nie przekroczy łącznie 100 zł, czyli 50 zł za czipowanie i 50 za wprowadzenie do bazy. W praktyce może to być znacznie mniej, bo czipowanie równie dobrze może kosztować złotówkę. Uwzględniono też okres

LISTA HAŃBY – polscy europosłowie przeciwnicy praw zwierząt

Adam Bielan, Tobiasz Bocheński, Grzegorz Braun, Joachim Brudziński, Anna Bryłka, Tomasz Buczek, Waldemar Buda, Michał Dworczyk, Małgorzata Gosiewska, Mariusz Kamiński, Marlena Maląg, Arkadiusz Mularczyk, Piotr Müller, Daniel Obajtek, Jacek Ozdoba, Bogdan Rzońca, Marcin Sypniewski, Beata Szydło, Stanisław Tyszka, Maciej Wąsik, Jadwiga Wiśniewska, Ewa Zajączkowska-Hernik, Anna Zalewska, Kosma Złotowski.

eprasa.pl 765918d2e3

przejściowy, w którym wpisanie do nowej bazy będzie bezpłatne. Trudno więc mówić o realnej barierze finansowej, zwłaszcza że posiadanie zwierzęcia zawsze wiąże się z wydatkami i odpowiedzialnością – zwraca uwagę Magdalena Kordas.

Wygoda dla właścicieli

KROPiK ma być zintegrowany z aplikacją mObywatel. Właściciele zwierząt uzyskają dostęp do danych przypisanych do mikroczipu oraz możliwość ich aktualizacji – m.in. numeru telefonu, adresu czy informacji o zwierzęciu. W aplikacji pojawią się także przypomnienia o obowiązkowych szczepieniach przeciwko wściekliźnie. Dostęp do danych w rejestrze otrzymają również m.in. policja, straż gminna, Inspekcja Weterynaryjna oraz sądy i prokuratura – w zakresie niezbędnym do wykonywania ich zadań. To może być kolejny „bastion wolności", którego bronić rzuci się prezydent Nawrocki. Czy usłyszymy argumenty o Orwellu (jak przy wecie w sprawie Aktu o usługach cyfrowych) i złych urzędnikach, którzy będą kontrolować, czy ktoś przypadkiem nie zaniedbuje zwierzęcia? To dość prawdopodobne, ponieważ Nawrocki cały czas próbuje przypodobać się zarówno wyborcom Konfederacji, jak i PiS. Podczas głosowania w europarlamencie nad kolejnymi przepisami polepszającymi dobrostan psów i kotów „za" głosowało 558 europosłów, „przeciw" 35, w tym 24 z Polski – europarlamentarzystów PiS i Konfederacji (lista hańby w ramce). Tymczasem tygodnik „Do Rzeczy" już pisze o „przymusowym" rejestrowaniu zwierząt.

– Każda zmiana prawna, zwłaszcza dotycząca obowiązków, spotyka się z oporem społecznym. Dotyczy to szczególnie obszarów wiejskich, gdzie pojawia się obawa przed dodatkowymi kosztami i regulacjami. Warto jednak podkreślić, że podobne argumenty zgłaszano przy wielu innych reformach. Ostatecznie nie doprowadziły one do negatywnych skutków gospodarczych. W perspektywie kilku czy kilkunastu lat obowiązkowe znakowanie może zmienić sposób myślenia o posiadaniu zwierząt. Osoby nieprzygotowane na obowiązki – także finansowe – mogą po prostu rezygnować z ich posiadania. To trudna, ale potrzebna zmiana, która w dłuższej perspektywie działa na korzyść zwierząt – podkreśla Magdalena Kordas.

Magdalena Kordas: Wprowadzenie powszechnego czipowania to nie tylko dostosowanie do europejskich standardów, ale też realna poprawa sytuacji zwierząt.

Wśród przyjętych poprawek znalazł się zapis wprowadzający maksymalny 14-dniowy termin na odebranie zwierzęcia ze schroniska lub domu tymczasowego. Po jego upływie odpowiednie służby będą mogły zostać powiadomione o porzuceniu zwierzęcia. Ten zapis może być rewolucyjny. Warto przypomnieć, że co roku przed wakacjami liczba porzuceń psów i kotów w Polsce rośnie o 30-40%. Szacuje się, że w sezonie letnim nawet 4-4,5 tys. zwierząt trafia na ulice, do lasów lub w okolice schronisk. Osoby adoptujące nieoznakowane zwierzęta nie będą karane za brak czipa. Sankcje obejmą natomiast podmioty, które wbrew przepisom wydają takie zwierzęta.

Z danych resortu rolnictwa wynika, że wydatki gmin na opiekę nad zwierzętami bezdomnymi oraz na przeciwdziałanie ich bezdomności znacząco wzrosły w ostatnich latach – z ponad 125 mln zł w 2012 r. do ponad 347 mln zł w 2023 r. Autorzy ustawy liczą, że nowe przepisy pozwolą ograniczyć skalę bezdomności zwierząt i zmniejszyć obciążenie finansowe samorządów.

– To jedna z najbardziej istotnych zmian systemowych w ochronie zwierząt w Polsce w ostatnich latach. Ustawa jest relatywnie prosta, nie nakłada nadmiernych obciążeń, a może przynieść wymierne efekty. Z tego względu trudno znaleźć racjonalne argumenty przemawiające przeciwko jej wprowadzeniu – podsumowuje Magdalena Kordas.

Na drodze do poprawy losu zwierząt stoi już tylko ewentualne weto prezydenta. Jeśli przy tak oczywistych danych, niewielkich kosztach i szerokim poparciu parlamentu zwyciężą kalkulacje polityczne i chęć polaryzowania społeczeństwa, nie będzie to już zwykła różnica poglądów, lecz demonstracyjne ignorowanie faktów i robienie na złość. A konsekwencje poniosą nie decydenci, lecz tysiące porzucanych zwierząt.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 765918d2e3

POMOC SPOŁECZNA W PUŁAPCE PRZEPISÓW

Kto zasługuje na wsparcie, a kto zostaje z niczym

Paweł Jankowski

Ośrodki pomocy społecznej, centra pomocy rodzinie, centra usług społecznych. Ich założenie jest oczywiste – systemowo pomagać potrzebującym. Współpracują przy tym z różnymi instytucjami, m.in. z domami pomocy społecznej, noclegowniami, środowiskowymi domami samopomocy. Pomoc to nie tylko pieniądze. To także praca socjalna obejmująca wiele niefinansowych form wsparcia, np. objęcie ubezpieczeniem zdrowotnym. Czasem zwykła rozmowa z klientem, a czasem z jego otoczeniem. Bywa jednak, że praca socjalna jest pracą syzyfową za sprawą barier pozostających poza kontrolą tych, którzy ją wykonują. Nawet jeśli nie brakuje im kompetencji, pasji i zaangażowania.

Graty w domu Krzyśka

Teraz, gdy za oknem słońce, a powietrze coraz cieplejsze, pomoc przebiega łatwiej pod niektórymi względami. Nie ma przynajmniej tego ryzyka, że któryś z podopiecznych pozbawionych domu czy sprawnego ogrzewania zamarznie na dworze. Ale na początku stycznia wszystko wyglądało inaczej.

W ośrodku pomocy społecznej od wczesnych godzin trwało poruszenie, bo jeszcze przed weekendem po miasteczku rozeszła się wieść, że policja szuka Krzyśka… i znaleźć go nie może. Krzysiek to jeden z klientów tutejszego ośrodka. Wiadomo, że w ubiegłym roku nie otrzymał żadnego świadczenia. Powód? Złamał postanowienia kontraktu socjalnego, jaki zawarła z nim jego poprzednia pracownica socjalna. Jednym z głównych punktów była abstynencja od alkoholu, który Krzysiek kocha miłością toksyczną. Umowa była prosta: ty nie pijesz i idziesz się leczyć, my dajemy ci zasiłek okresowy. Świadczenie, które w 2024 r. w Polsce otrzymało 170,7 tys. ludzi. Krzysiek nie wytrzymał i zapił, więc nie dołączył do grona beneficjentów.

W tamtym czasie przez Polskę przetaczała się fala siarczystych mrozów, jakich naród nie odczuwał od lat. Wiadomo, że u Krzyśka w mieszkaniu socjalnym nie było ogrzewania. Jeśli w pijackim zamroczeniu przysnąłby gdzieś na dłużej, mogłoby się skończyć tragedią. A przy okazji awanturą, bo w świat poszedłby przekaz o bezduszności państwowej machiny polityki społecznej. O złamaniu przez Krzyśka postanowień kontraktu i uporczywym unikaniu szans na poprawę życia nikt nie będzie mówił ani myślał.

– Żyje! – oznajmiła radośnie jedna z pracownic. – Krzysiek się znalazł! Dzwoniła Gośka z patrolu i mówiła, że na melinie go znaleźli. Podobno zmierza w naszym kierunku.

Kilkanaście minut później otworzyły się drzwi ośrodka. Jeszcze Krzyśka nie było widać ani słychać, za to czuło się go bardzo dobrze. Wnętrze ośrodka wypełniła woń utrwalona na zesztywniałych dżinsach. Mężczyzna zapewniał o swojej trzeźwości, choć jego sposób komunikacji i koordynacja ruchowa sugerowały co innego.

Tego samego dnia przyszedłem do mieszkania Krzyśka. Przenikał je mróz, bo lokator dawno nie używał pieca, choć – jak zapewnia – jest on sprawny. W środku poupychane były graty wszelakie – złom, zniszczone rowery, przestarzały sprzęt AGD. Do tego śmieci, znaczna część z pozostałościami jedzenia. Mróz – szczęście w nieszczęściu – odwlekał jego nieuniknione gnicie. Pomiędzy gratami wąska ścieżka prowadziła do łóżka.

Po oględzinach mieszkania i wywiadzie przeprowadzonym z Krzyśkiem podjęto decyzję o przyznaniu mu zasiłku okresowego z tytułu bezrobocia. Nim świadczenie przyznano, skontaktowałem się z kominiarzem w celu przeprowadzenia kontroli pieca. Jeśli okazałoby się, że piec jest niesprawny, Krzysiek mógłby się zaczadzić, opalając dom drewnem, które również dostał z ośrodka pomocy społecznej. Na szczęście kontrola wykazała, że piec był sprawny. Machina pomocy mogła ruszyć z kopyta.

Zasiłek okresowy to świadczenie, które można przyznać nie tylko z powodu bezrobocia. Inna klientka pomocy społecznej, Agnieszka, otrzymuje je, samotnie wychowując dzieci – trzy córki. Ojciec jednej z nich jest nieznany. Pozostałe tatę kojarzą, ale – jak zapewnia Agnieszka – nie chcą go znać, bo w ogóle nie stara się o kontakt. Dopiero od innych pracowników socjalnych dowiem się, że z tym brakiem zaangażowania ze strony ojca to trochę na wyrost, ponieważ kluczowe lata życia córek spędził w zakładach karnych. Gdy pytam Agnieszkę, czy widzi perspektywę na odnowienie przez ojca kontaktów z córkami, gdy znajdzie się on na wolności, ta stanowczo zaprzecza. Samotne sprawowanie opieki nad dziećmi jest w przypadku Agnieszki wycenione na kwotę 367,58 zł miesięcznie – tyle wynosi jej zasiłek okresowy z tytułu wychowywania córek bez ojca. Wyceny

eprasa.pl 765918d2e3

W 2024 r. liczba beneficjentów określonych świadczeń finansowych wynosiła:
- **160 tys. osób pobierających zasiłek stały,**
- **170,7 tys. osób pobierających zasiłek okresowy,**
- spośród pobierających zasiłek celowy 137,9 tys. stanowili mieszkańcy miast, a 66,9 tys. mieszkańcy wsi,
- 92,8 tys. beneficjentów korzystało z pomocy w formie usług opiekuńczych, w tym 12,4 tys. ze specjalistycznych usług opiekuńczych.

Liczba stacjonarnych zakładów pomocy społecznej wynosiła 2232, z czego 903 to domy pomocy społecznej, 107 – noclegownie, 331 – schroniska dla bezdomnych, 40 – rodzinne domy pomocy, 25 – środowiskowe domy samopomocy.

Przydatne strony: www.ops.pl, mops.org.pl.

tej, co trzeba podkreślić, nie dokonuje pracownik socjalny – robi to ustawodawca.

Sztywne i niejasne kryteria

Aktualnie – stan na pierwszy kwartał 2026 r. – kryteria dochodowe zasiłku okresowego wynoszą 1010 zł w przypadku osoby samotnie gospodarującej oraz 823 zł na osobę w rodzinie. Oznacza to, że każda osoba samotnie gospodarująca lub osoba w rodzinie, której dochód przewyższa podane kwoty, pozbawiona jest dostępu do wielu świadczeń finansowych z pomocy społecznej. Jej zakres jest niekiedy poszerzany o specjalne programy rządowe, jak choćby „Posiłek w szkole i w domu". W ramach tego programu świadczenia finansowe mogą zostać przyznane większej grupie odbiorców dzięki podwojonym kryteriom dochodowym: 2020 zł w przypadku osoby samotnie gospodarującej oraz 1646 zł na osobę w rodzinie. Jest to rozwiązanie pozwalające objąć wsparciem część tych, którzy nie spełniają ustawowej definicji „ubóstwa". Trzeba jednak pamiętać, że tego typu programy nie są stałym elementem pomocy społecznej. Wspomniany „Posiłek w szkole i w domu" zapoczątkowany został w 2024 r., a zakończony ma być w 2028 r.

Sprawę komplikuje także legislacyjny galimatias – niektóre zasoby są uznawane za dochód, a inne nie. Świadczenia wychowawcze 800+ nie są wliczane do dochodu, nawet jeśli są pobierane przez rodziców zdrowego dziecka. Z drugiej strony zasiłek stały pobierany przez osobę niezdolną do pracy z powodu choroby już jest traktowany jako dochód, podobnie jak dodatek mieszkaniowy, pielęgnacyjny czy alimenty na dziecko.

Jeżeli wnioskodawcą ubiegającym się o pomoc społeczną jest emeryt, pracownik socjalny musi zweryfikować wysokość emerytury. W tym wypadku pracownik socjalny, w zgodzie z przepisami, jako dochód emeryta traktuje kwotę wskazaną przez ZUS. Jeżeli na konto seniora wpływa kwota znacznie mniejsza niż oficjalnie wskazana – np. za sprawą obciążenia komorniczego – w dalszym ciągu za dochód uznaje się kwotę przedstawioną przez ZUS.

Tak niejasne kryteria przydzielania państwowej pomocy prowadzą do frustracji i poczucia krzywdy u sporej części społeczeństwa, którą system uznał za zbyt zamożną. Seniorzy, których emerytura po kilkudziesięciu latach pracy zawodowej wynosi nieco ponad 2 tys. zł, nie kwalifikują się do otrzymania większości świadczeń, niezależnie od wysokości codziennych wydatków. Czują, że Polska o nich zapomniała. Rozgoryczenie staje się jeszcze większe, gdy widzą młodych ludzi otrzymujących zasiłek okresowy, który nierzadko jest przeznaczany na alkohol.

Teoretycznie istnieje narzędzie pozwalające ukierunkować wydatki tych, co do których istnieje przypuszczenie lub pewność, że w pierwszej kolejności kupią alkohol. Krzysiek, tak jak wielu innych klientów pomocy społecznej z symptomami uzależnienia, otrzymał zasiłek okresowy w formie niepieniężnej, coś na kształt bonu na produkty spożywcze, na kwotę odpowiadającą wysokości świadczenia.

Gdy o takim rozwiązaniu opowiadam starszemu panu, który uczęszcza do dziennego domu pobytu Senior Wigor, na jego twarzy pojawia się ironiczny uśmiech. – Panie, tu jest mała mieścina, my ich widzimy. Wy im dajecie zasiłek do wykorzystania w formie produktów żywnościowych. Oni z tym idą do sklepu, wybierają jedzenie, mają już wcześniej nagranych kupców. Za połowę ceny sprzedadzą te produkty i mają na chlanie – tłumaczy senior. Jak mnie zapewnia, również Krzysiek

FOT. EAST NEWS/PHANIE

eprasa.pl 765918d2e3

regularnie jest widziany w stanie bliskim obłędu.

Ograniczenia systemu

Pracownicy socjalni wiedzą, że coś jest nie tak. Widzą łzy emerytów, którym zazwyczaj mogą zaoferować pomoc finansową w postaci specjalnego zasiłku celowego. I to świadczenie ma jednak ograniczenia, a jednym z nich jest źródło finansowania. O ile pieniądze przeznaczane na zasiłki stałe czy okresowe pochodzą z budżetu centralnego, o tyle środków na zasiłki celowe trzeba szukać w budżecie gminy. Jeśli budżet jest niewielki, pracownicy socjalni z konieczności muszą rezerwować przyznawanie zasiłków dla sytuacji bardzo wyjątkowych.

Ustawa z dnia 12 marca 2004 r. o pomocy społecznej nie precyzuje, o jakie sytuacje chodzi. Pewne wyobrażenie o tym, jakie okoliczności miał na myśli ustawodawca, teoretycznie dają wyroki sądów administracyjnych. Te jednak również potrafią się bardzo różnić – w zależności od interpretacji składu orzekającego. W wyroku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Lublinie z 4 października 2023 r. (sygn. akt II SA/Lu 508/23) stwierdza się, że „za szczególne przypadki uzasadniające przyznanie specjalnego zasiłku celowego nie zostały uznane: spłata zadłużenia, opłacenie rachunków za prąd czy gaz, brak środków na bieżące wydatki, uregulowanie opłat za pobyt w domu studenckim, zapłata kary za przejazd środkami komunikacji, a nawet [kupno] leków zażywanych w związku z przewlekłą chorobą".

Z drugiej strony w art. 39 Ustawy z dnia 12 marca 2004 r. o pomocy społecznej przedstawiony jest katalog wydatków, na które może być przeznaczony zasiłek celowy. Zestawienie to obejmuje m.in. środki przeznaczone na leczenie, kupno niezbędnych przedmiotów użytku domowego czy drobne remonty…

Chaos interpretacyjny płynie więc z góry, zaczyna się już na linii władza ustawodawcza-władza sądownicza.

Niejasność przepisów sprawia, że sami pracownicy socjalni często nie do końca wiedzą, kiedy mogą przyznać zasiłek celowy. Z ostatniego, obszernego raportu opublikowanego przez GUS wynika, że w 2024 r. tę formę wsparcia otrzymało 204,9 tys. osób w kraju. To o 13,2% mniej niż w roku poprzednim. Jedna z pracownic socjalnych mówi mi wprost: są takie ośrodki, które w ogóle nie przyznają celówek, bo to świadczenie opcjonalne, a wiele gmin w Polsce liczy każdy grosz.

Reżim ekonomiczny dotyka także inne formy pomocy społecznej. Pewnego dnia do siedziby OPS wpłynęło pismo z jednego z ośrodków tego typu. Zawierało wniosek o przeprowadzenie wywiadu z klientem pomocy społecznej. Mężczyzna pochodził z miejscowości, z której wpłynęło pismo, jednak w tamtym czasie przebywał w szpitalu w mieście objętym rejonizacją przez inny ośrodek pomocy społecznej. W takiej sytuacji prawo umożliwia przeprowadzenie wywiadu przez pracownika socjalnego będącego na miejscu, to jest zatrudnionego w pobliskim ośrodku. Wywiad miał dotyczyć umieszczenia mężczyzny w schronisku dla osób bezdomnych lub w schronisku dla osób bezdomnych z usługami opiekuńczymi.

Personel medyczny komentował, że mężczyzna powinien trafić do domu pomocy społecznej, bo stan jego zdrowia jest poważny, a schroniska dla osób bezdomnych – nawet te z usługami opiekuńczymi – nie mają wystarczających zasobów do przejęcia opieki nad człowiekiem z marskością wątroby. Oficjalnie jednak pracownik socjalny nie może rozmawiać z personelem medycznym, bo wywiad środowiskowy przeprowadza z samym zainteresowanym, ponadto prawo rygorystycznie reguluje kwestię wrażliwych danych medycznych. Ma on jednocześnie zaprezentować własne wnioski wraz z oceną, czy dana forma wsparcia klienta będzie adekwatna – nie mając wiedzy medycznej i, przynajmniej oficjalnie, dostępu do informacji o stanie pacjenta od personelu medycznego. Nieoficjalnie wie od lekarzy i pielęgniarek, że nie ma mowy o schronisku dla bezdomnych, bo ktoś z marskością wątroby powinien być objęty solidniejszym wsparciem specjalistycznym.

Domy pomocy społecznej – nawet pomimo zaleceń medycznych – nie są niestety ulubionym wyborem instytucji pomocy społecznej. Powód? Wysokie koszty utrzymania mieszkańca. Z założenia mieszkaniec DPS ma przeznaczyć 70% swoich dochodów na opłaty za pobyt w placówce. Jeśli kwota ta nie wystarczy na jego utrzymanie, w dalszej kolejności do ponoszenia opłat wzywa się rodzinę. Jeśli taki człowiek nie ma bliskich krewnych lub oni nie mają wystarczających środków – wówczas dopłaca gmina. Czasem koszty takich dopłat są bardzo duże, proporcjonalne do problemów zdrowotnych mieszkańca i jego potrzeb w zakresie opieki.

Jeden z pracowników samorządowych z niewielkiej miejscowości w zachodniej Polsce mówi wprost, że do domów pomocy społecznej coraz częściej przyjmuje się tylko leżących i obłożnie chorych. A ludzi chorych wymagających stałej opieki i fachowej pomocy w naszym kraju przybywa i będzie przybywać, przede wszystkim z uwagi na starzejące się społeczeństwo. Wskaźnik dzietności w Polsce w roku 2024 r. wyniósł 1,099. Dość przypomnieć, że minimalny wskaźnik dzietności potrzebny do zastępowalności pokoleń to 2,1. Obecna sytuacja oznacza postępujące kurczenie się ludności w wieku produkcyjnym, zdolnej do pracy i płacenia podatków. Bez odpowiednich wpływów do budżetu problemy ze sprawną realizacją pomocy społecznej będą narastać.

Niejasność przepisów sprawia, że sami pracownicy socjalni często nie do końca wiedzą, kiedy mogą przyznać zasiłek celowy.

Paweł Jankowski jest psychologiem, absolwentem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zawodowo zajmuje się pracą z osobami wykluczonymi i wspieraniem ofiar przemocy

eprasa.pl 765918d2e3

Najpierw język, potem armia

Estonia zbroi się na potęgę, ale ma kłopot z poborowymi, którzy mówią tylko po rosyjsku

Estońska Narwa ma po drugiej stronie rzeki Iwangorod, swoją dawną część, do obwodu leningradzkiego Rosyjskiej FSRR włączoną po II wojnie. Przed wojną w Narwie przeważali Estończycy, była też mniejszość niemiecka.

Chrystian Ślusarczyk
Korespondencja z Estonii

Estonia ma dziś niecałe 1,4 mln mieszkańców. Znacznie mniej niż Warszawa. Powierzchnia tej bałtyckiej, byłej republiki ZSRR jest tylko nieznacznie większa od województwa mazowieckiego. Wielu Europejczyków żyjących z dala od radzieckiej strefy wpływów z pewnością miałoby problem ze wskazaniem Estonii na mapie.

Niech jednak nie sądzą po rozmiarach ani pozornie peryferyjnym położeniu tego kraju. Estonia, członek Unii Europejskiej i NATO, bezpośrednio granicząca z Rosją zarówno na lądzie, jak i na morzu, położona jest w strategicznym i newralgicznym miejscu. Tak newralgicznym jak dla Polaków np. przesmyk suwalski – 65-kilometrowy odcinek granicy polsko-litewskiej, stanowiący – teoretycznie – łakomy kąsek i dla Rosji, i dla Białorusi. Takim „przesmykiem suwalskim" dla Estończyków jest praktycznie cała wschodnia, granicząca z rosyjskim obwodem leningradzkim i pskowskim, część kraju. Region, w którym rzadko usłyszymy język estoński, króluje cyrylica, a kopuły prawosławnych cerkwi błyszczą w każdej wsi.

Rosyjskie puzzle językowe

W latach 90. XX w. kilkanaście byłych republik radzieckich wybiło się na długo wyczekiwaną niepodległość. Wydawało się, że zachłyśnięci nią mieszkańcy wolnych krajów błyskawicznie porzucą język rosyjski. Tak się jednak nie stało. Rosyjski, choć może w nieco archaicznej i nie do końca poprawnej formie, pozostaje tam w użyciu. W byłych republikach władają nim dziesiątki milionów mieszkańców.

Powodów takiego stanu rzeczy jest wiele. To m.in. powiązania rodzinno-przyjacielskie, kwestie administracyjne i biznesowe, korzystanie z mediów czy turystyka, a być może też wrodzona gościnność takich nacji jak Ormianie czy Gruzini. W Azerbejdżanie gwałtowny powrót do języka rosyjskiego nastąpił zaś po zbudowaniu toru Formuły 1, bo to właśnie Rosjanie byli głównymi fanami bezpośredniego, drogiego oglądania tego sportu.

FOT. NUR PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 765918d2e3

W krajach pozostających w orbicie postsowieckiej starsi Rosjanie język odświeżali, młodzi – uczyli się rosyjskiego od urodzenia. Język nowego kraju, w którym przyszło im mieszkać, był dla nich często tak samo obcy jak dla nas dzisiaj rosyjski.

Estonia była częścią Związku Radzieckiego do roku 1991. W Kraju Rad funkcjonowało ponad 130 języków, ale to rosyjski pełnił funkcję głównego języka urzędowego i języka komunikacji międzyetnicznej. Władze na Kremlu – co dziś może nieco dziwić – dość łaskawie traktowały języki nominalnych mniejszości, które w 15 ówczesnych republikach radzieckich uznawano za oficjalne. Znajomość rosyjskiego była powszechna, choć jakość władania nim różniła się. Zupełnie inaczej po rosyjsku mówili Kazachowie, Gruzini czy Estończycy, którzy na co dzień, w domach i rodzinach, mówili w swoich językach. Rosyjski był dla nich i obcy, i w wielu przypadkach zbyt trudny.

Tam, gdzie języki lokalne zaczynały nadmiernie dominować nad rosyjskim, Kreml intensywnie osiedlał etnicznych Rosjan, tworząc rosyjskojęzyczne wyspy w centrach przemysłowych i administracyjnych, czyli faktycznie z pełną premedytacją miejsca te rusyfikował.

Tak działo się m.in. w Estonii. Efekt tych decyzji Kremla odczuwalny będzie jeszcze przez lata. Ogromna liczba mieszkańców stolicy Estonii, Tallina, woli posługiwać się językiem rosyjskim zamiast estońskim, bo ich rodzice czy dziadkowie byli właśnie takimi przesiedleńcami. Z kolei w mieście Narwa przy samej granicy rosyjskiej, gdzie obywatele rosyjskojęzyczni stanowią ok. 90% mieszkańców, ludność rosyjskojęzyczna mieszkała zawsze, choć nie dominowała tak jak dziś.

Według najnowszych statystyk poza 20% rosyjskojęzycznych obywateli z paszportem unijnym obecnie w Estonii mieszka także ok. 80 tys. obywateli Federacji Rosyjskiej. Problemem dla estońskich władz są również bezpaństwowcy. Nikt nie ma wątpliwości, że ta całkiem spora, 70-tysięczna grupa to etniczni Rosjanie. Po odzyskaniu przez Estonię w 1991 r. niepodległości nie uzyskali oni automatycznie obywatelstwa. Władze uważały (i najwyraźniej nadal uważają), że proces ich naturalizacji wymaga czasu. Grupa ta posiada tzw. szare paszporty, które umożliwiają podróżowanie, np. do Rosji, ale ograniczają prawa polityczne, m.in. prawo głosu w wyborach. Co ciekawe, części z nich ten status wyraźnie odpowiada, bo tylko 65% bezpaństwowców wyraża chęć posiadania obywatelstwa estońskiego. Władze w Tallinie z niepokojem jednak obserwują ich stosunek do państwa, w którym przyszło im żyć.

Ogromna liczba mieszkańców stolicy woli dziś posługiwać się rosyjskim zamiast estońskim, bo ich rodzice czy dziadkowie byli przesiedleńcami.

B1 – estońska przepustka

Do 24 lutego 2022 r., czyli do początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę, mniejszość rosyjska w Estonii postrzegana była jako sprzyjająca Putinowi. Nic dziwnego – takim, a nie innym preferencjom politycznym sprzyjał dostęp do wszystkich rosyjskich mediów. Teraz już nie są tak powszechne, ale wciąż daleko do stwierdzenia, że stały się niedostępne. Starsi obywatele kraju często języka estońskiego nie znają, bo wychowali się, uczyli i pracowali w radzieckiej Estonii. Także wielu młodych nie zna nawet podstaw języka estońskiego, bo system edukacji tego nie wymagał. Po 24 lutego 2022 r. doszło do sytuacji, która wielu Estończyków zaskoczyła. Wśród zamieszkujących Estonię Rosjan spadło poparcie dla rosyjskich władz i ich zbrodniczych działań w Ukrainie oraz dla rosyjskich mediów państwowych.

Władze w Tallinie niemal nazajutrz po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny w Ukrainie podjęły decyzję o zwiększeniu liczebności i zdolności bojowych wojska. W roku 2023 Tallin powiększył armię niemal dwukrotnie. Na początku tego roku Estonia dysponowała prawie 44 tys. żołnierzy zawodowych i poborowych. Największa zmiana dotyczy obrony lądowej. Dalszy wzrost liczby poborowych planowany jest też na rok 2027.

Aby ten proces skutecznie kontynuować, władze raz na zawsze chcą

eprasa.pl 765918d2e3

wyeliminować problem nieznajomości języka estońskiego wśród niemałej grupy poborowych. Estońscy wojskowi są zgodni: poborowi, którzy nie rozumieją rozkazów, stanowią poważne zagrożenie nie tylko dla siebie, ale i dla pozostałych żołnierzy. Mł. por. sztab. Ekaterina Szafkun jest zdania, że brak znajomości estońskiego uniemożliwia nawet treningi fizyczno-siłowe poborowych.

Od kilku miesięcy Estonia przygotowuje się więc do wprowadzenia ustawy, na mocy której każdy obywatel, który zostanie powołany do armii, będzie musiał znać język estoński. Jak dobrze będzie nim władał w praktyce – trudno jednoznacznie orzec. Władze są przekonane, że legitymujący się estońskim dokumentem tożsamości poborowy po zdaniu obowiązkowego egzaminu z języka estońskiego na poziomie B1 nie będzie już w armii problemem pod względem językowym. I tym samym skończy się będące obiektem żartów porozumiewanie się na migi…

Warto zauważyć przy tej okazji, że dla osób władających rosyjskim język estoński może się okazać wyjątkowo twardym orzechem do zgryzienia.

Karać czy zachęcać?

Od kilku tygodni władze w Tallinie zastanawiają się również, co zrobić z młodymi obywatelami Estonii niewładającymi estońskim, którzy nie zechcą uczestniczyć w obowiązkowych kursach językowych. Początkowo proponowano, by każdy przypadek „migania się" traktować indywidualnie. Ale ostatecznie wygląda na to, że delikwenci za taką niesubordynację będą karani. Nieznana jest jeszcze tylko wysokość grzywny. Część polityków mówi o 640 euro, inni domagają się kary znacznie dotkliwszej i kwoty 1280 euro. Trudno przewidzieć, czy do takich sytuacji rzeczywiście będzie dochodziło.

Być może dodatkową zachętę będą stanowiły możliwość nauki online i kursy hybrydowe. Nikt nie wątpi, że jakość takiej nauki będzie bardzo wysoka. Estonia jest bowiem powszechnie uznawana za najbardziej zaawansowane cyfrowo państwo na świecie, często określane mianem e-Estonii. Kraj zdigitalizował niemal wszystkie dziedziny usług publicznych. Władze przekonują, że kursy poprowadzą najlepsi i najbardziej doświadczeni nauczyciele języka estońskiego w kraju. Część wojskowych wyraża jednak obawy o to, czy nauczyciele i nauczycielki na tyle dobrze znają specjalistyczne słownictwo wojskowe, by przekazywać je uczniom.

Władze planują wprowadzenie nowych „językowych zasad przyjmowania do armii" jeszcze w drugiej połowie tego roku albo od 1 stycznia 2027 r.

„Językowa zasada przyjmowania do armii" ma wielu zwolenników, ale nie brakuje też osób nastawionych krytycznie. Należy do nich Danił Lipatow, komentator rosyjskojęzycznego tygodnika „MK-Estonia" (estońskiej edycji „Moskowskiego Komsomolca"). Dziennikarz powołuje się na art. 12 Konstytucji Republiki Estońskiej (Eesti Vabariigi põhiseadus): „Wszyscy są równi wobec prawa. Nikt nie może być dyskryminowany ze względu na narodowość, rasę, kolor skóry, płeć, język, pochodzenie, przekonania religijne, poglądy polityczne lub inne, a także ze względu na majątek, urodzenie czy inne okoliczności". Lipatow jest przekonany, że zmuszanie kogokolwiek do nauki języka innego niż ten, którym posługuje się od urodzenia, jest taką właśnie dyskryminacją: „Żyjemy w demokratycznym kraju. A skoro tak jest, każdy obywatel ma prawo złożyć odwołanie od decyzji w jego sprawie w terminie do 30 dni. Czyli tak naprawdę każdy poborowy będzie mógł zwrócić się do estońskiego sądu administracyjnego i domagać się stwierdzenia, czy nowa regulacja narusza jego podstawowe prawa i wolności". Z drugiej strony dziennikarzowi wydaje się mało prawdopodobne, że znajdą się tłumy, które chciałyby się sądzić z państwem estońskim.

Swoją drogą warto zwrócić uwagę na fakt, że w dzisiejszej mocno prounijnej i proukraińskiej Estonii wciąż nie wycofano z rynku takich tytułów jak wspomniany „Moskowskij Komsomolec" w wersji dla Estończyków. To wysokonakładowe pismo (w wersji dla Estończyków – tygodnik) na rosyjskim rynku ukazuje się od roku 1919.

Inne rosyjskojęzyczne media w Estonii bronią niewładających językiem estońskim przyszłych poborowych, twierdząc, że „nie każdy jest jednakowo uzdolniony językowo i nie każdy – mimo starań – opanuje odmienny od języków słowiańskich estoński". Język blisko spokrewniony z fińskim, wyróżniający się rzadko spotykanym bogactwem samogłosek, trudną wymową oraz… 14 przypadkami!

Z jednej więc strony, sporo w tym prawdy. Z drugiej – Estonia, członek NATO i północny sektor flanki wschodniej, nie może sobie pozwolić na posiadanie dwóch nierozumiejących się armii – rosyjskojęzycznej i władającej tylko estońskim…

Chrystian Ślusarczyk

Od kilku miesięcy przygotowywane jest wprowadzenie ustawy, na mocy której każdy powołany do armii obywatel Estonii będzie musiał znać język estoński.

Dla porównania – certyfikat z państwowego egzaminu z języka polskiego na poziomie B1 jest dziś wymagany przy ubieganiu się o kartę rezydenta, pobyt stały oraz do składania wniosków o obywatelstwo polskie.

Rosyjskojęzycznym poborowym kursy estońskiego na poziomie B1 zapewni państwo. W przypadku pozytywnego wyniku egzaminu poborowy otrzyma gratyfikację w wysokości 150 euro. Jeśli egzaminu nie zda, zostanie odesłany na dodatkowy, wciąż bezpłatny kurs, który tym razem zorganizuje Fundacja Integracji, w ramach której działa tzw. program Keelesõber i grupa ok. 1 tys. ochotników pomagających w nauce języka estońskiego, historii i kultury kraju. Jeżeli po upływie dwóch lat młody rosyjskojęzyczny obywatel Estonii także nie poradzi sobie z egzaminem na poziomie B1, będzie musiał kontynuować naukę na własny koszt.

eprasa.pl 765918d2e3

W Parku Głazów Nochten znajduje się 7 tys. głazów narzutowych. To największy ogród skalny Europy na terenie dawnej kopalni odkrywkowej.

Maria Schöne, dyrektorka Energiefabrik Knappenrode.

Beata Dżon-Ozimek
Korespondencja z Niemiec

Wilczym tropem

Rewitalizacja terenów po kopalniach przywróciła przyrodę na Łużycach

– Słychać tutaj czasem, jak wilki wyją. Koszę, porządkuję, dbam o teren, ale kiedy słyszę ich głosy, wyłączam kosiarkę, staję i zasłuchuję się. Żyją sobie niedaleko nas, nieniepokojone przez ludzi – przyznaje z zachwytem pracownik postindustrialnego giganta, dawnej fabryki brykietu, dziś muzeum Energiefabrik Knappenrode.

Odkąd skończyła się eksploatacja węgla brunatnego i działalność np. producentów brykietu, jak w górnołużyckim Knappenrode, dawne przemysłowe tereny zarosły, odbudowały się przyrodniczo – powróciły rozlewiska, bagna i torfowiska. Zwierzyna żyje w swoim rytmie, a wilki nieczęsto mają powody, by się zbliżać do człowieka. Łużyce od 30 lat są niemieckim matecznikiem wilków, które w 1996 r., po 100 latach, powróciły do Saksonii i Brandenburgii. Przybyły także z Polski, skąd wcześniej „zaglądały", ale granice państwa były granicami i dla wilków. Rok temu padła najstarsza udokumentowana wilczyca w Niemczech, oznaczona jako GW342f; miała prawie 15 lat i polskie pochodzenie. Urodziła się w 2010 r. w watasze w Ruszowie na Dolnym Śląsku. Jak podaje portal Sachsen.de, w latach 2012-2013 założyła swój rewir w lasach Glücksburger Heide, rozmnażała się tam co najmniej do lat 2023-2024. Samica padła w marcu 2025 r., ponad 100 km w linii prostej od swojego dawnego rewiru.

Właśnie zaczął się biologiczny rok wilka, liczony od 1 maja (narodziny szczeniąt) do 30 kwietnia następnego roku. Niemieccy badacze wilków podają, że żyje u nich 35 watah, 10 par i jeden samotnik na 46 terytoriach.

Gdy rozmawiam o wilkach na wschodnioniemieckich Łużycach, częściej niż lęk i obawy słyszę radość, że drapieżniki są i mają ponownie warunki do życia. A momentami moi rozmówcy zdradzają nawet fascynację. Maria Schöne, dyrektorka Energiefabrik Knappenrode, zabiera mnie na platformę widokową, nieco poniżej szczytów kominów. Czasem zdarza się jej w pracy usłyszeć wilcze wycie albo klangor żurawi. A z góry widać, że natura radzi sobie z ranami, które długo zadawał jej przemysł. Ogromny ceglany postindustrial, ze stacjami i szynami kolejowymi, lokomotywami, stoi pośród terenów bez ludzi. I nagle pojawia się stylowe osiedle, dawna kolonia Werminghoff, zaplanowana tak, by każda potrzeba mieszkańca z początków XX w. mogła być zaspokojona i było blisko do pracy. W Polsce zachwycamy się Nikiszowcem. Tu, na Łużycach, co któraś wioska to inna odsłona osiedli robotniczych, tak jak przepiękna Annahütte. Są przemyślane, solidne i w dużej części puste.

eprasa.pl 765918d2e3

Fabryka brykietów przetwarzała węgiel brunatny z lokalnych i dalszych kopalni odkrywkowych do 1993 r. Była jednym z największych pracodawców w regionie, znajdowały się tu zatem willa dyrektorska, dom leśniczego, majstra, bliźniaki z ogródkami, budynki wielorodzinne i jednorodzinne, szkoła, dom kultury i dom towarowy, fryzjer, piekarnia, kościół, poczta i policja, odkryty basen, przedszkole i boisko sportowe. Pamięta się o Forsthaus z tańcami i placuszkami Buttermilchplinsen oraz o gospodzie z rzeźnią, w latach 30. XX w. miejscu spotkań NSDAP. Dzisiaj kolonia nie wygląda jak na pocztówkach sprzed wieku, ale wciąż robi wrażenie.

Górnik żeglarzem

Łużyce postwęglowe mają nowe hasło: „Vom Bergmann zum Seemann" (od górnika do żeglarza), od odkrywek do jezior, co dzieje się w imponującej skali. Pojezierze Łużyckie to 23 sztuczne pokopalniane jeziora, z końcem czerwca część z nich się połączy i będzie można przepływać z jeziora na jezioro. Do „otwarcia" szykuje się największe sztuczne pokopalniane jezioro Niemiec, Ostsee pod Chociebużem.

We foyer dawnej fabryki brykietu designerskie łódki w charakterze siedzisk i oświetlenie łączą się z dawnymi detalami, kolorami farb. Potęga i skala sprzętów przemysłowych Energiefabrik Knappenrode, produkującej „brykiet, chleb przemysłu", to też kwestia zabezpieczenia zimnych murów, unikatowych dziś urządzeń, kaflowych ścian i podłóg pokrytych sadzą powęglową, która przetrwała we wnętrzach. Misja niemal nie do wykonania.

Jeśli trzeba, Maria Schöne staje za kasą w centrum dla zwiedzających, oprowadza, jest rzeczniczką prasową. Pracownicy uwijają się za kilku, z pasją dzielą się tajemnicami dawnej fabryki. Przeczytałam np. o knappenrodzkim stylu pływackim – czasami po pracy tylko skok w pobliskie wody jeziora Knappensee pomagał zmyć warstwy sadzy z twarzy i ciała, a i przepłukać drogi oddechowe. Dziś to już wspomnienie, choć wystawa stała odtwarza różne odsłony życia pod znakiem węgla i brykietu.

Można usłyszeć hałas pracujących pras, dotknąć brykietu, zobaczyć, czym różni się węgiel brunatny od kamiennego, skompletować plecak poszukiwacza miejscowych skarbów, usłyszeć nagrania dawnych pracowników i pracownic, poznać nieco mniejszość słowiańską, Serbołużyczan. Nawet kupić bryłkę węgla – wystarczy ją potraktować lakierem do włosów i powinna długo się trzymać, ale chyba mam kiepski lakier. Za to pomarańczowy żeton z symbolem E, jaki przyjął ten obiekt, chodzi ze mną na zakupy. Ciekawa wystawa czasowa „Reportaże z muzeów, które nimi nie były", zmiana ustrojowa, zjednoczenie Niemiec. „Nagle nie byłeś już potrzebny. To było trudne. Muszę szczerze przyznać. To był już koniec" albo „Świat nam się zawalił, nie wiedzieliśmy, co to takiego bezrobocie" – bohaterki i bohaterowie, 25 osób z dawnej NRD, po 1989 r. ma podobne doświadczenia jak sąsiedzi z Polski.

Przed fabryką stoi ławka z napisami: „Tolerancyjna Brandenburgia. Nie ma miejsca dla rasizmu". Przyglądam się jej z czułością, z podobnymi wrażeniami zresztą czytałam napisy w języku łużyckim, chyba górnołużyckim (jest i dolnołużycki), bo to Oberlausitz: „Myjernia hórnikow" (łaźnia górników), nad nim „Waschkaue". A smok, Zmij z legend łużyckich, o imieniu Plon, jest symbolem-maskotką tutejszych tras dla dzieci. Taki trochę śląski bebok, już nie zły, ale opiekuńczy.

We foyer jest ciepło. Uśmiechnięty pracownik uwija się za ladą, podaje ciasto, kawę, proponuje „tylko Kamenzer, bo lokalna", a o takie pytam. Kiełbacha, bo głód nie bierze jeńców. Z grzankami i musztardą, oczywiście szprewaldzką. I bardzo niepasujący słodki miejscowy napój Kumpel. Brause. Malinowa oranżada ze smokiem Plonem na etykiecie. Energia wróciła, Energiefabrik Knappenrode to świetne miejsce.

Śladami wilków do Małej Skandynawii

Chyba te wilki łużyckie z polskimi mnie przyzywają. Czytam o trasie „Podążaj śladami wilków łużyckich", rowerem przez gęste lasy sosnowe, wydmy śródlądowe, stawy i strumienie. Wzdłuż trasy wioski, kopalnie odkrywkowe i krajobrazy pogórnicze, no i tablice przybliżające życie wilków. Łużycka organizacja turystyczna Lausitzer Seenland proponuje też całodniowe lub weekendowe wycieczki z możliwością obserwacji wilka, jeśli on pozwoli, oraz kilkudniowe seminaria na „wilczych terenach".

Niemiecki LUPUS Institut odnotował od 2000 r. do końca wilczego sezonu 2025 r. 225 nieżywych

eprasa.pl 765918d2e3

wilków. 137 zginęło w zderzeniu z samochodami, 17 z pociągami, nielegalnie zabito 20, ledwie 30 zwierząt zmarło naturalnie. Myśliwi w ubiegłym roku zabili 5 wilków, więc rok był, jak twierdzą hodowcy owiec, „spokojny".

Na proponowanej trasie rowerowej tropami wilków, obok poligonów wojskowych, gdzie można czasem zobaczyć ćwiczenia, trafiam do Parku Głazów w Nochten z 7 tys. głazów narzutowych. To największy ogród skalny Europy na terenie dawnej kopalni odkrywkowej. Mamy tu 100 tys. nasadzonych roślin, kolorystyczne obrazy kreowane gatunkami roślin, irlandzkie wrzosowiska, torfowiska czy Małą Skandynawię. Siedem obszarów tematycznych, mostki, pagórki, jeziorka, kaskady, w tle nierealny niemal widok Elektrowni Boxberg – połączenie, które mówi: nie poddamy przyrody, wykorzystamy, co pozostawiła kopalnia, naprawimy, damy ziemi odpocząć bez dalszego wyszarpywania jej wnętrzności. Głazy narzutowe, wydobywane wraz z węglem, pochodzą właśnie ze Skandynawii, przybyły tu z prącym na południe lodem.

– W czwartorzędzie były trzy zlodowacenia, dwa pierwsze miały wpływ na krajobraz Łużyc i przyniosły ze sobą głazy narzutowe. Większość pochodzi z przedostatniego zlodowacenia, środkowopolskiego, czyli z okresu od 300 tys. do 130 tys. lat temu – wyjaśnia mi obsługa wystawy, gdzie materiały są dostępne w języku polskim. Głazy są głównymi aktorami, można ich dotykać. Aż się chce powiedzieć, że te brunatne odkrywki i dramatyczne wysiedlenia 137 wsi w regionie zmobilizowały do kreatywnych rewitalizacji terenów – wspólnie z górnikami, firmami i placówkami naukowymi.

Przysiadam na pamiątkowej ławce, ufundowanej dla ukochanej nauczycielki. Starsi ludzie w niezawodnych Meleksach wjeżdżają na wzgórza, przygotowano im nawet przy ławkach specjalne chwytaki na laski czy kule. Drobiazg, ale pełen troski.

Nie czuję się wyjątkowa

Główne szlaki spacerowe bez barier liczą 5,2 km, boczne ścieżki – 3,8 km. Posadzono ok. 1,6 tys. drzew. – Tylko kilka rozprzestrzeniło się naturalnie. Trudno oszacować, ile mamy różnych kwiatów, bylin i traw, same wrzosy to 150 odmian – wyjaśnia dyrektorka zarządzająca, Anita Schwitalla. W Parku Głazów w Nochten pracuje od 2017 r., a szefową całości, Geschäftsführerin, jest od czterech lat. Opowieść niemal filmowa: dziewczyna spod Warszawy po maturze jedzie na pierwszy samodzielny urlop nad polskie morze, spotyka chłopaka z Niemiec…

Łużycka organizacja turystyczna proponuje wycieczki z możliwością obserwacji wilków.

– …który już od 15 lat jest moim mężem. To ze względu na niego nauczyłam się języka niemieckiego i przeprowadziłam do Niemiec – uśmiecha się Anita Schwitalla. Studia ochrony środowiska, stypendium w Berlinie, potem Łużyce. – Bardzo dobrze się tu czuję, lubię przyrodę i spokój. W życiu zawodowym zajmowałam się głównie parkami, także zabytkowymi. W regionie jest sporo Polaków, nie czuję się wyjątkowa – podkreśla.

Inna ważna kobieta dla tego parku to Doris Wüstenhagen, w górnictwie od 1992 r. Specjalistka od krajobrazu pogórniczego, jego ponownego wykorzystania i rekultywacji, od dekad kieruje zespołem rekultywacyjnym, współpracuje przy projektach z Katedrą Ochrony Gleb na BTU Cottbus-Senftenberg czy Instytutem Badawczym Krajobrazów Pogórniczych (FIB) w Finsterwalde. Współtworzyła park głazów i jest moją przewodniczką. Wiele osób z dawnym doświadczeniem górniczym angażuje się tu w przywracanie przyrodzie i społecznościom terenów pokopalnianych. To proces długofalowy – bez pośpiechu, apolityczny. Sztuką jest łączenie tych miejsc z wydarzeniami kulturalnymi, szukanie szans, jakie daje przygranicze z Polską i serbołużycka mniejszość narodowa. Równie trudną sztuką jest odmawianie propozycjom „wydarzeń", które parkowi mogą przynieść więcej szkody niż splendoru, a i takie napływają do zarządu. To miejsce refleksji i nieśpiesznego kontaktu z przyrodą, którą człowiek naprawia w miejscu wcześniej przez niego spustoszonym.

Wilki w Niemczech zostały właśnie objęte przepisami łowieckimi, czyli tzw. wilki problemowe będzie można szybciej zabić, „interweniować" w populację wilków – cóż za eufemizm na zabijanie. Zapisy mają wejść w życie jeszcze w tym roku. Myśliwi skarżą się na napięcia związane z kwestią wilków, na podpalenia i podpiłowywanie ambon, groźby. Badanie MDR, regionalnego publicznego nadawcy radia i telewizji, pokazuje, że dwie trzecie ankietowanych popiera obniżenie statusu ochrony wilków i „ukierunkowane interwencje", u co trzeciej osoby myśl o spotkaniu ze zwierzęciem budzi strach. Nie pocieszają też inne badania opinii: w jesiennych wyborach regionalnych w Saksonii-Anhalt AfD, partia o prawicowo-ekstremistycznych poglądach, może osiągnąć 41%. To nie jest dobra wiadomość ani dla ludzi, ani dla wilków.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Tekst powstał dzięki stypendium dziennikarskiemu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Dziękuję za wsparcie Tourismusverband Lausitzer Seenland.

FOT. BEATA DŻON, HANS-PETER BERWIG, F. RICHTER/ SACHSEN.DE

eprasa.pl 765918d2e3

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Dzik jest dziki

Napisała do mnie pani Beata Tomecka, która zajmuje się postacią Krystyny Krahelskiej – prosi o jakieś fakty i zdjęcia, jeśli je mam. Wie, że mój ojciec znał poetkę. Pamiętam niewiele, ojciec o niej wspominał, wzruszał się, że tragicznie zginęła w powstaniu, jak potem większość jego uczniów, których kształcił w czasie okupacji na tajnych kompletach. Wiedziałem, że Krahelska była w latach 1936-1937 modelem dla Ludwiki Nitschowej, która wyrzeźbiła słynną warszawską Syrenę. Poruszające, że dziewczyna będąca pierwowzorem symbolu Warszawy ginie w powstaniu.

Mam tylko jedną fotografię szkolną ojca: on, młody nauczyciel, siedzi na krześle, a klasa stoi, w tle czarna tablica z napisem kredą: „Klasa VIII a 15 III 1932". Ta data na tablicy prowokuje metafizyczny dreszcz. Napisałem kiedyś wiersz o tej fotografii. Wykorzystałem ją w „Albumie rodzinnym" i w „Domu pisarzy w czasach zarazy". Wysyłam pani Tomeckiej fotografię, będąc pewnym, że żadna z dziewcząt na zdjęciu nie jest Krahelską. Odpisuje, że jest – blondynka, która stoi za ojcem. Szkoła w Brześciu. Przejrzałem potem fotografie dorosłej poetki, tak, to ona. Czasami zbieg okoliczności wie, co robi.

Czasami zbieg okoliczności wie, co robi.

W marcu 1937 r. Maria Dąbrowska zapisała w dzienniku: (...) jedziemy do pracowni pani Kraskowskiej-Nitschowej zobaczyć pomnik Syreny (...). Pozowała do tego pomnika Krysia Krahelska, córka wojewody. Piękna jak syrena i śpiewa jak syrena". Krahelska była od grudnia 1939 r. w konspiracji w Związku Walki Zbrojnej łączniczką i kurierką do specjalnych poruczeń na teren Nowogródczyzny. Przewoziła broń, przeszkolona w służbie sanitarnej, a w latach 1943-1944 pracowała jako pielęgniarka w szpitalu powiatowym we Włodawie. Jako sanitariuszka jeździła do oddziałów partyzanckich i szkoliła dziewczęta do służby sanitarnej. W powstaniu warszawskim była sanitariuszką. 1 sierpnia, podczas prowadzonego przez pluton od strony ul. Polnej ataku na budynek Domu Prasy przy ul. Marszałkowskiej 3/5, w chwili ratowania rannego kolegi została trzykrotnie postrzelona w klatkę piersiową. Polskie losy. Polska, którą można kochać, a którą próbuje nam zohydzić nasza prawica.

•

Prezydent aktywny, prezydent niezłomny proponuje referendum w sprawie Zielonego Ładu. Zielony Ład w ustach prawicy staje się pustym hasłem, czymś ze swojej istoty złym, co okropna Unia chce nam narzucić, by nas zrujnować. Przypominam: „Europejski Zielony Ład to strategia UE mająca na celu osiągnięcie neutralności klimatycznej do 2050 r.". Prezydent ostrzega: „Decyzje podejmowane dziś będą miały wpływ na nasze życie przez długie lata. Dotyczy to europejskiej polityki klimatycznej, której negatywne skutki odczuwamy już teraz". Tu w ogóle nie ma myślenia, bo nie ma świadomości, po co i dlaczego Zielony Ład. Tymczasem to dramatyczna próba ratowania naszej planety przed zmianami klimatycznymi, które już zaczynamy odczuwać, a to dopiero niewinna zapowiedź tego, co czeka ludzkość.

Prawica, Trump, prezes, Nawrocki i ich pobratymcy ideologiczni na świecie nie wierzą w globalne ocieplenie. A przecież naukowcy, fizycy atmosfery i klimatolodzy są jednomyślni. Przyszłość pachnie grozą. Kulminacji zjawiska nie dożyje Nawrocki, a tym bardziej prezes, więc co to ich obchodzi. Referendum w takiej sprawie jest idiotyzmem, bo pyta się ludzi o coś, o czym większość nie ma bladego pojęcia. To ja proponuję pytanie: Czy chcesz zagłady ludzkości, czy wolisz dać nam szansę, by tego uniknąć?

Ma już niestety miejsce reakcja łańcuchowa zdarzeń. Pewnych rzeczy w klimacie nie da się odwrócić. Ale musimy robić to, co możliwe, by przynajmniej ograniczać szkody. Być może w ramach Zielonego Ładu są różne głupstwa czy błędy. Trzeba o tym rozmawiać. Rozmawiać, a nie negować, że zjawisko istnieje i szykuje się dramat dla przyszłych pokoleń.

•

Dałbym głowę, że dziki nie sforsują otworu na licznik w ogrodzeniu naszego ogrodu, zabarykadowałem go po raz kolejny. I straciłbym głowę. Budzi mnie hałas przed domem, dwa duże osobniki są już u nas, rozrzucają śmieci z pojemników, warchlak wylizuje właśnie ze smakiem opakowanie po lodach, inne są przyssane do lochy. Szczerze mówiąc, najpierw myślałem, że to sen. Ale pojawił się synek Franio z wiatrówką i zaczął strzelać w powietrze ze śrutu. Podziałało, warchlaczki wybiegały z naszego obejścia za dorosłymi jak po sznurku. Nazajutrz wieczorem wielkie walenie w blachę – sąsiad przepłasza duże stado dzików. A to przecież Warszawa. Żona się boi, mnie to bawi. Żebyśmy mieli tylko takie problemy. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 765918d2e3

Tomasz Miłkowski

Stanisława Celińska: Podobało się?

Tak pytała, kiedy ktoś podchodził do niej po koncercie z podziękowaniem. I patrzyła prosto w oczy z lekkim niepokojem.

– Podobało – odpowiadałem.

– To dobrze – przyjmowała odpowiedź z łagodnym uśmiechem.

Chciała wiedzieć, czy jej śpiewanie dotarło do widzów.

Ostatnimi laty bowiem głównie śpiewała. Jeździła po Polsce z koncertami i piosenkami opowiadała o swoim życiu, o porachunkach z samą sobą, o poszukiwaniu przystani, o porozumieniu. Stanisława Celińska siała dobre uczucia.

1947-2026

Sukces z problemami

Weszła do zawodu po studiach prosto na szczyt. Równocześnie zadebiutowała u Wajdy w filmie „Krajobraz po bitwie" rolą Żydówki Niny (1970) i w Teatrze Współczesnym Erwina Axera. U mistrzów. I od razu odniosła sukces. We Współczesnym zadebiutowała jeszcze przed dyplomem rolą Anieli w komedii Aleksandra Fredry „Wielki człowiek do małych interesów" w reżyserii Jerzego Kreczmara (1968). Jako Nina w filmie Wajdy zachwyciła krytyków i kinomanów nie tylko urodą, ale także dlatego, że nie była to rola jednoznaczna, łączyła pozorną oschłość ze skrywanym ciepłem. To swoiste przełamanie ostrości i miękkości charakteru miało się stać znakiem rozpoznawczym Stanisławy Celińskiej: oto kobieta mocna jak stal, ale słaba i wymagająca opieki. Oto ktoś jak mama, która otoczy nas ramieniem w potrzebie, mocna, wyrozumiała, cierpliwa, ale przecież słaba jak liść na wietrze.

W kinie potwierdziła swoją klasę takimi rolami jak Agnieszka Niechcic w „Nocach i dniach" Jerzego Antczaka (1975) czy Zosia w „Pannach z Wilka" Andrzeja Wajdy (1979). Kiedy po latach Wajda zobaczył Celińską w „Oczyszczonych" Krzysztofa Warlikowskiego na scenie Teatru Rozmaitości, napisał do niej: „Z taką samą żarliwością walczyłaś kiedyś o Ninę, jak teraz walczysz o tę kobietę z peep-show".

W Teatrze Współczesnym miała spędzić, z przerwami, 13 lat. Odchodziła i wracała, szukając dla siebie miejsca. Na początku „grzała ławę", grała epizody – w teatrze obowiązywała hierarchia, ale kiedy dostała rolę panny Plejtus w „Matce" Witkacego w reżyserii Erwina Axera, było już wiadomo, że pojawił się niepospolity talent, ktoś obdarzony świadomością, po co jest na scenie.

To, że zostanie artystką, było niemal genetycznie przesądzone. Wychowywała się w rodzinie muzyków, jej ojciec był pianistą, mama skrzypaczką. Nie chcieli, żeby poszła w ich ślady, ale to najlepszy sposób, żeby dzieci właśnie chciały. Dlatego pewnie chciała. Razem z Andrzejem Sewerynem, jej sympatią z czasów szkolnych, zapisali się na zajęcia teatralne. Potem zdali do szkoły teatralnej i zostali aktorami. Seweryn zatrzymał się w teatrze (i filmie) na zawsze, losy Celińskiej potoczyły się nieco inaczej, choć wyuczonego fachu nigdy nie porzuciła.

„Mając siedem lat – mówiła, gdy trzy lata temu odbierała Nagrodę im. Ireny Solskiej, przyznaną jej za wybitne osiągnięcia aktorskie przez Klub Krytyki Teatralnej SDRP – zagrałam w jasełkach Anioła i Heroda. W tej amplitudzie postaci poruszam się od lat. Ostatnio bliższa mi jest postawa Anioła, choć do niego jeszcze mi daleko. Cóż, eksperymentowałam, zmieniałam teatry w poszukiwaniu... no właśnie, czego? Być może wielu aktorów wybiera ten zawód, bo nie lubi siebie i chce być kimś innym. Ja też siebie nie lubiłam, miałam kompleksy, a jednocześnie pragnęłam być choć przez chwilę w pięknym,

eprasa.pl 765918d2e3

wyimaginowanym świecie, gdzie wszystko jest zaplanowane, każdy kolejny krok, a ja nad wszystkim czuwam. Życie jest trudniejsze niż scena, jest jedną wielką niewiadomą. Przechodząc przez wszystkie role, zmagając się z nimi, z ich prawdą, poznałam siebie i... w końcu polubiłam. Cel został osiągnięty".

Bez taryfy ulgowej

Nigdy nie ukrywała, że miała problemy z alkoholem. Nie wytrzymała siły sukcesu na samym początku kariery, kiedy do filmowych i teatralnych doszły jeszcze zachwyty nad jej talentem wokalnym, który objawił się na festiwalu w Opolu. O swojej chorobie alkoholowej mówiła z pełną otwartością w rozmowie z Łukaszem Maciejewskim: „Poleciałam do Cannes, rywalizowałam z Monicą Vitti. Dostawałam telefony, listy, faceci szaleli. Wspaniałe recenzje, nagrody. I nagle wszystko pękło, kiedy zaczęłam pić. Byłam alkoholiczką. Bo nazywajmy rzeczy po imieniu. Piłam, nawet chlałam, staczałam się, zawalałam nagrania, próby, zaniedbywałam dzieci. Nie uniosłam wczesnego sukcesu. To wszystko było. A kiedy pozbierałam się, bo porażka sił dodaje, to pomyślałam, że tego nie mogę zostawić tylko dla siebie. Muszę przestrzec innych i jednocześnie powiedzieć wszystkim, którzy mają jakiekolwiek nałogi: z nałogu można wyjść. A poza tym jeśli ktoś opowiada o złu, jakie w nim, jest to od razu myślimy: »Aha, czyli nie tylko ja mam problemy«. Ta moja »spowiedź« też zdziera ze mnie mit delikatnej, dobrej Stasi, którą widzowie mogli zapamiętać z niektórych moich ról delikatnych, szlachetnych panienek, jak w filmie »Panny z Wilka« czy »Noce i dnie«".

Celińska krążyła między teatrami warszawskimi, aby nieoczekiwanie znaleźć ryzykowną przystań w teatrze Krzysztofa Warlikowskiego. Początkowo to jeszcze nie był jego teatr w dosłownym znaczeniu, tylko spektakle realizowane w Teatrze Rozmaitości, w których nieoczekiwanie pojawiła się Celińska, aktorka wcześniej występująca w repertuarze i w teatrach odwołujących się do innej estetyki. Warlikowski był wówczas reżyserem dopiero wykuwającym sobie prawo do odrębności i odmiennej wypowiedzi. Opowiedzenie się za nim wymagało pewnej odwagi, nawet determinacji.

Po raz pierwszy spotkali się przy realizacji spektaklu „Zachodnie wybrzeże" według Bernarda-Marie Koltèsa w Teatrze Studio (1998). Zagrała starą, bezdomną Indiankę. Tę rolę krytyk Piotr Gruszczyński określił mianem arcydzieła. Cecylia w jej wykonaniu, „pozostając nieomal nieruchoma jak sfinks – pisał – swoim potężnym głosem tworzy cały teatr, monumentalny i groźny". Po Koltèsie przyszedł czas na „Hamleta", wywrotowy spektakl w Teatrze Rozmaitości, w którym zakochany Hamlet Jacka Poniedziałka pojawił się goły na scenie, a Celińska jako jego matka Gertruda okazywała erotyczną namiętność, obmacując piersi. Wywoływało to gwałtowne reakcje części widzów, niektórzy/niektóre wołali do Poniedziałka, żeby założył majtki. Celińska jednak wyszła ze swojej roli zwycięsko, udało się jej przekonać widzów, że Gertruda cierpi, pożąda i naprawdę jest wewnętrznie rozdarta.

Stanisława Celińska siała dobre uczucia.

Ale prawdziwie obrazoburczym wyzwaniem okazali się „Oczyszczeni" według Sarah Kane, swego rodzaju manifest zrealizowany w międzynarodowej obsadzie przez trzy teatry: Współczesny we Wrocławiu, Rozmaitości w Warszawie i Polski w Poznaniu. Warlikowski odważnie wchodził w rejony przez teatr i dramaturgię pomijane albo spychane na daleki margines. Ukazywał piekło ludzi kochających inaczej, mających problemy ze swoją tożsamością seksualną, szukających ratunku w narkotykach i ucieczce od świata realnego. Spektakl zebrał spore cięgi, ale Celińska i tym razem obroniła swoją kreację Kobiety z peep-show, pełnej zawodowej determinacji.

Po tych doświadczeniach, przekonana, że w spektaklach Warlikowskiego naprawdę o coś ważnego chodzi, poszła za nim do tworzonego pod jego kierownictwem Nowego Teatru, gdzie przez kilka sezonów była współautorką kolejnych sukcesów reżysera coraz bardziej docenianego, nawet adorowanego. Warlikowski ją podziwiał i traktował jak prawdziwą gwiazdę. Zagrała jeszcze u niego m.in. w „Burzy" (świetna rola

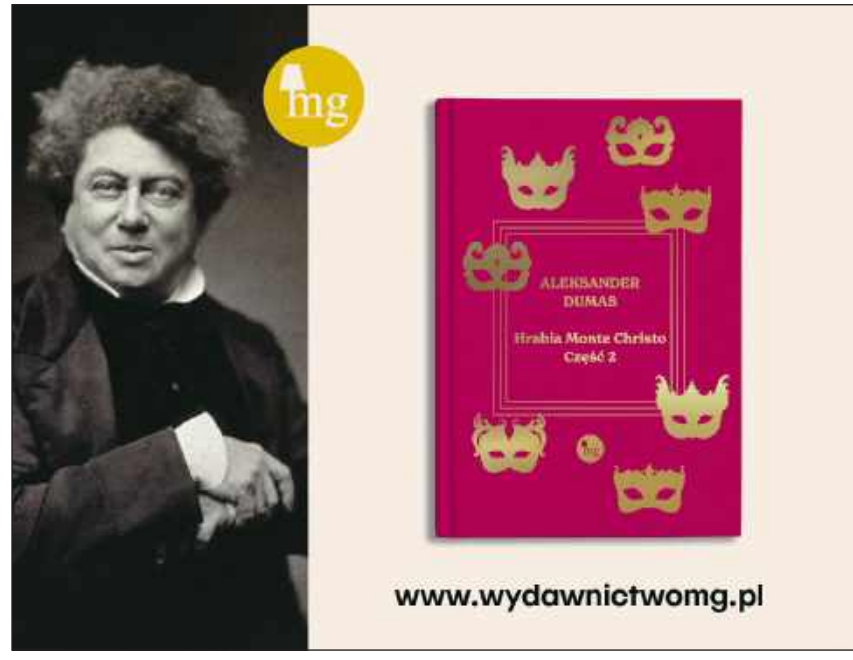

eprasa.pl 765918d2e3

Stanisława Celińska z Wojciechem Pokorą w serialu „Alternatywy 4".

pijaczyny Trinkula), „Krumie", „Aniołach w Ameryce", „(A)pollonii", „Opowieściach afrykańskich", „Końcu" i w „Kabarecie warszawskim" (2013). Wtedy postanowiła się wycofać.

Nie po raz pierwszy odchodziła w przekonaniu, że coś się już wyczerpało. Wcześniej tak było ze Współczesnym Axera. „Kiedy odchodziłam z Teatru Współczesnego – wspominała – wielki, cudowny Erwin Axer popatrzył na mnie tymi swoimi mądrymi oczami i powiedział: Ty to jesteś taki niespokojny duch.

– A to źle? – zapytałam.

– Nie, to dobrze.

I uśmiechnął się".

Teraz rozstała się z Nowym, zmęczona tym samym kierunkiem myślenia, uporczywym eksploatowaniem tych samych wątków i przeżywaniem tych samych traum. Pewnie miało to związek z fizycznym obciążeniem, jakie towarzyszyło jej rolom u Warlikowskiego. Kiedy tańczyła salsę, cierpiąc na bóle kręgosłupa i walcząc z otyłością, coraz bardziej odczuwała fizyczny ciężar wielogodzinnych spektakli. Zwłaszcza że nigdy nie pozwalała sobie na zastosowanie w jakimś przedstawieniu taryfy ulgowej. Widzowie nie dowierzali, że kobieta o tak potężnej posturze porusza się po scenie jak motyl, że niemal fruwa. Jednak koszty tych kreacji były coraz większe.

Postanowiła wycofać się z teatru w rejony piosenki, z którą cały czas flirtowała, odnosząc niemałe sukcesy. Zanim ostatecznie zrezygnowała z teatru, zagrała jeszcze na jubileusz w Teatrze na Woli w spektaklu „Grace i Gloria" w reżyserii Bogdana Augustyniaka, o umierającej matce i jej córce – w tej roli partnerowała jej Grażyna Malec. Sztuka nie była wybitna, tchnęła banałem, ale jednocześnie optymizmem, za którym aktorka najwyraźniej tęskniła po mrocznych inscenizacjach Warlikowskiego. „Grace i Glorię" przepełniały ciepło i wiara w miłość. Publiczności to się bardzo podobało, widzieli w tym powrót Celińskiej – opiekunki skrzywdzonych. Grała w tej sztuce przez wiele lat, niemal do końca życia, wciąż miała swoją publiczność.

Mówiła, że życie jest trudniejsze niż scena, jest jedną wielką niewiadomą.

Nasza Stasia

I chyba ta sztuka nadała kierunek jej poszukiwaniom wokalnym. Wcześniej zasłynęła piosenkami o dość nośnej sile przekazu, w pewnym sensie buntowniczymi, jak pamiętny song „Uśmiechnij się", który tak naprawdę budził grozę, czy jej monodramy z pieśniami Kochanowskiego albo monumentalna „Księga Hioba".

Teraz poszukiwała piosenek pocieszycielek, czasem dość banalnych w treści, ale opartych na prostym przesłaniu, jednających człowieka z życiem, zachęcających do zachwytu światem. Coraz częściej sama chwytała za pióro. Tak obrany kierunek spotkał się z gorącym przyjęciem publiczności. Wydała kilka albumów, wszystkie uzyskiwały wysoki status platynowej albo złotej płyty. Jeździła z koncertami, znajdując radość w spotkaniach z ludźmi, w rozmowach o zwykłym życiu. Opowiadała o swoich przejściach, ujmowała widzów szczerością.

„Pochodzę z rodziny muzyków – komentowała swój nowy, jak się okazało, ostatni etap twórczości – teraz moje życie wypełnia muzyka: śpiewam, piszę teksty, jestem sobą. Często mówię do ludzi bez czwartej ściany, a czasem ją wirtualnie stawiam, kiedy chcę uzyskać efekt intymności. Gram Grace w sztuce »Grace i Gloria« – bardzo chorą kobietę, ale sztuka nie jest smutna, bo Gloria traktuje śmierć (sama tak mówi) jak część życia. Jest mądra, wierząca w Opatrzność i niosąca Światło. I taki jest teraz mój teatr. Pełen światła i miłości. Myślę, że ludzie teraz tego potrzebują".

Fenomen Stanisławy Celińskiej polegał na czymś więcej niż tylko powszechnym podziwie dla jej precyzyjnego warsztatu, oryginalnej interpretacji czy naturalnej muzyczności. To, że mieliśmy do czynienia z aktorką wybitną, obdarzoną intuicją, rzetelną w swoich poszukiwaniach, odważną i oddaną pracy, to oczywiste. I potwierdzają to jej liczne osiągnięcia w teatrze, telewizji, filmie i na estradzie. Ale Celińska była kimś więcej niż tylko aktorką wyśmienitą. Była przede wszystkim kobietą, której się ufa, u której chętnie w trudnej sytuacji szukałoby się rady i pomocy. To kobieta po przejściach, których nie ukrywa. Kobieta, która, pokonawszy własne słabości, podźwignęła się i zachwyciła swoją sztuką. Nasza Stasia.

Tomasz Miłkowski

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER, POLFILM/EAST NEWS

eprasa.pl 765918d2e3

KURTYNA W GÓRĘ

Carey Crim, „23 i pół godziny", tłumaczenie Bogusława Plisz-Góral, reżyseria Jarosław Tumidajski, Scena w Baraku Teatru Współczesnego w Warszawie, premiera 25 lutego 2026

Wątpliwość

Nie przeceniam sztuki Carey Crim. Napisana jest zręcznie, ale lokuje się w kategorii sieciówek, utworów skrojonych na miarę wyobrażeń z sieci. Nie ma tu zawiłej psychologii albo zaskakujących interpretacji społecznych. Ale jest pytanie o granice zaufania. Daje ono aktorom impuls do ukazania gry o prawdę, która wymyka się jednoznacznej ocenie.

Bohater dramatu, ceniony i lubiany nauczyciel Tom Hodges, reżyser szkolnych spektakli, świętujący sukces kolejnej premiery, tym razem „Romea i Julii", zostaje postawiony w stan oskarżenia o molestowanie uczennicy obsadzonej w roli Julii. Atmosfera święta pryska. Następnym razem spotykamy się z nim, kiedy wychodzi z więzienia. Sąd skazał go na kilka lat, przyjaciele się odsunęli. Żona przy nim wytrwała, ale syn już nie – choć Tom wszystkiemu zaprzecza, jest przecież wyrok sądu, którego nie sposób lekceważyć. Nawet jeśli wierzyć w wersję Toma 23 i pół godziny na dobę, pozostaje jeszcze ten ułamek – pół godziny, kiedy wiara się chwieje. I jak wtedy razem żyć? W ogóle jak żyć?

Oskarżonego, niewinnego-winnego, co kto woli, gra ceniony aktor komediowy Szymon Mysłakowski. Udźwignął to zadanie z talentem równym jego komediowym osiągnięciom – można mu uwierzyć, a jednak jego postaci scenicznej już nie w pełni, bo pozostaje nieszczęsne pół godziny wątpliwości, które odsłania z siłą emocjonalnego rozwibrowania Katarzyna Dąbrowska w roli wspierającej żony. Jest o czym myśleć po tym spektaklu, który ostrzega przed stosowaniem taryfy ulgowej w ocenie własnego postępowania. Wszystko, co robimy, ma swoją cenę, nawet jeśli z pozoru wygląda niewinnie.

Tomasz Miłkowski

NA POWAŻNIE

Amanci z Grenlandii

Arcydzieło Mozarta jest nie tylko znakomicie śpiewane i grane na zabytkowych instrumentach, ale też tryska humorem i jest wypełnione ruchem. Fabuła ma zaskakujący podtekst obyczajowy, bo narzeczone dwóch amerykańskich żołnierzy po ich wyjeździe na tzw. misję dają się po licznych staraniach uwieść trochę gapowatym przybyszom z... Grenlandii. I tu kryje się tajemnica, którą widzowie znają od początku, a dziewczyny nie. *Bronisław Tumiłowicz*

Wolfgang Amadeusz Mozart, „Cosi fan tutte", reżyseria Paweł Szkotak, dyrygent Adam Banaszak, Warszawska Opera Kameralna, premiera 7 maja 2026

MIĘDZY OKŁADKAMI

Jerzy Niemczuk

Z umiarem też nie należy przesadzać

Wydawnictwo Rogoża, Piece 2026

Sam pisarz, znany jako współautor serialu „Ranczo", był podobno zaskoczony wydaniem tej książki – taką niespodziankę sprawiły mu żona z córką, przygotowując publikację zbioru felietonów. Mieszkający wiele już lat w mazurskich Piecach Niemczuk od 2019 r. zamieszcza je w „Tygodniku Szczytno". Pismo lokalne, ale teksty najczęściej mają tematykę ogólnokrajową, nieraz polityczną. Autor przekonuje, że to fragmenty jego dziennika rozbudowane do formatu krótkiego felietonu. „Na starość powróciła mi ta skłonność, która nie jest zbytnio obciążająca, a zarazem daje mi dużo frajdy", dodaje. Odbiorcom też, bo czyta się te miniaturki ze smakiem, jako że Niemczuk ma na koncie literaturę piękną dla dorosłych i dla dzieci, np. niedawno wydaną powieść „Królowa nieszczęścia", więc potrafi grać słowem i słówkiem.

Marek Książek

Bernadetta Darska

Republika ludzi młodych Opowieść o nowym człowieku

Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2026

Prusy Wschodnie, wyludniona i zniszczona miejscowość Bartoszyce, niedawno Bartenstein. To tu powstaje „miasto dzieci". Mało kto wie o niezwykłym projekcie: Centralny Ośrodek Wychowawczo-Szkoleniowy im. J. Korczaka miał tworzyć nowego człowieka na nowe czasy. Z powojennych sierot, dzieci rozrzuconych od Uralu, przez Francję, Niemcy, po zakątki Polski; z małych powstańców, „rusów", „niemcząt". Po II wojnie światowej doliczono się 1,7 mln sierot. Dawne koszary Ludendorffa w sielankowej okolicy od 1947 r. stają się bazą największego w Polsce domu dziecka, dla nawet 3 tys. podopiecznych, a ośrodek nad Łyną ma być eksperymentem, „republiką ludzi młodych". Fascynujące, niepoznane losy ludzi i owego „projektu" odkrywa prof. Bernadetta Darska, literaturoznawczyni, pisarka i krytyczka.

Beata Dżon-Ozimek

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 765918d2e3

Boris Kudlička – dyrektor Teatru Wielkiego-Opery Narodowej w Warszawie od sezonu artystycznego 2025/2026.

Teatr Wielki jeszcze większy, nowocześniejszy i dostępniejszy

Bronisław Tumiłowicz

Boris Kudlička oficjalnie zaprezentował nowy sezon narodowej sceny operowej. Choć formalnie kieruje największą kubaturą teatralną w Europie od 1 września 2025 r., do tej pory spektakle Teatru Wielkiego-Opery Narodowej w Warszawie były realizacją planów jego poprzednika, Waldemara Dąbrowskiego. Dopiero teraz dyrektor Kudlička mógł ogłosić, jak będzie wyglądał kolejny sezon, oddający jego własną koncepcję. Tę zaś stworzył z mającymi pewną autonomię artystyczną zastępcami: nowym dyrektorem muzycznym Yoelem Gamzou oraz dyrektorem artystycznym Polskiego Baletu Narodowego Krzysztofem Pastorem.

Hasłem sezonu są Nowe Przestrzenie Sztuki. Osoba Yoela Gamzou, amerykańsko-izraelskiego dyrygenta i kompozytora, pasuje do tej koncepcji, ponieważ artysta wykracza w pracy poza granice tradycyjnego wykonawstwa muzyki. Mimo młodego wieku zyskał znaczne uznanie międzynarodowe, a jego nienasycona ciekawość nowej twórczości muzycznej i bezwarunkowe zaangażowanie w dialog z nowymi odbiorcami pozwalają mieć nadzieję na wprowadzenie niebanalnych trendów do naszej opery.

Znany jest także zastępca dyrektora artystycznego Piotr Jaworski, młody polski dyrygent, również z zagranicznym dorobkiem. Warto dodać, że dotychczasowy dyrektor muzyczny TW-ON Patrick Fournillier też będzie uwzględniony w niektórych pozycjach nowego repertuaru.

Jednym z zarzutów dotyczących funkcjonowania tej ogromnej instytucji artystycznej, mającej ponad 1 tys. pracowników, było odejście od teatru typu repertuarowego, ze stałym zespołem śpiewaków, utrzymującego na afiszu po kilka oper granych na zmianę, a jednocześnie pracującego nad kolejnymi premierami, na rzecz formuły teatru impresaryjnego. Spektakle tworzone są we współpracy z zapraszanymi do nich zewnętrznymi artystami, a po kilku wystawieniach schodzą z afisza i potencjalni widzowie muszą się obejść smakiem.

Nowy sezon TW-ON rysuje się jednak bogato i różnorodnie, zapowiadając sporo zmian ilościowych

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 765918d2e3

i jakościowych. Gdy spojrzymy na kalendarz imprez odbywających się w tym okazałym gmachu, stwierdzimy, że nie ma tutaj przestojów. Choć sezon zaczyna się dopiero 12 września, do końca tego miesiąca zaplanowanych jest aż 20 różnego rodzaju imprez, przedstawień, koncertów, spotkań, warsztatów, recitali, wykładów, często w jednym dniu po dwa, a nawet trzy wydarzenia. W październiku będzie ich 36, w listopadzie 35, w grudniu 30, w styczniu 37 itd. Można zatem powiedzieć, że Teatr Wielki stara się łączyć formułę repertuarową, tworzoną w żmudnej codziennej pracy, ze stylem nowoczesnej placówki impresaryjnej, która przygotowuje średnio co miesiąc nową premierę.

Prócz 10 nowych pozycji operowych i baletowych, wśród których znajdą się dzieła klasyczne, takie jak „Poławiacze pereł", „Coppélia", „Opowieści Hoffmanna" czy „Salome", oraz zaplanowanych na okres od września do czerwca spektakli współczesnych i nierzadko nowatorskich, takich jak ukraińska opera „Matki Chersonia", „Czarodziejska góra" według Tomasza Manna i „Ślōnskie gołymbie", na scenę powrócą – w liczbie 18 – znane tytuły. Nowy dyrygent i dyrektor muzyczny przygotuje jeszcze sześć koncertów symfonicznych typu filharmonicznego, będą również recitale słynnych artystów, koncerty galowe, imprezy edukacyjne, warsztaty, spotkania dla dzieci itd.

Ten ogromny w sumie repertuar będzie prezentowany i tworzony w nie zawsze wygodnych warunkach przebudowy i remontu kilku segmentów gmachu przy Placu Teatralnym. Celem inwestycji jest budowa nowoczesnych sal prób dla artystów na tarasie dziewiątego piętra, kompleksowa modernizacja sal baletowych, przebudowa sal chóralnych, zwiększenie dostępności infrastruktury dla osób ze szczególnymi potrzebami oraz unowocześnienie zaplecza technicznego. Program inwestycyjny „Opera Nowych Możliwości – Modernizacja Infrastruktury Kulturalnej w Teatrze Wielkim-Operze Narodowej" oparty na funduszach europejskich i dotacji budżetowej opiewa na kwotę 140 mln zł i wymaga bardzo starannej koordynacji z zamierzeniami artystycznymi. Wszystko to zostało drobiazgowo ujęte w publikacji TW-ON zapowiadającej sezon 2026/2027.

Zapytaliśmy dyrektora Borisa Kudličkę, dlaczego w nowym sezonie wśród plejady wybitnych i głośnych realizatorów, reżyserów, scenografów przedstawień operowych i baletowych nie znalazło się jego nazwisko – artysty, który ma w dorobku oprawę kilkudziesięciu głośnych premier zarówno na scenie macierzystej, jak i na scenach zagranicznych.

Obecnie w TW-ON przyjęto formułę teatru impresaryjnego, zapraszającego zewnętrznych artystów do spektakli, które po kilku wystawieniach schodzą z afisza.

– Moja scenografia pojawi się w operze „Madame Butterfly" w reżyserii Mariusza Trelińskiego, która powróci na naszą scenę 22 i 30 października 2026 r., ale to praca dosyć leciwa, bo z 1999 r. Nie przewiduję na razie tworzenia scenografii do nowych spektakli. W istocie nie da się fizycznie i mentalnie pogodzić tego zajęcia z ogromem zadań związanych z kierowaniem takim teatrem. Sądzę ponadto, że nadszedł czas na zmiany, odkrywanie nowych osobowości twórczych. Obejmując stanowisko dyrektora TW-ON, deklarowałem, że „nie chcę się powtarzać", a moje zainteresowania zawodowe skoncentrowałem na architekturze i designie.

A co z udziałem w działalności artystycznej naszej wielkiej sceny wspomnianego Mariusza Trelińskiego, do niedawna dyrektora artystycznego TW-ON? W końcu to on walnie przyczynił się do eksportu rodzimej sztuki operowej, wprowadził polskie przedstawienia nawet na scenę Metropolitan Opera w Nowym Jorku czy do teatrów Wiednia, Brukseli, Baden-Baden, Lyonu, Pekinu itd.

– W nowym sezonie nastawiliśmy się na twórców jeszcze u nas nieznanych, głośnych i interesujących realizatorów, którzy z pewnością zainteresują naszą publiczność i poszerzą paletę doznań artystycznych – wyjaśnia Boris Kudlička. – Jednak z pewnością w kolejnych sezonach będziemy zapraszać Mariusza Trelińskiego do realizacji nowych przedsięwzięć artystycznych na naszej scenie. W tej chwili, u progu sezonu, stawiamy czoła poważnych zadaniom, wprowadzamy nowe tytuły, nowych ludzi. Teatr przybierze nowy wystrój, a znane miejsca otrzymają nowe funkcje. Liczymy, że te zmiany przyniosą korzyści naszej publiczności, ale także posłużą zespołom twórczym Teatru Wielkiego. ■

10. edycja Nagrody im. Jerzego Turowicza

Nagroda im. Jerzego Turowicza, ustanowiona w 2012 r., w setną rocznicę urodzin twórcy i wieloletniego redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego", przyznawana jest za wybitne i oryginalne dzieło literackie, plastyczne, muzyczne, teatralne lub filmowe bądź pracę z dziedziny nauk humanistycznych, znajdujące się w kręgu wartości bliskich Jerzemu Turowiczowi i tematów, do których wracał on w swojej publicystyce i działalności publicznej. Nagroda przyznawana jest za całokształt lub dzieło twórcy polskiego, żyjącego w chwili jej ogłoszenia, opublikowane bądź zaprezentowane w roku jej przyznawania oraz w ciągu dwóch lat kalendarzowych poprzedzających rok jej przyznania. Tegoroczna edycja obejmuje dzieła z lat 2024-2026. Nagrodę stanowią: statuetka oraz nagroda pieniężna w wysokości ogłaszanej co roku przez Zarząd Fundacji.

Wyboru laureata dokonuje Zarząd i Rada Fundacji Jerzego Turowicza, ogłoszenie wyniku nastąpi 15 października, a wręczenie nagrody 9 grudnia br.

Prawo zgłaszania kandydatur do nagrody mają członkowie Zarządu i Rady Fundacji Jerzego Turowicza, redakcje „Tygodnika Powszechnego", „Znaku" i innych czasopism kulturalnych, wydawcy, związki twórcze oraz wcześniejsi laureaci.

Zgłoszenia na piśmie prosimy wysyłać na adres: Fundacja Jerzego Turowicza, ul. Leśna 21, 30-232 Kraków lub fundacja@turowicz.org do 30 czerwca 2026 r.

eprasa.pl 765918d2e3

Polacy fetują zwycięstwa w Europie

Radości pochodzenia zagranicznego

Wojciech Kuczok

Nasi rodacy kończą obfity sezon w klubach europejskich, warto nad tym momentem polskiej piłki klubowej pochylić się z uwagą i satysfakcją. Nie trzeba bowiem sięgać pamięcią do czasów szczególnie zamierzchłych, aby sobie przypomnieć, jak Polacy grywali za granicą w klubach poślednich, w ligach przeciętnych, a za futbolowe eldorado, gdzie mogli dobrze zarobić z szansą na regularną grę, uchodziły Cypr, Grecja, a nawet Izrael. Wielka reprezentacyjna i klubowa smuta lat 90. wyrobiła nam na piłkarskim rynku markę taniej, lecz adekwatnie do ceny średnio wydajnej siły roboczej. Najwięcej naszych gwiazd zasilało niemiecką Bundesligę, w której zdarzało im się zaznaczyć pozytywnie, ale pozostałe ligi TOP 5 były na nas impregnowane. Jeszcze w pierwszej dekadzie XXI w. cieszyliśmy się, gdy pojedyncze występy w Racingu Santander zaliczał Ebi Smolarek.

O tym, by nasi gracze stanowili pierwszoplanowe postacie najsilniejszych klubów Europy, mogliśmy tylko marzyć, dopóki dortmundzki tercet nie zwrócił uwagi na to, że choć kadra sukcesów nie odnosi, Polacy w piłkę grać potrafią.

Tymczasem w minionych tygodniach Polacy zdobywali i fetowali kolejne trofea w najsilniejszych piłkarsko ligach. Piotr Zieliński właśnie zdobył dublet z Interem Mediolan i – co ważne – choć początki po przenosinach z Neapolu miał trudne, choć wieszczono mu, że nie podoła konkurencji i będzie grzał ławę, wiosną osiągnął taką formę, że ani trener Cristian Chivu, ani tym bardziej kibice nie wyobrażają sobie Nerazzurrich bez Polaka w wyjściowym składzie. Fenomenalne bramki po strzałach z dystansu stały się jego znakiem rozpoznawczym, a kapitalne asysty no-look passes, błyskotliwość dryblingów i przegląd pola sprawiają, że Zielu będzie jednym z największych nieobecnych amerykańskiego mundialu. Playmakera na tym poziomie nie mieliśmy od czasów Kazimierza Deyny; 32-latek ma już 107 występów w kadrze

Piotr Zieliński w sezonie 2025/2026 wygrał z Interem Mediolan mistrzostwo Włoch (Serie A) i Puchar Włoch. Stadion Olimpijski w Rzymie, 13 maja 2026 r.

FOT. REXFEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl 765918d2e3

narodowej i wiele wskazuje na to, że będzie w jej pomocy rządził jeszcze przez lata, goniąc rekord Roberta Lewandowskiego – być może zatem zdąży jeszcze na mistrzowską imprezę się zakwalifikować.

Inter miał świetny sezon: bezkonkurencyjny we Włoszech, niestety w Europie padł ofiarą zlekceważenia Norwegów zza koła podbiegunowego: dwie porażki z Bodø/Glimt już w play-offach Ligi Mistrzów chwały mu nie przynoszą.

Polacy sięgają po kolejne trofea w najsilniejszych piłkarsko ligach. Piotr Zieliński zdobył dublet z Interem Mediolan.

W Barcelonie nie oszczędzali się podczas mistrzowskiej fety dwaj nasi weterani. Robert Lewandowski zdobył właśnie 14. mistrzostwo w karierze, w tym 13. w klubach z europejskiego TOP 5 – pod tym względem nie ma w Europie skuteczniejszego gracza. Trzecie i ostatnie mistrzostwo z Barceloną wygrał już zdecydowanie w charakterze zmiennika, dlatego najgorętsze pytanie, które nurtuje teraz kibiców, dotyczy tego, dokąd Lewy się przeniesie po sezonie. Wojciech Szczęsny dowcipnie zaleca mu zakończenie kariery, bo wtedy przychodzą najciekawsze oferty (od czasu przejścia na najkrótszą emeryturę współczesnej piłki Szczęsny zdobył z Barceloną pięć trofeów – dwa mistrzostwa, dwa superpuchary Hiszpanii i Puchar Króla).

Poważnych ofert dla Lewandowskiego nie brakowało, ale według stanu na piątek, 15 maja, nasz gwiazdor najpewniej zdecyduje się na bajońskie zarobki (90 mln euro za sezon!) w lidze saudyjskiej, gdzie miałby występować pod opieką Simone Inzaghiego w Al-Hilal. W tamtejszej lidze mógłby zaliczać kolejne trofea, to jest luksusowa przystań dla oldboyów, gwiazdami są tam tacy podstarzali snajperzy jak Cristiano Ronaldo, Karim Benzema, Sadio Mané czy Riyad Mahrez. Nie oszukujmy się, nie byłby to wybór dyktowany ambicją sportową. Lewy mógłby sobie jeszcze pograć w pierwszym składzie o tytuł w Europie, zwłaszcza że łakomie na niego spoglądano z Milanu i Turynu. Ale w Arabii nie będzie nawet musiał walczyć o miejsce w składzie, nikt go nie będzie naciskał, poziom tej ligi gwarantuje nawet walkę o tytuł króla strzelców, na jego obecnym poziomie sportowym może być najlepszym graczem na Półwyspie Arabskim. Czy zatem za jego sprawą zaczniemy z wypiekami śledzić zmagania Saudi Pro League – śmiem wątpić.

W Barcelonie za to postanowił zostać „Tek", który zadowala się rolą zmiennika. Wojciech Szczęsny, uwielbiany przez kibiców luzak, wchodzi już tylko wtedy, gdy Joan García jest kontuzjowany, lub w meczach, w których „nikt grać nie chce" – jak na wyjeździe do Alavés, kiedy większość drużyny leczyła kaca po mistrzowskich dionizjach. Nasza dwójka skradła zresztą show, sadowiąc się na dachu autobusu klubowego, nad szoferką, i prowadząc na żywo dla jednego z kanałów spontaniczną pogwarkę. Szczęsny błyszczał inteligentnym witzem, a nawet czule sparodiował besserwissera Jana Tomaszewskiego; były też papierochy, nieodłączny atrybut „Szczęsnego fumadora", niezdrowe żarełko, popijanie z flaszki owiniętej klubowym szalikiem i alkochrypka obu panów. Najwyraźniej w dzisiejszych czasach taki „kontent" skutecznie buduje i ociepla wizerunek w mediach społecznościowych.

W Portugalii aż trzech Polaków zdobyło mistrzostwo z FC Porto i pozostaje żałować, że Kiwior i Bednarek nie okazali się tak niezawodni w reprezentacji, jak im się to udawało przez cały sezon w defensywie Smoków. Oskar Pietuszewski błyskawicznie wyrobił sobie markę, szarpiąc na skrzydle, dryblując, a nawet trafiając do bramki (niezapomniany gol z Benficą, gdy wprost ośmieszył Nicolása Otamendiego). Porto miało nawet zakusy, by w nowym sezonie powiększyć polską kolonię o samego Roberta Lewandowskiego, co byłoby bezprecedensowym już spolszczeniem niemal połowy wyjściowego składu.

W Austrii finałowe rozstrzygnięcia zapadły dopiero w niedzielę, której, pisząc ten tekst, nie sięgam, nie wiem zatem, czy nasz młody skrzydłowy Filip Rózga, często wchodzący na boisko z ławki Sturmu Graz, miał okazję zdobyć tytuł kosztem LASK Linz. Austriacka Bundesliga jednakowoż odstaje już nie tylko od czołówki europejskiej, ale nawet ustąpiła poziomem sportowym Ekstraklasie, przeto tamtejsze tytuły wielkich emocji w nas wzbudzić nie mogą.

Mamy jednak swojego przedstawiciela w najsilniejszej z lig: Matty Cash wciąż walczy o Champions League dla Aston Villi, a jeśli nie uda mu się drogą ligową, może to uczynić, wygrywając Ligę Europy. Nasz reprezentacyjny obrońca jest podstawowym zawodnikiem The Villans i już w środę zagra w Stambule finał Ligi Europy przeciw Freiburgowi. Anglicy są w tym meczu zdecydowanym faworytem – Freiburg po raz pierwszy w historii dotarł tak daleko w europejskich pucharach, w Bundeslidze plasuje się bliżej środka tabeli. Jeśli obejdzie się bez niespodzianki, znów będziemy mieli choć jednego Polaka z europejskim pucharem w dłoni. Po raz ostatni przytrafiło się to przed trzema laty, gdy jako rezerwowy bramkarz West Ham Puchar Ligi Konferencji wznosił Łukasz Fabiański, ostatnim zaś naszym graczem, który w zwycięskim finale zagrał, był cztery lata temu Nicola Zalewski, pod pieczą José Mourinha wygrywający z Romą Ligę Konferencji. ■

W Portugalii aż trzech Polaków zdobyło mistrzostwo z FC Porto. Kiwior, Bednarek i Oskar Pietuszewski błyskawicznie wyrobili sobie markę w drużynie Smoków.

eprasa.pl 765918d2e3

Modraszek

ZAGADKOWE OWADY

Motyle w symbiozie z mrówkami

Osa szmaragdowa

Dave Goulson

Świetlikowe femmes fatales

Świetliki, znane też potocznie jako robaczki świętojańskie, z pewnością plasują się w gronie najcudowniejszych owadów. Wbrew angielskiej nazwie *fireflies* nie mają nic wspólnego z muchami: reprezentują rodzinę chrząszczy zdolnych do bioluminescencji dzięki umiejscowionym w odwłoku narządom świetlnym. Ich błyski służą do wabienia partnera; przedstawiciele różnych gatunków świecą na zielono, żółto, czerwono lub niebiesko, niektóre wysyłają pojedyncze ciągłe błyski, inne błyskają z przerwami, według wzorca charakterystycznego dla gatunku. Samica występującego w Europie świetlika świętojańskiego emituje stałe, niezbyt intensywne zielone światło, którym przyciąga samce.

Świetliki wielu innych gatunków wysyłają krótkie błyski podczas lotu, co w ciemnościach daje efekt widzialnej ludzkim okiem smugi świetlnej, która jest źródłem innej popularnej nazwy angielskiej: *lightning bugs*. Niektóre świetliki w Stanach Zjednoczonych i tropikalnej Azji świecą synchronicznie, tworząc spektakularny pokaz świateł w wykonaniu tysięcy owadów błyskających odwłokiem.

Świetlikowate są drapieżnikami; w zależności od gatunku żywią się innymi owadami, robakami lub ślimakami. Samice niektórych świetlików wypracowały nawet sztuczkę polegającą na naśladowaniu błysków innych gatunków, nie po to, by zwabić partnera, tylko by upolować sobie coś na obiad. Nieszczęsne samce, które skuszą się na ich wdzięki, zostaną natychmiast zjedzone. Stąd właśnie wzięło się inne popularne określenie: *femme fatale fireflies*.

Mrówka miodna

Pszczoły i niektóre osy zbierają nektar z kwiatów i przechowują go pod postacią miodu w specjalnych komórkach lub pojemnikach z błota, papieru lub wosku. Zgromadzone w ten sposób zapasy zapewniają im pożywienie w chudych okresach roku, kiedy niewiele roślin kwitnie. Niegościnne pustynie Australii zamieszkuje gatunek mrówki, która wpadła na całkiem inny pomysł przechowywania nektaru. Mrówka miodna, znana pod naukową nazwą *Camponotus inflatus*, stosuje w tym celu niezwykłą sztuczkę. Robotnice same pełnią funkcję magazynu, objadając się nektarem aż do momentu, w którym ich odwłok rozedmie się do groteskowych rozmiarów. Wkrótce potem tracą zdolność poruszania się, ale nadal są karmione przez inne mrówki, aż ich spuchnięte odwłoki staną się całkiem przezroczyste.

Grupki napęczniałych mrówek zwisające z dachu podziemnej komory lęgowej wyglądają jak kiście dojrzałych złotych winogron i są gotowe w każdej chwili zwrócić część zapasów słodkiego miodu, by nakarmić głodnych mieszkańców kolonii. Te żywe magazyny nektaru są tak cennym dobrem w spalonej słońcem Australii, że przyciągają zarówno dużych, jak i małych złodziei. Inne kolonie mrówek nasyłają na nie

FOT. SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 765918d2e3

armię najeźdźców, którzy obezwładniają żołnierzy-strażników i rabują bezbronne pojemniki na żywność, ciągnąc spuchnięte robotnice z powrotem do własnego gniazda.

Mrówki miodne są też niezwykle cenione przez rdzennych mieszkańców Australii, którzy potrafią przekopać się nawet 2 m w głąb spalonej ziemi, by dotrzeć do mrowiska. Spuchnięte mrówki zjadają po prostu żywcem, delektując się słodką zawartością ich odwłoków.

Chrząszcz artylerzysta

Owady wykształciły wiele fascynujących sposobów obrony przed drapieżnikami. Modliszki, ćmy i koniki polne potrafią się doskonale kamuflować, pewne gatunki owadów mają na skrzydłach wielkie fałszywe oczy, żeby wystraszyć lub zmylić drapieżców, inne zniechęcają ich jaskrawym ubarwieniem, sugerującym obecność toksyn w ciele.

Trudno jednak o skuteczniejszy i bardziej spektakularny mechanizm obronny niż ten, którym dysponuje strzel kanonier. Ten niezbyt duży, niewinnie wyglądający chrząszcz z rodziny biegaczowatych jest obdarzony wyjątkową umiejętnością. W jego odwłoku mieści się woreczek wypełniony nadtlenkiem wodoru i hydrochinonem. Zaatakowany owad przepycha tę mieszankę z woreczka do grubościennej komory, w której znajdują się enzymy katalizujące gwałtowną reakcję egzotermiczną obydwu substancji. Chrząszcz wyrzuca w stronę niefortunnego napastnika wrzące, toksyczne benzochinony, czemu towarzyszy charakterystyczny odgłos „wystrzału". Małe drapieżniki, na przykład inne owady, często giną na miejscu; większe, takie jak ptaki, przeważnie od razu rzucają się do ucieczki. (…)

Osa szmaragdowa

Jednym z najpiękniejszych, a zarazem najbardziej bezlitosnych owadów jest gromka szmaragdowa, zwana też osą szmaragdową: smukłe, dwucentymetrowe stworzenie o zielonym, metalicznie połyskującym ciele i jaskrawoczerwonych odnóżach, występujące na większości tropikalnych obszarów Afryki i Azji.

Samica gromki zaczyna od wyszukania ulubionej ofiary, czyli jakiegoś z dużych karaczanów, pleniących się w zaniedbanych domach i brudnych restauracjach. Dopadłszy ofiarę, błyskawicznie żądli ją w tułów, powodując u niej przejściowy paraliż. Kiedy karaczan przestanie się ruszać, precyzyjnie wbija żądło w konkretny obszar mózgu, odpowiedzialny za odruch ucieczki, i blokuje go trwale drugą porcją jadu. Następnie poświęca chwilę na obgryzienie ofierze czułków i wyssanie z nich kilku kropel owadziej krwi, czyli hemolimfy, czekając, aż pierwsze użądlenie przestanie działać, drugie zaś zadziała w pełni. Karaczan staje się posłuszny jak zombie: mimo znacznie większych rozmiarów pozwala się złapać żuwaczkami za kikuty czułków i zaprowadzić do podziemnej nory jak pies na smyczy.

Osa składa na jego ciele pojedyncze jajo, z którego wkrótce wylęgnie się larwa. Unieruchomiony i bezbronny karaczan pozostaje w norze mniej więcej przez tydzień, stopniowo zjadany żywcem przez larwę, która wpierw karmi się pancerzem nieszczęsnego owada, po czym wgryza się w jego ciało i pożera narządy wewnętrzne.

Pszczoły storczykowe

W parnych lasach deszczowych Ameryki Środkowej i Południowej żyją pszczoły storczykowe z plemienia *Euglossini*, bajecznie kolorowe, metalicznie zielone, złote lub niebieskie owady, które błyszczą w tropikalnym słońcu jak klejnoty, gdy przelatują z kwiatu na kwiat. Te niezwykłe pszczoły zawdzięczają swoją nazwę samcom, które spędzają większość czasu na odwiedzaniu kwiatów storczyków, ale nie po to, by zbierać z nich nektar lub pyłek. Osobniki męskie, wyposażone w specjalne szczotki na przednich odnóżach, używają ich do zbierania związków aromatycznych, sczesując je później do komór w monstrualnie rozrośniętych odnóżach tylnych; pełnią one funkcję pojemników na aromaty. Następnie samce gromadzą się w miejscach odwiedzanych przez szukające partnerów samice, które w ich doborze kierują się najwyraźniej jakością oraz intensywnością woni zebranych z kwiatów storczyków.

Storczyki wypracowały nietypowy system zapylania. Każdy kwiat, zamiast produkować pojedyncze ziarna pyłku, jak w przypadku większości roślin, wykształca jedną albo dwie pyłkowiny: zwarte pakiety pyłku na szczycie pręcika, połączone z lepką tarczką nasadową, która przyczepia się do owada. Storczyki odwiedzane przez samce pszczół są od nich całkowicie zależne w procesie zapylania, co pierwszy opisał Karol Darwin, aczkolwiek doszedł do mylnego wniosku, że funkcję zapylaczy pełnią samice. Kwiat storczyka ma wyjątkowo przemyślną budowę: kiedy samiec pszczoły jest zajęty sczesywaniem kwietnych aromatów, styka się głową lub tułowiem z nóżką pyłkowiny, dzięki czemu cała struktura – w postaci dwóch jaskrawożółtych grudek pyłku – przykleja się do ciała owada i nie daje się już stamtąd usunąć. Kiedy pszczoła odwiedza kolejne rośliny, by zebrać więcej aromatów do swoich perfum, przenosi na sobie część pyłku i zapładnia kwiaty. Jeśli wszystko pójdzie jak należy, ta wyjątkowa symbioza pozwoli rozmnożyć się zarówno storczykom, jak i pszczołom.

Storczyki odwiedzane przez samce pszczół są od nich całkowicie zależne w procesie zapylania.

Zapasowe prącie skorka

Mało kto wie, że samce wielu gatunków skorków mają dwa prącia, podobnie jak węże. Naukowcy japońscy odkryli, że skorki są z reguły „prawoprątne" i 90% samców używa prawego narządu do kopulacji. Jeśli jednak amputować skorkowi prawe prącie (niektórzy uczeni mają dziwne pomysły), samiec zacznie po prostu używać lewego, które najwyraźniej funkcjonuje równie dobrze. Dziwnym zbiegiem okoliczności w niektórych

eprasa.pl 765918d2e3

regionach Japonii potoczna nazwa na określenie tego owada brzmi *chimpo-kiri*, czyli „obcinacz penisów": być może dlatego, że skorki występują często w okolicach staro-świeckich toalet zewnętrznych.

Po co jednak skorkowi dwa prącia? Jeśli w ramach eksperymentu przeszkodzi się tym owadom w kopulacji, często się zdarza, że samiec odrywa sobie wykorzystywany penis i pozostawia go wewnątrz samicy, żeby ułatwić obojgu ucieczkę. Oderwane prącie skutecznie „plombuje" ciało samicy, ograniczając prawdopodobieństwo pokrycia jej przez rywala, a tym samym zwiększając szanse reprodukcyjne samca. Drugie prącie służy jako zapasowe i umożliwia samcowi ponowną kopulację. Naukowcy nie sprawdzili, czy skorki z równą gotowością pozbywają się także drugiego penisa.

Największy z modraszkowatych występujących w Wielkiej Brytanii, modraszek arion, wyginął w 1979 r. z powodu utraty siedlisk, pięć lat później został jednak z powodzeniem reintrodukowany ze Szwecji i do dziś nieźle sobie radzi. Co ciekawe, modraszek arion zerwał swą dawną mutualistyczną więź z mrówkami. Samica motyla składa jaja w kwiatach macierzanki piaskowej; świeżo wyklute potomstwo przez kilka pierwszych dni życia żeruje na liściach, podobnie jak inne gąsienice. Potem dzieje się coś niezwykłego: larwy spadają z rośliny na ziemię i czekają cierpliwie na przechodzącą mrówkę. Mają nadzieję, że uda im się napotkać czerwonobrunatną wścieklicę Sabuleta *(Myrmica sabuleti)*. Gąsienica produkuje wydzielinę o zapachu przypominającym woń czerwia wścieklicy, jeśli więc znajdzie ją po drodze robotnica tego gatunku, podniesie larwę z ziemi i przetransportuje z powrotem do gniazda, po czym umieści w komorze lęgowej wraz z larwami mrówek. Niewdzięczna gąsienica zacznie pustoszyć gniazdo, żywiąc się od tej pory mrówczymi jajami i czerwiami: robotnice nie są w stanie zidentyfikować pasożyta ani zapobiec katastrofie, która rozgrywa się tuż przed ich nosem, mimo że larwy motyli osiągają wkrótce znacznie większe rozmiary niż jakikolwiek czerw. Gąsienica zostaje w mrówczym gnieździe aż do następnej wiosny, po czym się przepoczwarza. Kiedy z poczwarki wyłoni się motyl, musi czym prędzej wydostać się z kolonii, zanim jeszcze zdoła napompować skrzydła i odlecieć, żeby powtórzyć cały cykl od nowa.

Zniedołężniałe termity stają się bardziej agresywne i atakują każdego intruza.

Co ciekawe, podobną strategię stosuje większość pająków. Samce przekazują spermę samicom za pomocą jednej z dwóch zmodyfikowanych nogogłaszczek, a u niektórych gatunków dochodzi do oderwania znajdującego się w końcowej części wyrostka zwanego embolusem i pozostawienia go w ciele samicy, co oznacza, że samiec może kopulować tylko dwa razy w życiu. Embolus zaplemnia samicę już po rozdzieleniu się partnerów. Być może pająki wykształciły ten mechanizm ze względu na ryzyko, że samica pożre zbyt długo pozostającego w jej towarzystwie samca.

Modraszek arion

Wiele gatunków motyli z rodziny modraszkowatych *(Lycaenidae)* żyje w symbiozie z mrówkami. Gąsienice mają na grzbiecie gruczoły, których wydzielina, bogata w cukier i białko, jest prawdziwym przysmakiem tych owadów. Mrówki regularnie „doją" gąsienice, chroniąc je w zamian przed drapieżnikami i pasożytami.

Termit samobójca

W dalekich, parnych lasach Gujany Francuskiej żyje pewien niezwykły owad, który nazywa się *Neocapritermes taracue*. Termity to fascynujące stworzenia, niespokrewnione z mrówkami, prowadzące jednak podobny tryb życia w olbrzymich podziemnych koloniach, złożonych z królowej oraz kilku kast jej poddanych, specjalizujących się w różnych zadaniach.

W przeciwieństwie do mrówek termity są wyłącznie roślinożerne – żywią się wszelkiego rodzaju materiałem roślinnym, przyswajanym dzięki symbiotycznym organizmom, które bytują w ich układzie pokarmowym i rozkładają spożytą przez nie celulozę. Termity są ulubionym pokarmem wielu zwierząt, począwszy od mrówkojadów, a skończywszy na samych mrówkach, w toku ewolucji musiały zatem wykształcić szereg najrozmaitszych mechanizmów obronnych. Żaden z nich nie wymaga jednak takiego poświęcenia, jak strategia stosowana przez *Neocapritermes taracue*. U starszych osobników tego gatunku między tułowiem a odwłokiem tworzą się ciemnoniebieskie plamki: są to kryształy białek zawierających miedź.

W miarę upływu czasu szczęki termitów zużywają się i tępieją, co ogranicza przydatność starzejących się robotnic i robotników w kolonii. Zniedołężniałe termity stają się jednak bardziej agresywne i atakują każdego intruza. Jeśli przeciwnik okaże się silniejszy, owady wybuchają, a ukryte w ich ciele niebieskie kryształki wchodzą w reakcję z zawartymi w gruczołach ślinowych hydrochinonami, tworząc wyjątkowo toksyczne benzochinony (te same związki, które wyrzuca z odwłoka chrząszcz strzelkanonier). Naukowcy określają ten mechanizm mianem autotyzy: jest to jeden z przejawów samobójczego altruizmu, występującego także u pszczół miodnych, które często giną, zostawiając pokryte haczykami żądło w ciele napastnika. W obu przypadkach owady poświęcają się dla dobra całej kolonii.

Fragmenty książki Dave'a Goulsona *Milcząca planeta. Jak uratować owady przed zagładą*, przeł. Dorota Kozińska Marginesy, Warszawa 2026

eprasa.pl 765918d2e3

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Fujary i miękiszony

Nieuchwytność Zbigniewa Z. i Marcina R. mnie osobiście jako zwykłego obywatela obraża, upokarza i podważa moją wiarę w to, że państwo działa. Powiadają: Batyr i tak by ich ułaskawił. Mówią, że koalicji rządzącej nie opłaca się ściągać ich do Polski, bo nic tak nie nabija punktów prawicowym łajdakom jak uczynienie z nich męczenników.

Jeśli Trump za namową Batyra osobiście maczał palce w tym uczynieniu z Ziobry azylanta, to jest dla Polski katastrofa. Ręce opadają. Kiedy polityka wpływa na sprawiedliwość i pokazuje ludziom, że wszyscy są równi wobec prawa, ale niektórzy są równiejsi, jest to druzgoczące dla obywatelskiego morale i skrajnie szkodliwe społecznie. Z punktu widzenia obywatela ten wymiar sprawiedliwości nie działa, państwo jest w rzeczy samej z dykty.

Za przejechanie rowerem przez pasy i próbę ucieczki przed strażą miejską zwykły Kuczok zostanie przykładnie zwinięty na dołek, a potem będzie miał sprawę, która w najlepszym razie zakończy się mandatem w wysokości 10 tys. zł, w najgorszym zaś pierdlem od kwartału do pięciu lat. Za to sukinsyn z uchylonym immunitetem i 26 zarzutami przestępstw zwiedza sobie świat i wysyła wideopocztówki do rządu, drwiąc w żywe oczy z fujar i miękiszonów, którzy nie potrafią go zgarnąć. Państwo słabe wobec silnych i silne wobec słabych nie zasługuje na szacunek.

W życiu bym się nie spodziewał, że na tych łamach pochwalę jakiegoś konfederatę, ale sejmowy happening z balonikiem posła Foltyna mnie ujął. Państwo ściga dowcipnisia, który kupił w aptece paczkę kondomów i poprosił o wystawienie faktury na Kancelarię Prezesa Rady Ministrów. Nadmuchany balonik z wizerunkiem Tuska uleciał pod strop sali sejmowej, a prowadząca obrady zaczęła strofować posła i grozić odpowiedzialnością za użycie niebezpiecznego narzędzia, jakby chodziło co najmniej o ruski dron bojowy. W takim państwie pociąga się do odpowiedzialności karnej nie za popełnianie wykroczeń i przestępstw, tylko za robienie tego nieumiejętnie. Siedzą nie ci, którzy kradną, tylko ci, którzy kraść nie potrafią. To jest woda na młyn zorganizowanej przestępczości, zachęta do anarchii albo chociaż do naginania lub cwanego obchodzenia prawa.

Ziobro, który gra w ciuciubabkę z władzą i mówi wprost, że nie stanie przed sądem, bo tego sądu nie uznaje za sprawiedliwy, to całkowita katastrofa wizerunkowa dla szeryfa Żurka. Nie dla prawicy, bo na chłopski rozum błaźni się nie uciekinier, lecz niedorajdy, którym on bez trudu się wymyka. Cała ta historia pod tytułem „złap mnie, jeśli potrafisz" jest cyrkiem, przeto trudno mieć pretensje do happenerów, że robią cyrk z Sejmu.

Państwo słabe wobec silnych i silne wobec słabych nie zasługuje na szacunek.

Twardziel Żurek zastąpił łagodnego Bodnara i niewiele się zmieniło. „Miała być cela plus, a ani jeden pisowiec nie siedzi", mówią rozczarowani antykaczyści. Święczkowski blokuje Trybunał Konstytucyjny przed nowo wybranymi sędziami, których nie uznaje Batyr, faszysta Braun może sobie pozwolić na obrazę sądu i bezkarne wyjście z własnej rozprawy przed czasem, za to psychicznie chorego „kamrata" wsadza się notorycznie do aresztu, zamiast go wysłać na gruntowną terapię zamkniętą do Tworek.

Czytam okolicznościowe dodatki historyczne publikowane z okazji 100. rocznicy zamachu majowego i z trwogą zauważam podobieństwa – Polska przed 100 laty była krajem pękniętym, podzielonym między zwaśnione obozy polityczne, gotowym do wojny domowej. W czasach szkoły podstawowej byłem wychowywany w domowym kulcie II Rzeczypospolitej jako ostatniej prawdziwie niepodległej ojczyzny; podczas studiów ulegałem literackiej mitologii międzywojnia, które wydało trójkę największych naszych pisarzy XX w. – Witkacego, Gombrowicza i Schulza. Marzyliśmy o tym, żeby przenieść się do przedwojennej Warszawy i zajrzeć do Ziemiańskiej, wybrać się do Zakopanego na pejotlową orgię czy odnaleźć w Drohobyczu labirynty mitycznych sklepów cynamonowych. Tymczasem II RP była krajem co najmniej nieznośnym. Może Polska już tak ma po prostu, że trudno z nią wytrzymać. ■

eprasa.pl 765918d2e3

JOLKA

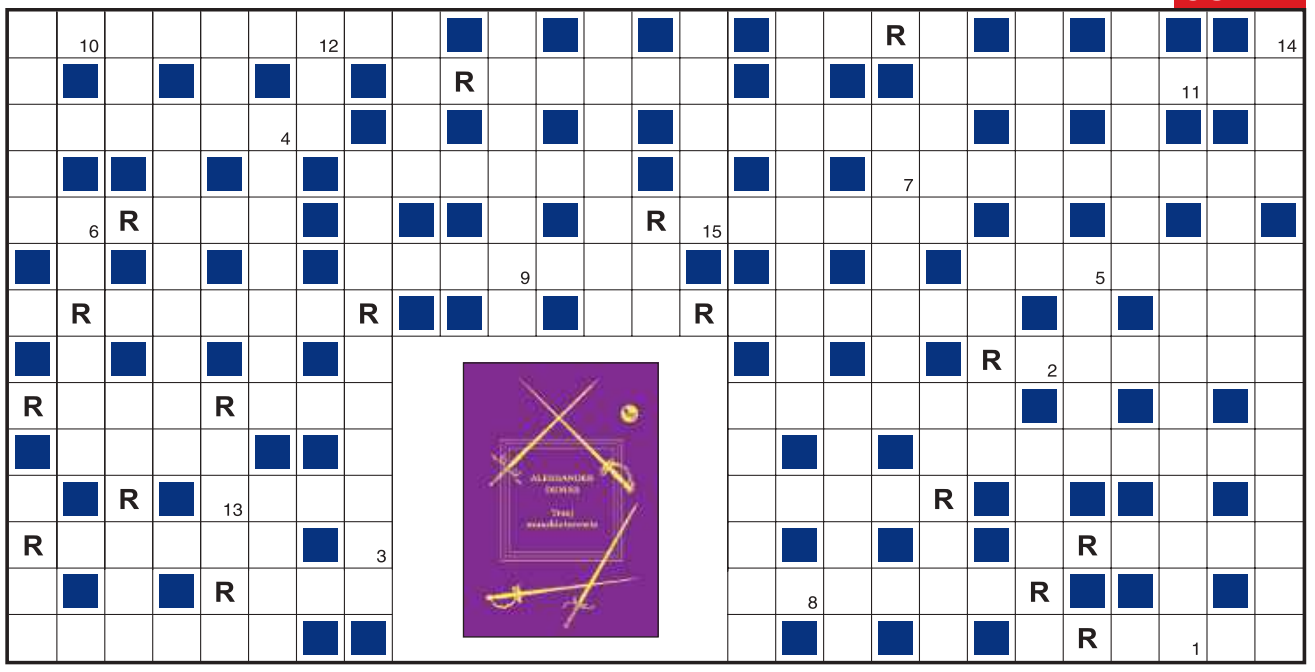

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15 utworzą końcowe hasło.

- Milena Jesenská, Dora Lebenthal lub Zofia Bobrówna
- „…Thomasa Crowna" z McQueenem, potem Brosnanem
- arakowy lub dymu wędzarniczego
- zwano go Biczem Bożym
- na nim Roksana, pod nim Cyrano udaje Christiana
- monachijski lub zarośnięty mężczyzna
- broszura ze streszczeniem lektury
- żadne… – nic nadzwyczajnego
- pobożna na pokaz
- sokratejski – oparty na zadawaniu pytań
- świństwo, podłość
- pismo papieża do biskupów i wiernych
- zapał, uniesienie
- ręczny karabin maszynowy
- słynna piosenka solisty Mazowsza
- mąż Tiny Turner lub Dwight Eisenhower
- przeczucie, podpowiadający wewnętrzny głos
- jego premier nazywany jest Bibim
- przepowiadacz przyszłości
- śpiewający „Hej wio!" Stanisław, solista Mazowsza
- i kraj, i bardzo korzystna sytuacja, bogactwo
- Wojciech, kompozytor m.in. muzyki filmowej
- cmentarz żydowski
- duże naczynie do podlewania
- zbiornik do mieszania masy czekoladowej
- na nim obrabiany przedmiot podczas kucia
- z dmuchawcami i wiatrem w piosence Urszuli
- w latach przestępnych o dzień dłuższy
- płynie przez Drezno
- gdy piłka muśnie siatkę
- pierwiastek jak fundator nagrody
- całkowite przeciwieństwo
- imię pisarki Zabużko
- andersenowski ...Zmruż-oczko
- punkty składające się na obraz cyfrowy
- konfitura lub przecier
- odkryty przez Skłodowską-Curie i jej męża
- egipska rola Jerzego Zelnika
- przedstawia sprawę szerszemu gronu
- pierwiastek o symbolu Hg
- bywa mylona z mewą
- Zielony z poematu arturiańskiego
- o suchych, zniszczonych włosach
- takiego jak Zondacrypto dla PKOl lepiej nie mieć
- naciek wapienny na dnie jaskini
- bliskowschodni bazar
- Reksio – …dinozaura z „Nocy w muzeum"
- fotochromowe lub progresywne w okularach
- sinus podzielony przez cosinus
- Grond wykuty w Mordorze
- Jannik Sinner lub Carlos Alcaraz
- pierś, klatka piersiowa
- robić coś z pieśnią na nich – ochoczo
- nad nią Jasło i Mielec
- gdy siedzącego psa, to bardzo niski
- w berka lub w chowanego
- „…nieśmiertelności", horror z Catherine Deneuve
- ostre zakręty na zboczu
- cuchnące jajko
- uczciwy zguby nie przywłaszczy

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1274". Do rozlosowania książki „Trzej muszkieterowie" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 24 maja 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1271" z nr. 18: *Co nowe, to lepsze.*
Nagrody otrzymują: Janusz Koćwin z Opola, Krzysztof Pilipczuk z Olsztyna, Małgorzata Stankiewicz ze Zgorzelca.

eprasa.pl 765918d2e3

Bartuś

Ludzie drodzy, gdybyście widzieli te miny zasłużonych konsularników! Ich niedowierzanie! Sceny były filmowe…

Ale zacznijmy od początku. Otóż był sobie w Departamencie Konsularnym MSZ urzędnik. Wprawdzie gwiazd z nieba nie chwytał, ale też nie można go było nazwać departamentalną ciurą. Miał jakie takie doświadczenie w pomocniczej pracy konsularnej – niewiele, ale jakiś punkt wyjścia to był. Zwłaszcza dla urzędnika ambitnego i młodego. I takiego, który uważa się za niezwykle kompetentnego. I przystojnego. O atrakcyjność nasz bohater dbał sposobem średnio wyszukanym: nosił dłuższe, nażelowane włosy i krótkie, do kostek, spodnie. Niektórzy życzliwie i pieszczotliwie wołali więc na niego: „nasz Bartuś żigolo".

Wołali tak na niego, bo ogólnie był miły i chciał się zaprzyjaźniać. Uśmiechał się, chodził – i wychodził: załapał się do grupy ludzi Andrzeja Papierza, który w tamtym czasie z ramienia PiS (i nie tylko) rozdawał w MSZ kadrowe karty. Bartuś opowiadał, że to jego sponsor i przyjaciel. W efekcie Bartusia uczyniono urzędnikiem funkcyjnym. Został naczelnikiem do spraw ogólnych, czyli takim bez większych i konkretnych obowiązków. Ale to było za mało. Z tej funkcji, naprawdę niewielkiej, nasz bohater postanowił wyjechać na placówkę jako konsul generalny. I – to już jest inna opowieść – udał się z tym pomysłem do Witolda Waszczykowskiego. O! Minister, jak to usłyszał, zastygł. A potem Bartusiowi odparł, że ma wątpliwości, czy nawet funkcja naczelnika wydziału nie przerasta jego kompetencji. I że do stanowiska konsula generalnego to Bartuś musi jeszcze z pięć, dziesięć lat dorastać.

Nie miał racji. Nasz żelowy bohater, niezrażony, pracował nad swoją karierą dalej. I niespodziewanie powołany został na stanowisko wicedyrektora Departamentu Konsularnego. A później zaczął pełnić obowiązki samego dyrektora.

Ooo… Dziwiono się bardzo. Za chwilę jednak dziwiono się jeszcze bardziej. Otóż PiS potrzebowało kogoś na stanowisko wiceministra spraw wewnętrznych, odpowiedzialnego za politykę migracyjną. I tu znów pojawił się Andrzej Papierz, mający przełożenie na ulicę Rakowiecką. Tym sposobem pojawił się podsekretarz stanu Bartosz Grodecki.

Ech! Na tle ówczesnych gwiazd polityki i administracji nie był najgorszym wiceministrem, chociaż przypisywanie mu jakiejś wielkiej roli w powstrzymywaniu imigrantów zapraszanych rzekomo do naszego kraju przez polskie służby konsularne należy włożyć między bajki.

Rząd się zmienił, Grodecki przestał być wiceministrem. A tu nagle nowa bomba – Karol Nawrocki powołał Bartosza Grodeckiego na szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego! Miejmy świadomość, BBN to z jednej strony prezydencka czapka nad armią, z drugiej – zaplecze analityczne prezydenta. Nasz bohater nie zna się ani na armii, ani na działaniach analitycznych. W każdym razie przez lata swojej kariery z posiadaniem takich umiejętności się nie zdradził.

Ale nie kręćmy nosem – skoro Karol Nawrocki może być prezydentem, to Bartosz Grodecki może być szefem BBN.

Wszystko jasne! Tylko wytłumaczcie to ludziom z Departamentu Konsularnego, bo do tej pory, wspominając Bartusia, zbierają szczęki z podłogi.

Attaché

Powinniśmy być partnerami, a nie rywalami – powiedział prezydent Xi Jinping Donaldowi Trumpowi podczas pierwszej od dziewięciu lat wizyty prezydenta USA w Chinach. Nz. przed spotkaniem w Wielkiej Hali Ludowej w Pekinie, 14 maja 2026 r.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 765918d2e3

PENETRACJE

ZDANIE

MARCIN GALENT,
SOCJOLOG, UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI

Wszystko wskazuje na to, że bez koordynacji polityki gospodarczej, militarnej i dyplomatycznej pozycja Unii Europejskiej zostanie radykalnie osłabiona. Być może kraje strefy euro wybiorą ucieczkę do przodu, czyli zacieśnienie integracji w swoim gronie, żeby utrzymać nie tylko konkurencyjność ekonomiczną, ale również bezpieczeństwo militarne. Taki rozwój wypadków postawiłby nas, Polaków, przed epokowym dylematem. Będziemy musieli rozstrzygnąć, czy przystąpić do tego jądra europejskiej integracji i pozbyć się waluty narodowej, nawet za cenę obniżenia autonomii w kształtowaniu warunków rozwoju gospodarczego. Albo ją utrzymać i skazać nasze państwo na przesunięcie do szarej strefy pomiędzy odrodzonym imperializmem rosyjskim a zremilitaryzowanym blokiem euro.

TYGODNIK ANGORA

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Słucham od lat lamentującego tłumu szansonistów, aktorów, pisarzy, plastyków, którzy długie dekady życia przeżyli na estradach, planach filmowych czy w pracowniach, ale nie zadbali o przyszłość. Krzysztof Cugowski czy Maryla Rodowicz, platynowe dzieci polskiej rozrywki, rozpaczają na łamach popołudniówek, że mają groszowe emerytury. Aliści polski system emerytalny oparty jest na zasadzie, że wysokość emerytury jest pochodną odprowadzanych składek! Zrozumiało to wielu artystów, niemniej inni woleli honoraria konsumować od razu, nie myśląc, co będzie potem. Dziś dziwią się, że brakuje im na życie, i boją się chorować, nie mając ubezpieczenia zdrowotnego.

PANI

ALEKSANDRA KURZAK,
ŚPIEWACZKA OPEROWA

Aktorki mogą „starzeć się z godnością", bez obaw, bo mają dużo różnych ról do zagrania w różnym wieku. My nie. W przypadku sopranów lirycznych jest wyjątkowo ciężko. Trzeba cały czas być piękną, młodą księżniczką do wzięcia albo śliczną córeczką tatusia, która umiera nieszczęśliwa, lub przysłowiową Ofelią. Mój głos na szczęście ewoluował i dojrzał, więc zaczęłam śpiewać role dramatyczne typu Tosca, Turandot czy Butterfly. Ale proszę pamiętać, że Butterfly w pierwszych zdaniach na scenie mówi, że ma 15 lat. Tak więc trzeba tę partię zaśpiewać, zagrać i jeszcze ją „wyglądać". (…) Nie ma pięknych ról do zagrania dla kobiet bardziej dojrzałych. Poza tym w pewnym momencie głos się kończy.

Twój STYL

IZABELA KUNA,
AKTORKA

Miałam kilka terapii w życiu, teraz też jestem w terapii. Są różne, pytanie, czego się od nich oczekuje. Ja szukam spokoju i ulgi. Nie potrzebuję wnikliwego przeglądu sytuacji, które wydarzyły się w moim życiu, bo już je zrozumiałam. Mam kłopot z prawdziwymi emocjami. Jako aktorka potrafię „wyprodukować" radość, smutek, strach, wstyd, wstręt. Umiem opowiadać o uczuciach, czuję świetnie cudze, gorzej z własnymi. (…) Mam 55 lat i świadomość, że nie zagram już młodości. Dostaję scenariusze, w których bohaterka jest 10 lat młodsza, reżyser mówi: „Iza, ale ty dobrze wyglądasz". To nie ma znaczenia. Wrażliwości młodej dziewczyny nie zagram. Próbuję się z tym pogodzić. Raz bywa lepiej, raz gorzej. Uczę się z tym żyć.

FOT. AMEM, SARKA FARKA, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl 765918d2e3

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

ODAGTOBAKYOBAŹI

ZEWYORYKAZĄPLTAH

JACĘWIZĄTKTECIPACĄ

ODWAGA TO BRAK WYOBRAŹNI, ZŁE WYBORY KARZĄ PO LATACH, JAK CIĘ WIDZĄ TAK TEŻ CI PŁACĄ

Aby język giętki…

PROF. JACEK RACIBORSKI O RAPORCIE SADURY I SIERAKOWSKIEGO

Nie zgadzam się z raportem wieszczącym, że dotychczasową polaryzację zastąpi ta między Lewicą w obu odmianach i obu Konfederacjami.

HANNA KRALL O REPORTAŻU

Sam gatunek reportażu jest wieczny, ludzie zawsze będą chcieli słuchać prawdziwych opowieści o ludzkich losach.

EMI BUCHWALD O KINIE

Potrzebujemy producentów, którzy zainwestują w kino, które nie jest koniunkturalne ani schematyczne, ale szczere i oryginalne.

MARCIN DANIEC O POLITYCE

Nie jestem ani za, ani przeciw, tylko… ponad.

JOANNA KULIG O ODWADZE

Umiem pokonać lęk i iść do przodu. Raczej się przewrócę, niż wycofam. Najwyżej się nie uda.

MAGDA LAMPARSKA O PRACY KOBIET

Prowadzenie domu przez kobiety jest kompletnie niewidoczne i niedoceniane. Chciałabym, żeby wyciągnęły nogi na stół i powiedziały: ja tu rządzę.

ANNA SENIUK O PLANACH NA WIOSNĘ

Zrobię sobie tatuaż. Taki dyskretny. Przekłuję też uszy, teraz będą duże kolczyki.

JULIA PIETRUCHA O MUZYCE FOLKOWEJ

Czuję się w niej najlepiej. Sam głos i kilka chwytów gitarowych wystarczą, by poruszyć, opowiedzieć coś prostego. Odartego z efekciarstwa.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Beata Igielska, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 765918d2e3

Uniform II

Black scarf

The War Next Door

Miriam Tajcher

Artystka podejmuje temat stopniowego zobojętnienia na przemoc rozgrywającą się tuż obok nas, wypierania ze świadomości wojny, która jest traktowana jako element codziennego krajobrazu informacyjnego. Na obrazach pojawiają się młodzi ludzie tworzący niepokojącą zbiorowość przypominającą armię. Estetyka prac, początkowo atrakcyjna i pozornie niewinna, stopniowo ujawnia atmosferę zagrożenia. Wystawa staje się refleksją nad współczesnym lękiem, społeczną obojętnością i narastającym poczuciem globalnego kryzysu.

Wind of history

Galeria Stalowa
Warszawa, ul. Stalowa 26
do 14 czerwca

Plainclothes

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 765918d2e3

TEATR CAPITOL

ZAPRASZA

Białystok
13 czerwca

Lublin
23 maja

Sierpc
24 maja

Warszawa
22, 28 i 29 maja
oraz 27 i 28 czerwca

UNE IDEE GENIALE

Twój GENIALNY POMYSŁ na wieczór!

Autor SEBASTIEN CASTRO

• KUP BILET TEATR CAPITOL •

www.teatrcapitol.pl

Mały Widz, wielka przygoda!

Dzień Dziecka
w Teatrze Capitol!

sobota, 30 maja
Calineczka

niedziela, 31 maja
W 80 DNI DOOKOŁA ŚWIATA
TAM I Z POWROTEM

Akademia pana Kleksa

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

• KUP BILET TEATR CAPITOL •

www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 7689185d2e3

teatrkomedia.pl

fotografia Marek Zimakiewicz · identyfikacja Elipsy

KOMEDIA GABRIELI ZAPOLSKIEJ

GRAMY: 26 · 27 maja · 5 · 6 · 7 czerwca

Ich czworo

Tragedia ludzi głupich

reżyseria Marek Kalita · scenografia i projekcje Marcin Chlanda · kostiumy Zuzanna Markiewicz
muzyka Maciej Bieniawski · choreografia Ewelina Adamska-Porczyk · reżyseria światła Marek Klepczarek
występują: Aleksandra Popławska, Mariusz Zaniewski, Kamil Szeptycki, Joanna Balasz, Renata Dancewicz,
Maksymilian Termin oraz Zosia Orłowska i Nina Różewska

Instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

Partner Teatru

premiera
16 maja 2026

Teatr Komedia

eprasa.pl 765918d2e3